

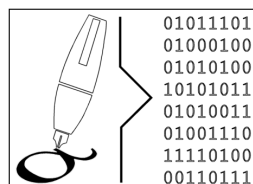
MARGIT SANDEMO

SAGA O CZARNOKSIEŻNIKU

TOM 1

MAGICZNE KSIĘGI

Przełożyła: Anna Marciniakówna



Tytuł oryginału:

Oversatt etter: Trolldom.

Data wydania polskiego: 1996 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

*Pastor Jon Magnuson obudził się pewnej
nocy Roku Pańskiego 1648 w swoim
domu w północno-zachodniej Islandii,
ponieważ coś ciężkiego przyciskało mu stopy.
W nogach łóżka majaczył niewyraźnie
czarny, duży cień.
Wielebny Jon domyślał się, kto mógł
na niego nastać tę istotę z piekielnych
otchłani. Zdarzyło się bowiem, że uraził
dumą dwóch mężczyzn, ojca i syna. Ci zaś
zjednali sobie niedobrą opinię ludzi
posługujących się magią, czarnoksiężników.
Oto dopełnić się miała ich zemsta...*

Księgi złych mocy

Przyczyna wszystkich dziwnych i przerażających wypadków, przez jakie musiała przejść pewna młoda dziewczyna z zachodniego wybrzeża Norwegii na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku, zawiera się w trzech księgach zła, dobrze znanych z najbardziej mrocznego rozdziału w historii Islandii.

Księgi pochodzą z czasów, gdy w Szkole Łacińskiej w Holar, na północy Islandii, rządził zły biskup Gottskalk, czyli z okresu pomiędzy latami 1498 a 1520. Biskup uprawiał prastarą i już wtedy surowo zakazaną czarną magię; Gottskalk Zły nauczył się wiele o magii w osławionej Czarnej Szkole na Sorbonie.

Szkoła Łacińska w Holar była za panowania Gottskalka tak niebezpieczna, że macki zła rozciągały się stamtąd zarówno w czasie, jak i w przestrzeni; żądza posiadania owych trzech ksiąg o piekielnej sztuce rozpaliała się w każdym, kto o nich usłyszał. Ani jedna dusza nie pozostała wobec nich obojętna.

Zresztą... Aż do naszych dni przetrwała ich ponura, budząca lęk sława.

Rozdział 1

Norwegia, pod koniec siedemnastego wieku.

Tiril — takie imię nosiła pewna młoda dziewczyna, która mieszkała w Bergen w Norwegii. Jej stosunek do ludzi nacechowany był podejrzliwością i działało się to nie bez powodu.

Świetnie natomiast porozumiewała się ze zwierzętami, okazywała im wiele współczucia, co one najwyraźniej odwzajemniały.

Początkowo Tiril była niezwykle szczerym i otwartym dzieckiem. Niezbyt to szczęśliwa cecha w czasach, kiedy dzieci karano dotkliwie za najmniejsze przewinienie, gdy żyły w surowej dyscyplinie, a mało kto przejmował się tym, co czują.

Jako mała dziewczynka Tiril mogła nieoczekiwanie objąć za nogi całkiem obcą osobę tylko dlatego, że żywiła do niej sympatię. Ponadto ze szczególną miłością przytulała bezpańskie psy, toteż często otrzymywała kuksańce i policzki a to od matki, a to od niańki za niestosowne zachowanie.

Wszędzie było jej pełno, na krótkich nóżkach biegała po pokojach i kochała całe otoczenie, zwłaszcza swoją urzekająco piękną matkę. Ale przepełniając ją miłością ogarniała wszystkich.

Drugą ubóstwianą przez Tiril istotą była Carla, jej starsza siostra. Carla odznaczała się wielką urodą, podobnie jak matka, lecz, niezwykle cicha, miała w sobie coś anielskiego. Carla czesała swoje długie jasne włosy w piękne francuskie loki. Tiril natomiast miała włosy nieokreślonego koloru, jakiś szary blond, proste, z których nijak nie dało się ułożyć porządnej fryzury, toteż obcinano je, jak to się mówi, pod donicę, czyli ani długo, ani krótko, równo dookoła, jakby nałożono na głowę niedużą miskę i przycięto włosy wzdłuż jej brzegu. Takie fryzury noszą niektórzy mnisi.

Największym powodem ojca do dumy był fakt, że jest podobny do Christiana Czwartego...

Rodzice pochodzili z Christianii. Dopiero niedawno sprowadzili się do Bergen, gdzie ojciec Tiril otrzymał znakomite stanowisko w firmie handlowej. Carla bardzo się przejmowała tym, że bergeńskie dzieci wyśmiewają wschodni dialekt obu sióstr, i przeważnie milczała. Tiril natomiast nic sobie z tego nie robiła. Ona kochała nawet te dzieci, które jej dokuczały, i nadal posługiwała się rodzimym dialektem, żeby dostarczyć im rozrywki.

Rodzina zajmowała stosunkowo ładne i wygodne mieszkanie, nie zaliczała się wprawdzie do najwyższych sfer : miasta, lecz była akceptowana. Łaskawie pozwalano im być u lokalnej socjety, byle tylko nie zapominali o swoim właściwym miejscu.

Dziewczyny służące pojawiały się i wkrótce znikwały. Stroiły piękną Carlę i układały jej włosy, lecz kochały Tiril za spontaniczną wesołość i pozbawiony wyniosłości stosunek do służby. Jednak po kilku dniach niezadowolona gospodyni oddalała wszystkie. Tiril nie mogła zrozumieć, dlaczego. Zawsze było jej smutno, kiedy kolejna dziewczyna opuszczała dom. Ale nie trwało to długo i Tiril znowu stawała się radosna.

Carli pozwalano towarzyszyć rodzicom podczas składania wizyt, a także pokazywać się w salonie, kiedy przyjmowano gości. Tiril traktowała to jako coś naturalnego, pomagała ubierać Carlę, by siostra wyglądała jak najbardziej reprezentacyjnie, i patrzyła w zachwycie, gdy tamta kręciła się przed lustrem w swoim wspaniałym stroju. A potem tkwiła na półpiętrze, przewieszona przez poręcz schodów, przypatrywała się gościom i niemal miała łzy w oczach, kiedy ojciec ujmował Carlę za rękę i mówił do zgromadzonych: „A oto moja mała lalczka”.

Mama uśmiechała się tylko z zadowoleniem. Mama, jak powiedziano, była olśniewająco piękna, i Tiril cieszyła się niezmiernie, że kręci się wokół niej aż tylu młodych mężczyzn. Matka zresztą przy takich okazjach po prostu promieniała, a jej perlisty śmiech słychać było w całym domu.

Po każdym przyjęciu Tiril słyszała zza ściany głosy rodziców. Ostre, pełne gniewu. Tiril nie pojmowała, o co chodzi, i sprawiało jej to ból. Następnego dnia jednak wszystko znowu wracało do normy. Matka, jak zwykle, nie miała czasu z nią rozmawiać, bo musiała się spotykać z przyjaciółkami na Torvalmenningen. Ojciec też nie miał czasu, bo bardzo był zajęty w swoim biurze. Nie wiadomo z jakiego powodu nazywano go konsulem i Tiril napawało to dumą.

Trudno powiedzieć, kiedy dziewczynka zaczęła się domyślać, że coś jest nie tak jak trzeba. W każdym razie dochodziła do tego stopniowo.

Może po raz pierwszy doznała tego uczucia tamtego dnia, gdy pozwolono obu siostrom towarzyszyć matce na spacerze po eleganckich ulicach Bergen? Spotkały wtedy pewnego młodego pana, którego mama najwyraźniej знаła. Otóż ów pan o coś zapytał, a matka odpowiedziała najpierw swoim perlistym śmiechem, po czym rzekła półgłosem, ale tak, że idące z tyłu dziewczynki mogły usłyszeć: „Nie, nie, oczywiście, że to nie są moje córki! Co pan sobie myśli, panie Brosten, ile ja

właściwie mam lat? I czyż one są do mnie choć troszkę podobne?”

Carla zarumieniła się wtedy i sprawiała wrażenie przygnębionej, Tiril natomiast zdumiała się niewymownie. „czy my naprawdę nie jesteśmy...?” — zaczęła, ale opiekunka dziewczynek przerwała jej pospiesznie: „Oczywiście, że jesteście. Pani Dahl żartowała!”

A może to dziwne zachowanie Carli podsunęło jej myśl, że w rodzinie coś jest nie w porządku? Carla tak często płakała. Wprawdzie dziewczynki miały osobne pokoje, ale rano Tiril wielokrotnie stwierdzała, że oczy Carli są zapuchnięte i czerwone. Próbowwała pytać, dlaczego, ale wtedy Carla odwracała się gwałtownie i wybuchwała głośnym szlochem.

To sprawiało dotkliwy ból wrażliwej duszyczce Tiril.

Z ojcem nieczęsto miewała kontakt. Był to pozbawiony poczucia humoru wysoki mężczyzna, niegdyś z pewnością bardzo przystojny. Teraz pod peruką ukrywał łysinę, zaś piwo i wino, których nadużywał, wyokrągliły mu sylwetkę, mówiąc wprost, obdarzyły go wydatnym, mało pojętnym brzuchem. Tiril pamiętała, że dawniej ojciec ubóstwiał swoją piękną żonę, teraz jednak prawie ze sobą nie rozmawiali. Pomiedzy małżonkami panował taki chłód, że nawet ona to zauważała.

Matka zresztą straciła już wiele z dawnej urody. Rysy twarzy zaczynały się rozmazywać i bardzo często czuć było od niej winem. Śmiech, dawniej taki perlisty, ostatnio stawał się przenikliwy i nieprzyjemny, pani Dahl rzadko teraz spędzała czas w domu. Tiril działała jej na nerwy do tego stopnia, że często krzyczała: „Czy nikt nie może wziąć w karby tej hałaśliwej dziewczyny?” Matka przestała też pokazywać gościom swoją śliczną starszą córkę. Żeby irytować męża, nazywała Carlę ukochaną córeczką tatusia i na ogół powiedziawszy coś takiego znowu wychodziła, ojciec zaś wrzeszczał: „Do którego kochanka dzisiaj się wybierasz?” Matka odpowiadała na to złośliwie: „Ciebie nie powinno to interesować, już i tak do niczego się nie nadajesz”.

Tiril dorastała i zaczynała rozumieć coraz więcej. Coraz gorzej też czuła się w domu i starała się unikać spotkania z rodzicami. Było to absolutnie niezbędne, by mogła zachować spokój i pogodę ducha.

Ojciec posiadał dwa konie i dziewczynka spędzała wiele czasu w stajni, przy zwierzętach. Nikt jej tam nie przeszkadzał. Opowiadała koniom o wszystkim, a one słuchały cierpliwie i sprawiały wrażenie, jakby rozumiały jej troski. Nigdy nie pozwolono jej trzymać w domu nawet najmniejszego stworzenia, wszystkie bezdomne psy i kocięta, które zabierała z ulicy, witano krzykiem i wyrzucano bezlitośnie. Nikt natomiast nie wiedział, że jej powiernikami są konie.

— Co ja mam zrobić z Carlą? — szeptała jednemu do ucha, przytulona do jego grzywy. — Ona nie chce ze mną o niczym rozmawiać, uważam, że to wielka szkoda. Bo może mogłabym jej pomóc.

Teraz właśnie Tiril kończyła trzynaste lat. Udało jej się zachować wiele cech

dziecięcych, wiele jednak zostało unicestwionych. Od czasu do czasu stosowano wobec niej surowe metody wychowawcze, uważano, że z tą swoją radością życia i entuzjazmem wobec otoczenia jest dzieckiem kłopotliwym. Hałaśliwy bachor, mawiała matka ze złością. Ojciec nie mówił nic, on kompletnie ignorował Tiril.

W tym wieku była już w stanie uświadamiać sobie, że nie ma w niej nic takiego, z czego rodzina mogłaby być dumna. W każdym razie jeśli chodzi o wygląd. Zwłaszcza gdy się absolutnie nie chciało dostrzegać radości w jej wzroku ani promieniującego od niej ciepła. . . tak, bo niestety wiele więcej do pokazania nie miała. Matka już dawno zrezygnowała z ubierania swojej młodszej córki w śliczne ubranka jak dla laleczki. Okazało się to po prostu niemożliwe. Dziewczynce — o zgrozo! — zaczynały się rysować muskuły. Była kanciasta i zbudowana niczym chłopak, twarz miała szeroką i wiecznie uśmiechniętą, szyję zbyt masywną, nogi za krótkie i tak dalej, i tak dalej. Słowem — beznadziejna.

Rodzice nie zdawali sobie sprawy z tego, że Tiril żyje swoim własnym życiem. Serce jej krwawiło na widok wszystkich cierpiących, więc kiedy nikt na nią nie patrzył, odkładała dla biednych jakieś kąski domowego jedzenia, w końcu robiła to nieustannie. Oddawała potem zapasy tym, którzy ich potrzebowali, ale domownicy nie wiedzieli o jej tajemniczych wyprawach.

Stary człowiek mający tylko jedno oko w okaleczonej twarzy, który wyglądał tak strasznie, że inni nie chcieli nawet słyszeć o jego istnieniu, wyczekiwał na nią codziennie, schowany za narożnikiem domu, i Tiril nigdy go nie zawiodła. Nie trzeba było wiele pożywienia, żeby podtrzymać w nim życie, lecz ona często ubolewała, że udało jej się zdobyć zaledwie kromkę chleba i jakąś wygotowaną kość z resztkami mięsa. Starzec przyjmował to z wdzięcznością i błogosławił dziewczynkę.

Małe dzieci z bocznej uliczki, których ojciec wszystko przepijał, a dzieci i żonę bijał codziennie, również miały jej bardzo wiele do zawdzięczenia. Często była w stanie ofiarować im tylko jakąś zabawkę, co nie mogło zaspokoić ich głodu, lecz one mimo to na jej widok rozjaśniały się radośnie. Po pożarze w roku 1702 w Bergen żyło rozpaczliwie dużo bezdomnych ludzi.

Żona węglarza dostała maść na swoje owrzodzone nogi. Kiedy stara pani Gronske leżała umierająca, pastor zaś wolał iść na przyjęcie do burmistrza, właśnie Tiril siedziała przy posłaniu staruszki aż do końca. Sakramentów wprowadzić nie mogła jej udzielić, lecz ciepła dziewczęca rączka sprawiała, że konająca nie czuła się w ostatniej godzinie taka samotna i porzucona na pastwę losu.

Zniszczone dziewczyny uliczne w portowej dzielnicy, te, których już nikt nie chciał, dostawały od czasu do czasu buteleczkę najlepszej wódki pana konsula. Albo przynajmniej chwilę przynoszącej pociechę rozmowy, kiedy zmarznięte wysiadywały na schodach. Tiril co prawda niezbyt wiele pojmowała z tego, o czym te kobiety mówiły, były to przeważnie płaczące zwierzenia najrozmaitszego rodzaju. O mężczyznach, którzy je bili, lub o takich, co zarazili je okropną chorobą,

albo — co było najgorsze ze wszystkiego — ukradli z takim trudem uzbierane pieniądze. Opowiadały o marzeniach, które nigdy się nie spełniły, o jakichś przemysłnych, lecz, niestety, nieudanych próbach zdobycia bogactwa, o księciu na białym koniu, który nigdy nie przybył, o dzieciach, które się nie narodziły. . .

Po ulicach włóczyło się wiele bezdomnych psów. Również dla nich Tiril zawsze miała dobre słowo, a często i coś do jedzenia. Starannie to dzieliła, by każdy dostał i żaden nie czuł się zapomniany.

Pewnego dnia była świadkiem niezwykle przykrego wydarzenia, mianowicie dorosłe psy starały się przegonić niedużego szczeniaka. No, taki mały to on może nie był, miał jednak skaleczoną jedną łapę i kulał. Tego typu sprawy zdziczałe psy załatwiają po swojemu, lecz Tiril nie mogła się na to godzić. Rzuciła się na ratunek psiakowi, który, zapędzony w kąt, znalazł się w sytuacji bez wyjścia.

Tiril stanęła tak, by go zasłonić. Nierozważny krok, trzeba powiedzieć, lecz nie miała czasu się zastanawiać. Zresztą tamte psy ją przecież znały!

I rzeczywiście, jeden czy drugi najpierw warczał groźnie, lecz stanowczy głos Tiril skłonił je do odwrotu.

Żaden zwyczajny człowiek nie byłby w stanie tego dokonać, Tiril jednak, jak powiedziano, przyjaźniła się ze zwierzętami. A one okazywały jej respekt!

Oczywiście, zabrała szczeniaka ze sobą do domu. Nie przyniosła go jednak do mieszkania, na tyle miała już rozumu i doświadczenia. Wymościła niedużą skrzynkę sianem i umieściła ją w stajni. Tam też wykapała psiaka, który spoglądał na nią przestraszonymi, lecz pełnymi wdzięczności oczkami, kiedy ostrożnie przemywała nie tylko ranę, lecz i całe ciało. Przyszedł woźnica, patrzył przez chwilę, co robi dziewczynka, po czym stwierdził:

— Nie warto się zajmować taką gadziną! Wyrośnie z tego wstrętne psisko, wielkie i niebezpieczne. A poza tym toto ma na pewno pchły i parchy. Zabiłbym paskudztwo i byłby spokój!

— Ani mi się waź! — zawołała Tiril oburzona. — To mój przyjaciel i będzie miał na imię Nero. Bo tak powinien się nazywać czarny pies. I wcale nie ma ani pcheł, ani parchów!

Po tym wszystkim jednak nie miała odwagi zostawić szczeniaka w stajni. Wyszukała ustronne i osłonięte miejsce w ogrodzie, z tyłu za szopami na drewno, i uznała, że tam będzie malcowi najlepiej.

Malec to niezbyt precyzyjne słowo, a nawet całkiem nieodpowiednie. Nero wyglądał tak, że nie ulegało wątpliwości, iż wyrośnie na potężną bestię, świadczyły o tym zwłaszcza łapy. Wiele wskazywało też na to, że nie jest zwykłym kundlem, przynajmniej jedno z rodziców musiało należeć do dobrej rasy. Nero pochodził zapewne z nie akceptowanego przez ludzi mezaliansu. Jeszcze za wcześnie, by wróżyć, jak będzie wyglądał jako dorosły, ale z pewnością jego futro stanie się gęste, a głowa duża. Miał bardzo piękne, wilgotne oczy, którymi wpatrywał się w Tiril z uwielbieniem.

Na dłuższą metę niełatwo było utrzymać szczeniaka w ukryciu. I rósł przerażająco szybko. Któregoś dnia pani Dahl rozgniewała się nie na żarty.

— Co to za straszne paskudztwo leży przed naszymi drzwiami? Zastrzel tego psa, Carl!

Tiril wypadła z domu jak błyskawica i wyciągnęła Nero na ulicę.

— Nie będziesz nigdy w tym domu bezpieczny — mówiła. — Muszę cię zapoznać z twoimi pobratymcami.

Została z wychowankiem przez całe popołudnie. W końcu stwierdziła, że zwierzę jest wystarczająco duże i silne, by budzić respekt u innych psów. Nero bardzo chciał z nią wracać, ale jakoś jej się udało go przekonać, by tego nie robił. Pożegnanie było długie i wzruszające. Tiril ze łzami w oczach szeptała mu do ucha słowa pociechy i obiecywała, że odwiedzi go jak tylko będzie mogła. Urządziła mu wygodny kąt na wybrzeżu w pobliżu portu, w starych magazynach, które uratowały się z pożaru, i ustawiła tam jego miski pełne jedzenia i picia. Potem z bardzo ciężkim sercem powlokła się do domu.

Carla po prostu gaśła w oczach, w końcu była już jedynie cieniem siebie sprzed roku. Od dawna już nie tylko Tiril ukrywano przed gośćmi. „Przecież i tak nikt nie chce uwierzyć, że ja mogę mieć takie duże dzieci” — mówiła pani Dahl, jakby chciała się wytłumaczyć. Ojciec też już nawet nie spoglądał na starszą córkę, a młodszą przecież nigdy właściwie nie zauważał.

Tiril próbowała jakoś zbliżyć się do siostry, ale bez powodzenia. Wiedziała, że nadal są przyjaciółkami, lecz z jakiegoś powodu siostra nie może się jej zwierzyć ze swoich zmartwień. Tiril, która do niedawna widziała świat jako radosne, zalane słonecznym blaskiem miejsce, nie pojmowała nic a nic.

Pewnej nocy obudziła się z wrażeniem, że nie jest w pokoju sama. Jakaś ciemna postać skradała się od strony okna. Dziewczynka zerwała się ze zdławionym krzykiem.

— Cicho bądź, głupia! — usłyszała. To ojciec! Trzymał w rękach coś, czego nie była w stanie rozróżnić. — Chciałem tylko zobaczyć, co ci się stało. Krzyczałaś przez sen.

— Dziękuję, ojciec — bąknęła wzruszona jego troskliwością. — Nic mi nie jest.

Jej oczy zaczynały się przyzwyczajać do ciemności i odnosiła wrażenie, że twarz ojca jest jakaś dziwna, jakby go coś bardzo wzburzyło. Stał jeszcze przez chwilę, wpatrywał się w nią uważnie, po czym zdecydowanie szepnął: „Nie” i wyszedł, a to, co trzymał w ręce, z cichym szelestem zniknęło wraz z nim.

Tiril ze zdumieniem potrząsała głową i uśmiechała się. Na ogół nie interesował się jej snami. Nie potrafiłaby sobie w ogóle przypomnieć, czy przychodził kiedykolwiek do jej pokoju, w każdym razie nie leżało w jego zwyczaju życzyć jej dobrej nocy od czasu, gdy była całkiem malutka.

Pełen napięcia nastrój w domu stał się dla niej już tak trudny do zniesienia,

że gotowa była potraktować to wydarzenie z nadzieją, że może coś zmieni się na lepsze. Zwłaszcza że głęboko zapadły jej w serce słowa, które kiedyś wypowiedziała matka: „To nie są moje córki. Czyż ta młodsza jest choć trochę do mnie podobna?”

To była prawda. Tiril nie miała w sobie nic, co by ją czyniło podobną do starszej siostry Carli czy do matki. Nie miała też w sobie nic z ojca. Uważała zresztą, że w miarę upływu czasu jego twarz coraz bardziej przypomina rybi pyszczek. Wyglądał jak ryba z tymi wyliniętymi wąsami i rzadkim zarostem, a także coraz większymi problemami, by zapiąć krótki tużurek na wydatnym brzuchu. Godność była dla niego sprawą tym ważniejszą, im mniej jej pozostawało. Robił się coraz bardziej zgorzkniały i złośliwy.

Nie, Tiril nie była podobna do żadnego z nich.

Świadomość tego stanowiła dla dziewczynki niemałą pociechę. Często „dyskutowała” o tych sprawach z Nerem.

— Zastanawiam się, Nero, kim byli moi prawdziwi rodzice.

Pies słuchał swojej pani uważnie i patrzył jej w oczy poważnymi ślepiami, aż zaczęła się uśmiechać.

— Z pewnością byli niewysokiego wzrostu i mieli takie kanciaste figury jak ja — śmiała się. I znowu oboje z Nerem odzyskiwali znakomity humor. — Myślę, że byli wędrownymi kuglarzami, co ty na to? Kuglarze zawsze są radośni. A jacy zręczni! Potrafią wykonać salto mortale.

Tiril wywijała koziołki na trawie, Nero uważał, że to wspaniała zabawa. Potem mocowali się i turlali po ziemi. W końcu dziewczynka usiadła zdyszana.

— Wiesz, ale chciałabym, żeby Carla naprawdę była moją starszą siostrą. Co ja mam z nią robić, Nero? Jak mam postępować, żeby znowu odzyskała radość?

Pies nie umiał udzielić jej żadnej rady.

Oczywiście dziewczynka z dobrej rodziny nie mogła w ten sposób biegać po ulicach. Tiril jednak miała swoje tajemne ścieżki, przekradała się przez ogrody, chodziła bocznymi uliczkami, kryła się w zaułkach, kiedy wszyscy myśleli, że spokojnie siedzi w swoim pokoju. Zresztą domownicy byli pochłonięci własnymi sprawami. Tylko Carla wiedziała, co się dzieje. Z początku bardzo się niepokoiła zachowaniem siostry, nigdy jej jednak nie zdradziła, a później uznała, że Tiril radzi sobie sama bardzo dobrze.

Pewnego dnia do domu konsula przyszedł jakiś obcy człowiek. Tiril dostrzegła go z góry i przechylona przez poręcz schodów przyglądała mu się z ciekawością. Ojciec pospiesznie wprowadził przybysza do salonu.

— Co pan tu robi? — spytał z wyraźnym niepokojem. — Nie wolno panu tu przychodzić!

Gość nosił perukę, kołnierz surduta miał wyfluszczony. W jego głosie po-

brzmiewały jakieś groźne tony.

— Skoro pan się u mnie nie pokazuje, panie Dahl, to muszę moje interesy brać w swoje ręce.

— Powiedziałem przecież, że zapłacę. Już wkrótce.

— Słyszę to od dawna.

— Ale ja mam środki. Muszę je tylko uruchomić.

— Pan ma na myśli pieniądze panny? No, to ich nie może pan uruchomić. Przynajmniej dopóki dziewczyna. . .

— Ciii! — syknął pan Dahl niecierpliwie i rozejrzał się nerwowo. Tiril odsunęła się od poręczy i poszła do swojego pokoju.

To Carla ma pieniądze? — myślała zdumiona. I ojciec zamierza je zabrać? To nie może być uczciwa sprawa!

Żeby tylko mogła jakoś siostrze pomóc! Ona, Tiril, niczego, oczywiście, nie posiada, nawet nie jest spokrewniona z tą rodziną, sama doszła do takiego wniosku.

Ale przecież pozwolono jej tutaj mieszkać. Przygarnęli dziecko wędrownych artystów i byli dla niej mili, więc oczywiście powinna pomagać jak potrafi.

W tamtym okresie Tiril do tego stopnia akceptowała myśl o swojej obcości w tym domu, że sama w to wierzyła. Osobą, którą naprawdę chciała wesprzeć, była nieszczęsna Carla. Ale nie umiała jej nakłonić do zwierzeń. I nic nie zmieniło się do chwili, gdy Carla skończyła szesnaście lat, a Tiril miała czternaście.

Nieoczekiwanie matka oświadczyła, że starsza córka powinna wyjść za mąż za pewnego bardzo bogatego młodego mieszkańca Bergen. Od tego dnia dom znowu się ożywił, ku wściekłym protestom ojca organizowano wielkie bale i przyjęcia jak za dawnych dobrych czasów. Tiril nigdy nie widziała ojca w takim stanie. I to wcale nie przyjęcia tak go irytowały, dziewczynka była pewna, że chodzi tu o coś zupełnie innego. O coś okropnego, czuła to, ale nie była w stanie nawet w przybliżeniu określić, o co.

Pewnego ranka zapłakana Carla siedziała w salonie na górze. Tiril weszła tam nieoczekiwanie, więc starsza siostra nie mogła już unikać szczerzej rozmowy.

— Kochana Carlo — powiedziała Tiril, sadowiac się na podłodze u stóp siostry. — Jako dzieci byłyśmy przecież serdecznymi przyjaciółkami. Czy nie możesz mi powiedzieć, dlaczego jesteś taka smutna?

Carla tylko ukryła twarz w wielkiej chustce do nosa i zaczęła głośno szlochać.

— Czy to dlatego, że mama postanowiła cię wydać za mąż? — zaczęła Tiril ostrożnie. — A ty tego nie chcesz?

— Owszem, chcę. Niczego bardziej nie pragnę, jak wyjść za niego. To taki wspaniały młodzieniec — łkała dalej Carla, obejmując rozpaczliwie siostrę.

— No to o co ci chodzi? — zawołała Tiril.

Carla zaniósła się nowym szlochem.

— Ja chcę umrzeć — wykrztusiła. — Po prostu chcę umrzeć, uwolnić się od tego całego... brudu! Ja jestem brudna... chcę umrzeć!

— Ale przecież nie możesz niczego takiego pragnąć! — zawołała Tiril w najwyższym zdumieniu. — I nikt nie myje się tak starannie jak ty. Jesteś taka śliczna!

— Śliczna — prychnęła Carla. — A co to znaczy? To ty jesteś piękna, Tiril! Ale, oczywiście, tylko ja to widzę.

Tiril musiała się roześmiać.

— Piękna? Ja? Nigdy nie słyszałam niczego równie szalonego!

Carla uniosła głowę i z twarzą zalaną łzami patrzyła na siostrę.

— Gdybym tylko mogła...

— Rozmawiać ze mną? — podsunęła Tiril instynktownie. — To prawda. Dlaczego ty nie chcesz mi nic powiedzieć? Właściwie... właściwie to my mamy tylko siebie, wiesz?

Starsza siostra kiwała głową.

— Tak — szepnęła żałośnie. — Jesteś taka miła, Tiril, a nikt tego nie dostrzega! Nie pozwól sobie zrobić krzywdy, nie pozwól, by cię ktoś zniszczył, moja kochana, mała siostrzyczko!

Carla znowu wybuchnęła płaczem i wybiegła z pokoju.

Tiril siedziała bez słowa, nie będąc w stanie rozeznaczyć w tym wszystkim.

Pewnego dnia usłyszała prawdziwą kłótnię rodziców. Ponieważ znajdowała się właśnie w pokoju obok, nie mogła stamtąd wyjść i musiała wbrew swojej woli słuchać ich bardzo przykrych słów.

— Jesteś obrzydliwa — mówił ojciec ze złością. — Popatrz tylko w lustro! Jesteś nieustannie pijana. Wystarczy na ciebie spojrzeć, żeby wiedzieć, ile i kiedy wypiałś.

— I to ty mówisz! — odparła matka ostro. — Jakbyś sam pił mniej. Czy dlatego mi dokuczasz, że już się do niczego nie nadajesz w łóżku? Jak to dawno temu pokazałeś po raz ostatni w mojej sypialni? Co? Może mi odpowiesz?

Głos ojca stał się lodowaty:

— Czy myślisz, że mógłbym mieć jeszcze na ciebie ochotę?

— Był czas, że mnie ubóstwiałś.

— Tak. Bo byłaś czysta i niewinna. Wybrałem cię, bo podobała mi się twoja świeżość...

— O, nie wątpię, miałam wtedy ledwie piętnaście lat!

— Byłaś tylko moja — ciągnął ojciec niezrażony. — Ja nie chcę dzielić mojej żony z połową miasta. Pragnę czystości! Chcę tego, co należy do mnie i tylko do mnie!

— Jak służące i niańki, tak?

— Nie bądź wulgarna! Nie obchodzisz mnie już ani trochę, ty dziwko!

Matka odparła urażona:

— A co ja mogę na to poradzić, że wszyscy mnie uwielbiają?

— Nie bardzo widzę tych wielbicieli.

— Co ty możesz o tym wiedzieć?

Tiril usłyszała głośne plaśnięcie i zdławiony krzyk matki, po czym ojciec szybko opuścił pokój. Matka biegła za nim, wykrzykując obrzydliwe wyzwiska.

W końcu Tiril także mogła wyjść. W sieni stały dwie służące i rozmawiały półgłosem. Nie spostrzegły dziewczynki.

— Co ona miała na myśli z tymi służącymi i niańkami? — pytała młodsza i najnowsza w tym domu.

— Cóż, niełatwo było się dziewczynom tutaj utrzymać. On, jak nie dostał, czego chciał, wyrzucał bez miłosierdzia. A jak dostał, to wyrzucała pani.

— A teraz jest lepiej?

— Lepiej. Bo widzisz, on się dobiera...

— Jezu — jęknęła starsza kobieta i zasłoniła usta rękami, bo właśnie zobaczyła Tiril. Obie służące wycofały się do kuchni.

Atmosfera w domu stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Nigdy przedtem Tiril nie widziała ojca w takim złym humorze. Teraz też dostrzegała, jaki naprawdę jest stary. Twarz miał obwisłą, wyglądało na to, że wszystko jest mu obojętne, i był tak zaniedbany, że po prostu śmierdział, mimo że używał bardzo silnych perfum. Matka kłóciła się z nim przy każdej okazji, oboje już nawet nie starali się skrywać wzajemnej nienawiści. Mała Carla natomiast przemykała pod ścianami rozdygotana, blada jak płótno, cała radość życia opuściła ją dawno temu. Niekiedy sprawiała wrażenie, że chciałaby się zwierzyć młodszej siostrze. Tiril bardzo ją do tego zachęcała, ale bez powodzenia. Carla nie miała dość odwagi. Zawsze w takich przypadkach uciekała w końcu do swego pokoju. A Tiril wdychała zawiedziona. Czuła się okropnie bezradna.

Jak tylko nadarzała się okazja, Tiril wymykała się do miasta. Przez cały czas opiekowała się Nerem, codziennie nosiła mu jedzenie i picie i ze zdumieniem stwierdzała, że jej ulubieniec wyrasta na ogromnego psa. Właściwie to już był dorosły.

Zawsze też miała przy sobie jakiś kasek dla innych psów, więc one trzymały się w pobliżu Nera, niedaleko jego „domu”. Tiril z przejęciem stwierdziła, że Nero jest typem przywódcy, i od tej chwili nie obawiała się już o jego życie.

Często chodziła z nim na dłuższe spacerunki do podmiejskiego lasu. Te chwile kochała najbardziej. Wtedy znowu mogła być sobą, dawną naprawdę pogodną i optymistycznie usposobioną Tiril. Znowu mogła się śmiać, obejmować swojego ogromnego przyjaciela i odzyskiwała wiarę w to, że życie bywa bardzo piękne. Wracając do domu uśmiechała się do przechodniów. Robiło im się ciepło na sercu,

choć nie zdawali sobie sprawy, że to za sprawą promiennej radości Tiril, która przysłała do nich w środku smutnego dnia.

Zdarzyło się kiedyś, że urządzając sobie wyścigi z Nerem i rzucając mu patyki zaszała trochę za daleko na podleśne łąki i zrobiło się bardzo późno. Kiedy zjawiała się w domu, cała rodzina siedziała już przy obiedzie. Ponuro, to najodpowiedniejsze słowo dla określenia atmosfery, jaka panowała w jadalni.

— Przepraszam, mamó i ojczu — ukłoniła się pospiesznie i na palcach podeszła do swojego krzesła.

Nikt jednak nie zwrócił na nią uwagi, bo wszyscy byli zajęci jakąś denerwującą sprawą.

Po raz setny powtarzam, że ten chłopak nie jest dla niej! — grzmiał ojciec. Tego dnia najwidoczniej zajął się trochę sobą i prezentował się z dawno nie oglądaną godnością. — Nic z tego małżeństwa nie będzie.

Carla siedziała jak martwa na wprost Tiril. Nigdy nie wyglądała tak źle, sprawiała wrażenie, jakby życie z niej uszło. Jej twarz była całkowicie pozbawiona wyrazu. Tiril widziała, że siostra całą siłą woli tłumi swoje uczucia.

— Dlaczego nie? — protestowała matka zirytowana dziwacznym uporem męża w sprawie małżeństwa córki. — Młodzieniec pochodzi przecież ze znakomitej rodziny, ojciec jest bogaty jak Krezus, a on sam ma przed sobą wspaniałą przyszłość.

— Powiedziałem już: mam zastrzeżenia do jego moralności. . .

— Dlatego, że się upił dwa lata temu w dniu swoich egzaminów razem z innymi studentami? To przecież całkiem naturalna sprawa, a zresztą nie masz żadnego prawa, by. . . Ojciec zerwał się tak gwałtownie, że o mało nie przewrócił stołu.

— Nie będzie żadnego małżeństwa! Carla jest za młoda, żeby wychodzić za mąż!

— Ha! A to coś nowego! Mój pan nie miał tego rodzaju skrupułów, kiedy żenił się ze mną, gdy miałam zaledwie piętnaście lat! Ale to byłam ja!

— To jest bardzo wielka różnica! — zawołał pan Dahl ze złością i opuścił jadalnię, pozostawiając wszystkie trzy z uczuciem, że coś obrzydliwego pełza im po skórze.

Po południu tego samego dnia mama chciała przymierzyć Tiril sukienkę, którą dla niej szyła. Tiril wierciła się niecierpliwie, ojciec siedział tymczasem w swoim ulubionym fotelu i przeglądał jakieś dokumenty.

— Stój spokojnie! — syknęła pani Dahl. — Nie, tej sukienki nie można już lepiej dopasować! Nabrałaś kształtów, dziewczyno!

Ojciec spojrział znad papierów, marszcząc brwi.

— Nie mówi się w ten sposób do dziecka! — upomniał surowo żonę.

— Możliwe, ale popatrz sam! Tiril, skocz no do panny Pedersen i poproś,

by przysłała tu jutro; niech ona zobaczy, co da się z tym zrobić. Szkoda takiego ładnego materiału. . .

Tiril była szczęśliwa, że może się nareszcie uwolnić od nudnej przymiarki. Gdy mijała ojca, poczuła na sobie jego badawczy wzrok. Doznała jakiegoś dziwnego uczucia niechęci, a nawet wstrętu.

Załatwiła interes u krawcowej i biegła z powrotem do domu. Zaczynało zmierzchać, a wyobrażenia Tiril źle znosiła ciemności. W ciemnościach wszędzie się czaiły tyle istot z nieznanego świata duchów, z którymi lepiej nie zadzierać.

Duchy były jednak niezwykle miłymi zjawami w porównaniu z tym, co się szwendało po ciemnych ulicach Bergen, a co należało do świata żywych. Nagle poczuła na ramieniu czyjaś mocną rękę, a po obu jej bokach pojawili się nieznanymi mężczyźni. Szczęrzyli do niej paskudne zęby w obleśnych uśmieszkach, jeden mówił jakieś obrzydliwe słowa.

Minęło co najmniej kilkanaście sekund, zanim Tiril zrozumiała, czego opryszkowie od niej chcą. I wtedy jej gwałtowny charakter dał o sobie znać z całą siłą.

Szarpnęła energicznie, by się wyrwać, a gdy to nie pomogło zaczęła ich kopać po łydkach tak, że za każdym razem trafiony wył boleśnie. Ale wciąż ją trzymali.

Działo się to w wąskim zaułku niedaleko portu, gdzie widać było tylko pozbawione okien ściany magazynów. Nigdzie dokoła ani żywej duszy.

— Puście mnie, chamy jedne! — wrzeszczała Tiril. Dziewczynka była silna i jej kopniaki z pewnością okazały się bolesne, jednak to nie wystarczało, bo napastnicy jej nie uwolnili. Przeciwnie, rozsierdzeni oporem, trzymali mocno.

W żaden sposób nie mogli zrozumieć, skąd wziął się ten wielki czarny pies, ale w pewnym momencie wszystko dookoła zamieniło się w jedno wielkie piekło. Rozległo się wściekłe warczenie i ujadanie, w ślad za tym jednym czarnym potworem na ratunek Tiril przybiegło co najmniej dziesięć innych. Napastnicy zaczęli zmykać w popłochu, ciągnąc za sobą rozjuszoną sforę.

Tylko Nero został na miejscu. Tiril dyszała ciężko, rozdygotana, i drżącą ręką głaskała jego kudłate futro.

— Dziękuję ci, mój przyjacielu — szeptała z wysiłkiem. — I podziękuj tym!

Pies odprowadził ją aż do bramy, chociaż nigdy dotychczas tego nie robił. Tiril widziała, że jest bardzo przejęty i dumny ze swego zachowania.

Ręce wciąż jej drżały, kiedy weszła do hallu. Wszystko wskazywało jednak na to, że jak zwykle nikt nie będzie miał dla niej czasu. Pani Dahl z promiennym uśmiechem biegła do Carli, która wchodziła właśnie na górę.

Och, Carla, Carla! — wołała rozradowana. — Dobry ojciec zgodził się w końcu na twoje małżeństwo. A co, nie mówiłam? Mówiłam ci przecież, że już moja w tym głowa, byś mogła wyjść za swojego chłopca. Teraz wszystko załatwione. Ojciec da wam błogosławieństwo!

Objęła mocno starszą córkę, a Carla przez sekundę popatrzyła w dół na Tiril z wyrazem najgłębszej rozpaczki w oczach. Wyrwała się z objęć pani Dahl i pobiegła do swego pokoju.

Matka nie widziała jej twarzy.

— Och, jaka ona musi być szczęśliwa — powiedziała wzruszona. — Już wróciłaś, Tiril?

Tej nocy Tiril obudziła się nagle, bo zdawało jej się, że słyszy czyjś krzyk, a potem ciężki łoskot, jakby coś spadło z wysokości. Potem zrobiło się cicho.

A rano woźnica znalazł ciało Carli, leżące na brukowanym podwórzu. Rzuciła się w dół z wieżyczki na dachu.

Teraz lubieżne oczy zostały zwrócone na młodą, czystą Tiril. . .

Niezdługo po tych wydarzeniach złe moce z odległej przeszłości Islandii wyciągnęły swoje macki, by otoczyć nimi Tiril.

Trzy księgi zła przypomniały o swoim istnieniu. By jednak zrozumieć władzę czarnej magii nad człowiekiem, musimy cofnąć się do połowy siedemnastego wieku, do walki, jaką wielebny Jon toczył z dwoma czarnoksiężnikami. Od tych wydarzeń, o których teraz opowiemy, wije się kręta nić prowadząca do Bergen, gdzie mieszkała Tiril.

Rozdział 2

Jak wynika z islandzkich protokołów sądowych Anno Domini 1656 wielebny Jon i obaj czarnoksiężnicy są postaciami historycznymi.

Pewnej nocy pod koniec lat czterdziestych siedemnastego wieku pastor, sira Jon Magnusson z Eyri w Skutilsfjörðhur, obudził się, czując, że coś przygniata mu stopy. W izbie było ciemno, lecz dostrzegął wielki czarny cień, spoczywający ciężko w nogach łoża.

Wielebny musiał przyznać, że na moment lodowaty dreszcz przeszedł mu po plecach. Był jednak człowiekiem Bożym, niezłomnym w swej wierze.

— Ejże! — wymamrotał pod nosem. — A cóż to za diabelstwo włóczy się po nocach?

Domyślał się, kto nasyła tego mieszkańca piekielnych otchłani. W okolicy żył pewien chłop, Jon Jonsson, który — jak gadano — dobrze znał sztuki, przez Kościół raczej nie pochwalane. Syn tego chłopca starał się o rękę pasierbicy pastora, ale mu odmówiono. Wielebny Jon nie życzył sobie wprowadzać do domu ani syna, ani ojca; obaj cieszyli się złą sławą. Ludzie nazywali ich czarownikami, a o starym powiadano z lękiem „czarnoksiężnik”.

Teraz chcieli się zemścić.

Daleko stąd, nad wielkim fiordem, Isafjörðhardjup, fale tłukły o skalny brzeg, lecz bliżej, w osłoniętej zatoce, cicho było niczym w grobie.

Zemsta nie zemsta, pastor nie miał zamiaru poddawać się bez walki. Znał wiele sposobów, by się bronić, wiele magicznych formułek i świętych zaklęć, które mogły posłużyć przy odpędzaniu złego ducha. Starał się przezwyciężyć strach, złożył drżące dłonie i wołał, zrazu dość niepewnie, potem jednak coraz bardziej stanowczo:

„Zwracam się do Ciebie, Boże Wszechmogący.
Diabelski pies w niewolę brać mnie chce.
Nastaje na me życie, ostrzy sobie kły.
Pomóż mi, Panie, w niedoli mej!”

Zelżał ciężar? Nie, jeszcze nie. W pokoju wciąż panowały nieprzeniknione ciemności. Wielebny Jon jął szukać na nocnym stoliku swego krzyża, znalazł go i ściskając mocno skierował w stronę czerniejącego cienia. Jego głos był czysty i silny:

„Jezu żywy, ześlij mi swą łaskę,
Spraw, bym w walce z Diabłem okazał niezłomność!
Patrz na wszystko, co się dzieje,
Szatan zostanie ukarany.
Wpadnie w ciemną otchłań Śmierci,
Zepchnięty siłą mojej wiary”.

Pastor z trudem wciągał powietrze. Oddech miał ciężki, serce waliło w pierś jak młotem, ręce się trzęsły. Na szczęście jego małżonki Thorkatli nie było w domu, mógł więc krzyczeć z siłą grzmotu:

„Ty kuszysz ludzi, obrażasz dobrego syna Boga.
Podpełzasz ze złem pod Krzyż Chrystusowy.
Spokój płynie z Krzyża,
Podstępny wąż ucieka.
Kacie z Hel, znam ja twoje sztuczki. . .”

Nic jednak nie pomagało. Zły duch wciąż leżał na stopach pastora, czyniąc noc nieznośnie długą i bolesną.

I tak to miało trwać. Noc w noc zjawiała się ponura istota, ciężka i bezkształtna mara z bezimiennego królestwa ciemności, i dręczyła wielebnego Jona.

Sługa Boży poszukiwał w swoim domu czarodziejskich pogańskich run, ale jakim sposobem Jon Jonsson i jego syn mogliby się dostać na plebanię, by je tam umieścić? Wielebny Jon miał na myśli owe ohydne znaki z czasów, kiedy północna Islandia była opanowana przez ciemne moce z Gottskalkiem Złym na czele. Teraz z pewnością te znaki nie istnieją, zaginęły. Powinny były zaginać. Kto jednak wie, ile potrafi Jon Jonsson?

Na to pytanie proboszcz nie umiał odpowiedzieć. I zresztą nawet nie miałby odwagi się nad tym zastanawiać.

Któregoś dnia z wizytą do pastora przybył pewien pobożny człowiek imieniem Snäbjörn Palsson z Kirkjuból. Znali się obaj od dawna. Snäbjörn powiedział, że wielebny Jon nie wygląda dobrze. Absolutnie nie. Prawdę powiedziawszy, pastor

wyglądał źle. Kiedy szli ścieżką przez cmentarz i rozmawiali, wielebny Jon zwierzył się przyjacielowi ze swojej udreki.

Zimny jesienny wiatr gnał po niebie deszczowe chmury, dodatkowo potęgując makabryczną treść opowiadania. Przy takiej pogodzie żadne mroczne cienie ani nocne strachy nie wydają się zbyt nieprawdopodobne, tak samo jak czary z prawdawnych, przenikniętych magią czasów.

Kiedy pastor zakończył swoją historię, Snäbjörn przystanął i zaczął spoglądać na kościelną wieżę, jakby tam szukając pomocy. Uszy zrobiły mu się czerwone od wiatru, krople deszczu spływały z czoła na nos i największym jego pragnieniem było znaleźć się pod dachem. Wielebny Jon nie przestawał jednak krążyć po cmentarnych drózkach, by ukryć tę rozmowę w tajemnicy przed innymi, więc z szacunku dla przyjaciela Snäbjörn nie wyjawiał swego pragnienia.

Zaprawdę dziwne rzeczy się dzieją w naszych czasach — westchnął. — Potęga czarnoksiężników jest tym większa, że wplatają oni do swoich formułek słowa Boże. Święte modły wypowiadają wspan.

I nie tylko to, oni wzywają imienia Bożego przy magicznych ofiarach i wróżbach. A bluźnierstwo umacnia Szatana kosztem królestwa Bożego. Złe dni nastały w naszym kraju!

Bardzo źle! A najgorsze ze wszystkiego jest, że tak wielu spośród sług Bożych zajmuje się czarami. Wybacz mi, że o tym wspominam!

Wiem, wiem — rzekł pastor z ciężkim westchnieniem. — cały naród jest jak porażony ze strachu przed mocą czarnoksiężników. Czasami zastanawiam się, czy...

Umilkł. Snäbjörn zapytał ostrożnie:

Co chciałeś powiedzieć, wielebny Jonie?

— Można by pomyśleć, że Jon Jonsson i jego syn dostali się... Nie, Jonssonowie to prostacy! Ale z drugiej strony... Wygląda na to, że ktoś, choć nie wiem kto, dostał się do... ksiąg. — Pastor zniżył głos: — Wiesz przecież, jakie to księgi mam na myśli.

Snäbjörn zadrżał, i to nie tylko z powodu spływających mu za kołnierz kropeł deszczu.

— Uchowaj Boże! — zawołał. — Nie, to nie może być! „Rödskinna”, czyli „Czerwona skóra”, księga oprawiona w czerwony safian, leży przecież pod ziemią wraz ze zwłokami złego biskupa Gottskalka...

Pastor uczynił ostrzegawczy ruch ręką.

Nie wymieniaj jego imienia na poświęconej ziemi! Ale masz, oczywiście, rację. Pierwsza z dwu ksiąg zwanych „Graskinna”, czyli „Szara skóra”, również została pochowana z jednym z tych okropnych ludzi. Druga „Graskinna” jest pieczołowicie strzeżona w Szkole Łacińskiej w Holar, nikt nie może jej nawet dotknąć, a cóż dopiero wynieść z ukrycia.

Obaj pobożni mężowie złożyli ręce i pospiesznie, po kryjomu odmówili modlitwę. Rozmowa zeszała na niebezpieczne tory, lepiej już milczeć.

Lęk był aż nadto uzasadniony.

„Rödskinna” i obie „Graskinna” to księgi samego zła. Zawierały tajne runy i opisy sztuk magicznych najgorszego rodzaju. Ponure kobiety i mężczyźni, którzy zajmują się czarami, posługują się runami i znakami spisanyymi na pergaminach. Niekiedy ryto je w drewnie, a nawet na żywej skórze. Istnieje lub istniało wiele takich ksiąg, jak na przykład „Gulskinna”, oprawna w złotą skórę, „Grönskinna”, księga zielona, i „Silvra”, czyli srebrzysta. Najpotężniejsze i najbardziej niebezpieczne były jednak te trzy: „Rödskinna” i dwie „Graskinna”.

Ta z dwu szarych ksiąg, która znajdowała się w Holar, a zatem mogła być w jakiś sposób dostępna, została spisana około roku 1400 w Laufasi przez Torkella syna Gudbjarta. Pierwsza jej część jest dość niewinna. To, co budzi prawdziwy lęk zarówno księży, jak i prostego ludu, to jej ostatnia i najdłuższa część. Spisano ją za pomocą run wprowadzających w błąd, które rozumie bardzo niewiele ludzi.

Druga „Graskinna” zniknęła w dawno minionych czasach wraz z pewnym eremita. Ów znawca prastarej i tajemnej wiedzy nie widywał zwyczajnych ludzi. Posiadał on księgę, w której zawartości nie orientował się nikt w parafii. Szeptano o niej z wielkim lękiem i nazywano ją właśnie „Graskinna”. Była to z pewnością najstarsza księga magii. Człowiek, do którego należała, został pochowany w siedzibie biskupa w Skalholt, gdzie znajdowała się druga islandzka Szkoła Łacińska. Biskup musiał obiecać, że księga zostanie pogrzebana wraz z jej właścicielem, w przeciwnym razie źle będzie z całą parafią.

Najważniejsza wśród magicznych ksiąg była bez wątpienia „Rödskinna”. Śmiertelnie niebezpieczna, budząca grozę, lecz także pożądanie, została spisana przez Gottskalka Nikulassona, zwanego biskupem Gottskalkiem złym lub Groźnym, który w latach 1498-1520 zasiadał na tronie biskupim w Holar.

Ów Gottskalk pochodził z norweskiego rodu, był krewnym pani Inger z Austrat i siostrzeńcem biskupa Olafura Röngvaldssona. W młodości studiował na uniwersytecie w Rostoku, immatrykułował się w listopadzie 1482 roku, a w protokołach określono, że przybył „z Norvegr”, najpewniej więc jeszcze w tym czasie nie miał nic wspólnego z Islandią.

W Holar u swego wuja Olafura Röngvaldssona zjawił się zapewne jako ksiądz, może nawet pełnił obowiązki asystenta biskupa. Po śmierci Olafura w 1495 roku kazał nazywać się biskupem, ale oficjalnie został nim mianowany dopiero w roku 1499 przez arcybiskupa Nidaros¹. Rejestr krzywd wyrządzonych przez Gott-

¹W Nidaros, dzisiejsze Trondheim, znajdowała się pierwsza katedra w Norwegii i pierwsze biskupstwo. Islandia, która została zasiedlona głównie przez osadników norweskich pod koniec IX wieku, utrzymywała stałe związki z Norwegią, z Norwegii przyjęła chrzest, a od roku 1262 stała się zamorską częścią królestwa norweskiego, po czym wraz z Norwegią weszła w skład królestwa duńskiego (przyp. tłum.). Sprengja po islandzku znaczy: wybuchać, burzyć, miażdżyć,

skalka miejscowej ludności jest długi jak nieurodzajny rok.

Nieludzkie podatki na kościół (czyli na biskupa), niezwykła surowość jakoby w imieniu Boga, podstępność i nienawiść, okrutne wyroki sądowe za najdrobniejsze uchybienia — pewien człowiek został bardzo surowo ukarany za to, że ożenił się z dziewczyną, która była jego krewną w czwartym pokoleniu — nieustanne upominanie wszystkich i nagany. . . Wyliczankę można by ciągnąć jeszcze długo. Poważany był jedynie przez takich zarozumiałych i przenikniętych pychą parafian, co to najchętniej wytykają błędy swoim bliźnim. Przy każdej najdrobniejszej sprawie sądowej biskup troszczył się bardzo, by nałożone grzywny przypadły jemu. Jeśli miał ochotę na czyjaś zagrodę, to ją zdobywał.

Nieco mniej znany był fakt, iż Gottskalk okazał się największym w swojej epoce czarnoksiężnikiem. Zaczął na nowo uprawiać czary, magię i gusła, jakich od dawna już nie praktykowano. Wykształcony na wielkich uniwersytetach świata, liźnął też trochę tajemnych sztuk w Czarnej Szkole paryskiej i był nimi oszłamiony. . .

„Rödskinna”, tajemne dzieło jego życia, miała złote litery i przepiękne iluminacje. Ponieważ treść pochodziła z czasu run, a wszelkie czarnoksiężskie formułki zapisano runami i znakami magicznymi, bardzo często zniekształconymi i odwróconymi, całość była tajemnicza i dla nie wprowadzonych całkowicie niezrozumiała. Biskup nie chciał przekazać treści księgi nikomu, nikt po jego śmierci nie mógł jej odziedziczyć.

Tak więc „Rödskinna” została pogrzebana razem ze swym autorem.

Dwaj przyjaciele zatrzymali się przy bramie cmentarza.

— Wszystkie trzy księgi są ukryte lub pogrzebane — rzekł Snäbjörn. — Nie ma się zatem czego obawiać z ich strony.

Pastor, uspokojony, kiwał głową.

Ale, Boże mój, jakże się obaj pobożni mężowie mylili!

Gwałtowny poryw wichru szarpał ich ubrania, jakby chciał przekazać ostrzeżenie płynące ze świata grobów, z cmentarza.

Obaj milczeli, kiedy otwierali bramę i wchodzili do ciepłej siedziby proboszcza. Sira Jon nie uważał już jednak swego domostwa za przytulne ani bezpieczne. To przecież tutaj był nawiedzany i dręczony przez złego ducha.

Dopiero po sześciu tygodniach siła nieczysta dała mu spokój. Tej nocy bez przerwy śpiewał i wykrzykiwał mające odpędzić Szatana formułki:

niszczyc (przyp. tłum.). Bóg - w językach skandynawskich: Gud (przyp. tłum.)

„Krew dobrego syna Bożego zmywa każdy grzech.
Wierzymy w niego, to wiedzie nam się we wszystkim.
Diabeł spętany krzyczy u piekła bram.
Nie próbuj moich sił,
Bowiem Bóg daje nam zwycięstwo i łagodzi żal”.

Brzemie mimo to nie zniknęło. Wielkie, mroczne, wprost było słyhać, że ciężko dyszy; jakaś istota trudna do określenia. Sira Jon odczuwał śmiertelne zmęczenie po wielu tygodniach bez snu, udreżony nocną walką z czymś, co unikało starcia, ale nie przejmowało się w najmniejszym stopniu jego żarliwymi modłami ani zaklęciami, zawsze pomocnymi w takich przypadkach, w których ważna była łagodność!

Postanowił jednak się nie poddawać. Usiadł na łóżku, by wyraźniej widzieć to coś budzące grozę, co uciskało mu stopy, i nagle wydało mu się, że dostrzeżga jakieś zwierzęce, groteskowe, pozbawione konturów oblicze. Mimo ciężaru tak wielkiego, że łoże się ugięło, zjawia przypominała ciemną, niewiele ważącą chmurę. Z krucyfiksem wyciągniętym przed siebie pastor zamierzał nadal odmawiać zaklęcia, gdy nieoczekiwane głośne uderzenie w podłogę sprawiło, że podskoczył na posłaniu. Cień w jego nogach ani drgnął. Magiczne formułki proboszcza zaczęły przybierać formę, której Kościół może by nie uznał, lecz sira Jon był tak śmiertelnie przerażony i udreżony całą sprawą, że nie do końca ważył swoje słowa. By wzmocnić zaklęcia, stanął na łóżku i z góry przyglądał się duchowi ciemności. Kiwał się na swoim miejscu, więc i zaklęcia brzmiały dość niepewnie, choć głos był silny:

„Kafni, kulni, visni
kynngi, tofrar, fjokynngi,
dofni, en adrei dafni
dyngju seids ffolkynngi,
kremji ei ne komi
kringum mig ffolkynngi,
sluti nidr og slitni
slingir menn ffolkynngis. . .”

(Dusi się, stygnie, wiednie magiczna sztuka, nie na mnie siła czarnej magii spada, magiczna sztuka wokół mnie rozpryskuje się i znika).

Gdy kapłan doszedł w swoich zaklęciach do tego miejsca, przestraszył się, że używa czysto magicznych słów. Ponownie usiadł w pościeli, ogólny stan jego zdrowia nie pozwalał mu tak stać w zimnym pokoju. Bez sensu mamrotał pod nosem:

„Czarne pisma. . . rozpadają się na kawałki.
Paznokcie nie drapią. . . Włosy tracą swoją czarodziejską moc.
Zapadnij się w nicość! Znikaj natychmiast, Szatanie Czarny.
Znikaj natychmiast, Szatanie Czarny”.

Nie działo się nic. Wielebny Jon ukrył twarz w dłoniach i siedząc tak, pogrążony w najgłębszej rozpacz, od zaklęć przeszedł do modlitwy. Niemal bezgłośnie, śmiertelnie zmęczony szeptał błagalne prośby:

„Czy widzisz moje zmęczenie, Panie?
Nie pozwól, by Szatan mnie dręczył, błagam Cię.
Panie na ziemi i niebiesiech,
ześlij na mnie spokój.
Przyjmij moją udręczoną duszę
na tym śmiertelnym łożu”.

Nie, pomyślał natychmiast sira Jon wstrząśnięty. Przecież nie mogę umrzeć! Takiego zwycięstwa diabeł odnieść nie może!

Ogarnął go gwałtowny gniew i zaczął wrzeszczeć, nie zastanawiając się, co robi:

— Wynoś mi się natychmiast do piekieł, ty przeklęty wyrzutku! W imię Pana nakazuję ci zabrać ze sobą również tak samo przeklętych Jonssonów, bym się nareszcie mógł pozbyć tej zarazy z mojej parafii! Jazda stąd, ty czarny duchu z Hel!

Przerażony zakrył usta dłonią. Co ja zrobiłem? — przeniknęło mu przez myśl.

I wtedy. . . nareszcie zauważył, że straszny ciężar powolutku staje się jakby mniejszy, a mroczny cień w nogach łóżka rozplywa się. Sira Jon głęboko wciągnął powietrze dygocząc z przejęcia, wprost nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Z wyrzutami sumienia myślał o przekleństwach, które dopiero co miotał. Zaprawdę, nie były to słowa, jakie powinien wypowiadać spokojny, łagodny i dobry kapłan. Ale to właśnie te słowa pomogły! Po raz pierwszy widział rezultat swojej walki ze zmorą na łożku.

Sumienie jednak miał czarne niczym noc. On — pastor — posunął się do tego, by wyklinać swoich wrogów z parafii, a na dodatek życzył im, by znaleźli

się w miejscu, którego nazwy nigdy przedtem z własnej woli by nie wymówił!

Ale ani Jon Jonsson, ani jego syn nie zniknęli, i to stanowiło dla wielbego Jona pociechę w duchowej udreće.

Jon Jonsson otwarcie teraz przyznawał, że to on zesłał na proboszcza wszystkie bolesne doświadczenia, co więcej, pysznił się tym. Wielu bowiem uważało za sprawę honoru być zręcznym czarownikiem.

Podczas gdy w pozostałych krajach nordyckich o czary oskarżano przeważnie kobiety, z których zresztą co najmniej trzy czwarte to osoby najzupełniej niewinne, na Islandii sytuacja przedstawiała się zgoła odwrotnie. Ze stu dwudziestu jeden procesów o czary tylko dziesięć wytoczono kobietom, reszta oskarżonych to mężczyźni. Wśród nich znalazło się ośmiu pastorów. Do oskarżenia wystarczyło stwierdzenie, że człowiek zna magiczne runy i czarodziejskie formułki, gdyby natomiast dowiedziono, że oskarżony sam rył magiczne znaki, sytuacja stawała się naprawdę poważna. W trzydziestu czterech przypadkach oskarżonym o czary zarzucano spowodowanie na kogoś choroby lub śmierci. W siedemnastu przypadkach oskarżano o śmierć zwierząt domowych, czternaście osób odpowiadało za bluźnierstwo przeciwko Bogu lub też obrażanie imienia Bożego przez łączenie go z magią. Dwóch zawarło pakt z diabłem, jeden we śnie, a drugi na jawie, czterech mężczyzn miało, zgodnie z zeznaniami świadków, wskrzeszać martwych za pomocą czarnej magii, jeden wykopał zwłoki z grobu, by użyć ich do magicznych rytuałów, jeden z księży za pomocą czarów wabił do siebie kobiety, i tak dalej.

Oczywiście wśród postawionych przed sądem znalazło się wielu niewinnych. Oskarżenie kłopotliwych czy nielubianych sąsiadów o czary stanowiło wygodny sposób zemsty, bo łatwo dawano posłuch wszelkim tego rodzaju pogłoskom. Mimo to na Islandii było znacznie mniej niewinnie oskarżonych niż w Norwegii, Danii i Szwecji. Wielu Islandczyków przeżywało chwile prawdziwego napięcia przy eksperymentach z zakazanymi sprawami. Odległości pomiędzy zagrodami były tam znaczne, więc w długie i ciemne zimowe wieczory w samotnych zagrodach działy się różne rzeczy. Przeważnie pozbawione fantazji dziecinady, trzeba przyznać. Ale nie zawsze, o, nie! I chyba nie wszystko było takie niewinne!

Kary za magię i praktyki czarodziejskie były zróżnicowane. Niedaleko Thingvellir znajduje się wodospad z wielką głębią zwaną Drekkingsahylur — Jama Topielców. Wrzucano tam skazane kobiety; mężczyzn przeważnie ścinano, rzadziej wieszano. Stosowano też tortury i prześladowania. Palono również książki należące do osądzonych, a czyniono to tuż przy ich twarzach, by musieli wdychać dym. Wszystkie księgi magiczne, jakie znaleziono, szły na stos. Skazanych księży wyędziano z kraju. Innym, zwyczajnym ludziom obcinano ręce i uszy, poddawano ich chłoscie. W późniejszym okresie zaczęto też nakładać grzywny pieniężne.

Najbardziej jednak rozpowszechnionym sposobem karania za czary było pa-

lenie na stosie.

Nigdy natomiast nie zdarzyło się, by został skazany na śmierć czarnoksiężnik posiadający prawdziwą magiczną wiedzę, nikt by się na coś takiego nie poważył. Szacunek dla nich był w narodzie wielki.

Jon Jonsson starszy z Kirkjuból był przypadkiem z pogranicza. Raczej nie należał do uczonych czarnoksiężników. Umiał jednak wiele. Zbyt wiele. W mieszkańcach okolic Skutilsfjörðhur, czyli niewielkiej zatoki fiordu Isafjörðhardjúp w odległej północno-zachodniej części Islandii budził respekt pomieszany z przerażeniem.

Teraz zaś twierdził, że nie tylko przez wiele tygodni zsyłał czary na pastora, lecz że to również on uwolnił sługę Bożego od nocnej zmory.

Początkowo sira Jon poczuł się tymi oświadczeniami głęboko dotknięty. Sądził bowiem, że uwolniły go jego własne, szczerze modły. Że to sam Pan wysłuchał błagań swego sługi i przyszedł mu z pomocą. (Tutaj pastor świadomie odrzucał fakt, że pomogły nie tyle modlitwy, ile jego wściekłość i przekleństwa, które mიაł). Tak czy owak, sira Jon odetchnął z ulgą. Niestety, przedwcześnie. Bo to był dopiero początek.

Rozdział 3

W siedem lat później pastor zmuszony był pojechać do Kirkjuból. W zagrodzie Jona Jonssona wybuchła awantura. Syn gospodarza, Jon, pobił służącą. Gądano poza tym, że pewna młoda dziewczyna za jego sprawą jest w ciąży i że biedaczka została wypędzona z domu.

Pastor próbował uspokoić wzburzone umysły, co bardzo rozsierdziło Jona starszego. Nikt nie będzie się rządził w jego obejściu, a już na pewno nie ten znienawidzony klecha!

W sobotę 20 października 1655 roku do Eyri w Skutilsfjörðhur przybył Snäbjörn Palsson, by prosić swego przyjaciela, Sirę Jona, o odprawienie następnego dnia nabożeństwa w domu modlitwy w Kirkjuból; tamtejsi wierni pragnęli się pomodlić. Działo się to tuż po wizycie pastora w zagrodzie Jonssonów. Mimo zmęczenia sługa Boży bez szemrania wyprawił się po raz drugi w drogę. No, może z cichym westchnieniem.

Nieoczekiwanie zepsuła się pogoda, wiał porywisty wiatr, wody fiordu były wzburzone. Snäbjörn uważał, że powinni odłożyć wyprawę do Kirkjuból. Twarz mu pobladła, jakby przeczuwał, że sztormowa pogoda się nie uspokoi. I że burza czeka właśnie na Sirę Jona. Pastor natomiast nie okazywał lęku.

Później w okolicy szeptano, że kiedy sługa Boży zbierał się do wyjazdu z Eyri, ludzie, którzy widzą więcej niż normalni śmiertelnicy, spostrzegli podobne do psów bestie pędzące jak szalone na probostwo do łaźni. Znajdował się w niej właśnie walebnny Jon. Wbiegły przez otwory świetlne, prawie natychmiast wybiegły i pomknęły z powrotem nad zatokę. Tam wzięły kierunek na Kirkjuból i zniknęły. Także i tę magiczną sztuczkę Jon Jonsson przypisał sobie. Wysłał swoich, szpiegów, tłumaczył ze złowieszczym uśmiechem, bo chciał się zorientować, co pastor zamierza.

Podczas wizyty w Kirkjuból sira Jon mieszkał u swego przyjaciela Snäbjörna. W noc poprzedzającą nabożeństwo wrócił duch ciemności i jak przedtem położył się na stopach pastora, lecz teraz ciężar był dużo większy. Kiedy kapłan wstał, mara zniknęła. Przy pożegnaniu z dostojnym gościem Snäbjörn był bardzo zmartwiony...

W dzień po wizycie w Kirkjuból, gdy pastor znajdował się na powrót w swoim domu, nieoczekiwanie w środku dnia zapadł w głęboki sen i spał aż do wieczora. Kiedy się nareszcie obudził, spostrzegł przy swoich stopach coś okropnego, coś dużo gorszego niż tamten bezkształtny, cień. Nie mógł się jednak zorientować, co to takiego. Następnego dnia wielebny Jon zachorował. Wieczorem wszystko powtórzyło się w najdrobniejszych szczegółach i tak to trwało przez cały tydzień.

W niedzielę Jon Jonsson młodszy przyszedł na nabożeństwo do kościoła. Pastor głęboko wciągnął powietrze, nim odważył się spojrzeć mu w oczy. Po mszy Jon młodszy podszedł, by podziękować proboszczowi za modlitwę, i uściśnął mu rękę. Kapłan natychmiast poczuł bolesne pieczenie dłoni. Później Jon przyznał się, że wypisał na swojej dłoni magiczne znaki, by w ten sposób przenieść na służbę Bożego złe moce. Narysował mianowicie „angurgapi” (w jęz. islandzkim — narwaniec), znak udreki. Kółka i „zęby wideł” w skomplikowanym układzie. Pastor tarł dłonią o belkę w ścianie kościoła i stwierdził, że to pomaga. Pieczenie ustało. Przez kilka następnych dni czuł rwanie w prawym ramieniu, w końcu jednak i to ustąpiło.

W kilka tygodni później do kościoła przyszedł Jon Jonsson starszy. Ludzie zwrócili uwagę, że zatrzymał się przed jednym z kościelnych okien i długo się w nie wpatrywał. Przystanął również przed amboną.

Kiedy później proboszcz usiadł przy oknie, poczuł się niedobrze, a szczerze mówiąc, całkiem źle. Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, kiedy poszedł do ambony. Padł na podłogę i leżał pogrążony w modlitwie, cierpiąc dotkliwe bóle w całym ciele. W uszach mu szumiało i huczało, jakby jakieś diabły się na niego zawzięły. Opowiedział o tym parafianom, a wielu potem mówiło, że oni też słyszeli, a nawet widzieli niezwykle rzeczy. Ba, niektórzy utrzymywali, że byli świadkami, jak Jon, stojąc naprzeciwko kościelnego okna, poruszał wargami z diabelsko złośliwym uśmiechem. Ale ludzie miewają przecież bardzo bujną wyobraźnię.

W końcu diabeł wyszedł z ucha pastora i przybrał postać Jona Jonssona czy też jego syna. Tak ludzie gadali w jakiś czas po tym wszystkim.

Przez całą zimę ludzie w parafii widywali czerwonawe muchy, które towarzyszyły pastorowi wszędzie. Opisy tych małych diabelskich stworzeń były rozmaite. A to miały wyglądać jak motyle latające po wszystkich pomieszczeniach na plebanii, to znowu przypominały inne skrzydlate istoty, w relacji jednych miały długie ogony, winnych znowu szpony i kopyta. . .

Nie było końca ludzkim wymysłom.

Pewnego wieczora, kiedy pastor leżał i odpoczywał, nagle zauważył, że coś okropnego wydobywa się spod desek podłogi. Chwycił nabitą strzelbę i przegonił demona aż na dwór.

W dalszym ciągu jednak na plebanii i w okolicy straszyło, w końcu doszło do tego, że po zapadnięciu ciemności ani przez chwilę nie było spokoju. Niektórzy

w parafii widywali demony, inni dostrzegali jedynie najrozmaitsze dowody ich niecznej działalności. Ludziom robiło się bez powodu gorąco, to znowu ogarniał ich lodowaty chłód, mieli kłopoty z oddychaniem albo dostawali zawrotów głowy i tracili przytomność. Łóżka się kołysały, śpiący czuli, że biegają po nich jakieś zwierzątka podobne do myszy. Wszędzie, gdzie ktoś przebywał wieczorem lub nocą, stale paliły się światła, słyszano gwałtowne i potworne hałasy, złowieszcze skrzypienie budynków, nic i nigdzie nie gwarantowało już bezpieczeństwa. Wszystko to bardzo ciążyło wielebnemu Jonowi i tak już osobiście narażonemu na prześladowania ze strony diabelskich sług.

W końcu przeprawił się przez fiord, żeby porozmawiać z lensmanem i zmusić go do wytoczenia procesu o czary.

Nocą demony szalały w domu lensmana do tego stopnia, że był zmuszony wezwać swego zwierzchnika. Teraz już proces stał się nieunikniony.

Kiedy pastor wrócił do swojej parafii, udał się najpierw do kościoła, żeby się pomodlić. Nagle skądś z prawej strony doszło do niego ciężkie sapanie jak z rozwartej paszczy, wielkiego psa. To musi być wyjątkowo zły diabeł, pomyślał duchowny i nie był w stanie nawet rozpocząć modlitwy.

W pierwszą niedzielę adwentu sira Jon odprawiał nabożeństwo. Gdy wszedł na ambonę, odczuł działanie wielkiej siły magicznej. Ogarnęły go dotkliwe bóle, starał się jak najszybciej zakończyć kazanie, ale mimo wysiłku nie zdołał odmówić ostatniej modlitwy. Jęcząc rzucił się na, podłogę z rozpostartymi ramionami. Parafianie stali nad nim bez słowa, przerażeni, nie będąc w stanie się ruszyć.

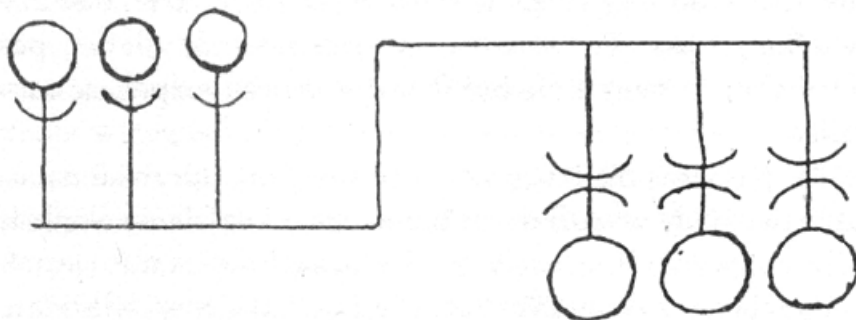
W końcu wielebnemu Jonowi udało się podźwignąć. Jedna z parafianek, młoda dziewczyna, zemdląła i upadła na podłogę. Odniesiono ją do domu, ale jeszcze długo potem często traciła świadomość.

Tej nocy mara znowu odwiedziła pastora. Świadkiem tego wydarzenia był gospodarz Björn Bjarnason z Arnardal po drugiej stronie fiordu. Człowiek ów zmiłował się nad wielebnym, zaprosił go, by na jakiś czas zamieszkał w jego domu.

Wszystkie te okropne zdarzenia przekonały sirę Jona, że to Jonssonowie mszczą się na nim za skargę u lensmana.

Zmora nawiedzała pastora także w domu Björna po tym, gdy Jonssonowie dowiedzieli się, gdzie przebywa. Pod koniec tygodnia silny i krzepki przedtem sira Jon zmienił się nie do poznania. Na plebanii rzeczy nie miały się nic a nic lepiej. Straszło teraz nawet na proboszczowej łódce. Jeden z rybaków został przewrócony na ziemię, nie umiał powiedzieć, kto mógł go popchnąć, ale przez pięć dni trwał w dziwnym stanie pomiędzy snem a jawą, pomiędzy niebem a piekłem.

Pewien człowiek mówił, że na lewej ręce Jonssona młodszego zauważył dziwny znak:



I człowiek ów wiedział na pewno, że taki znak czarownik kieruje przeciwko swemu wrogowi.

Sira Jon bardzo się lękał procesu. Kiedy Jon Jonsson został wezwany do sądu, pastor dostał tak gwałtownego ataku, że na usta wystąpiła mu piana. Był półżywy ze strachu i rozgoryczony na lensmana, który nie zakuł oskarżonych w kajdany, tak że mogli oni chodzić wolno podczas tingu, na którym sprawa miała być rozpatrywana. Wszyscy wiedzieli przecież, że Jon starszy posługuje się czarną magią od co najmniej trzydziestu lat, to znaczy od kiedy zaczął naukę u Maga-Leifi Thordharsona, znanego czarownika z Vestfjördarr. Istniało zaś wiele dowodów na to, że Jon Jonsson, kiedy go obrażono, mógł być naprawdę groźny.

Tuż przed rozpoczęciem tingu do Eyri przybył kat z Bardhastrandarsyssel na wypadek, gdyby było tu zapotrzebowanie na kogoś jego fachu. Ledwo się pojawił w osadzie, natychmiast dostał jakiegoś strasznego ataku i bliski śmierci został przeniesiony na plebanię. Leżał tam na łóżku proboszcza i ukazywały mu się okropne zmyły i demony. Opisywał zjawy tak, iż nie ulegało wątpliwości, że to Jonssonowie, choć on nigdy przedtem żadnego z nich nie spotkał.

Przywidział mu się jakiś młody człowiek, który rzekł: „Wiem, że przyszedłeś tutaj, by robić trudności mojemu ojcu, ale ja potrafię cię powstrzymać”. Potem, we śnie, człowiek ów wbił choremu nóż w piersi. Kiedy kat się obudził, odczuwał w tym miejscu dotkliwy ból. Jon młodszy miał dokładnie taki nóż, jaki przyśnił się katowi. Gdy w pewnym momencie nóż mu odebrano, niemal błagał o zwrot, co świadczy wymownie, że musiał go używać do mistycznych ofiar i do wycinania magicznych znaków.

Ting odbywał się 14 grudnia 1655 roku. Sira Jon ledwie się tam dowlóknął, taki był wyczerpany, zły i rozczarowany, że przewodniczący sądu nie zwrócił uwagi na to, co śniło się katu.

Przed kościołem Jonssonowie próbowali spojrzeć w oczy pewnemu człowiekowi. Najwyraźniej mieli zamiar rzucić na niego urok, by nie świadczył przeciwko nim. Przeszkadzono im jednak, a wtedy Jon młodszy wrzeszczał i przeklinał wszystkich, którzy jego i jego ojca obwiniali o magię oraz innego rodzaju czary.

Lensman, który przeszukiwał zagrodę pozwanych i znalazł tam magiczne znaki wypisane na cielej skórce, dostał silnego bólu stopy. Jon Jonsson dowiedziawszy się, iż skórę znaleziono, zaniemógł na długi czas i nie był w stanie wykrztusić ani słowa.

On i jego syn zapewniali nieustannie, że są niewinni, mimo to zostali skazani na Tylftareid, co można przetłumaczyć jako: „sąd tuzinowy”. Na Islandii sąd taki, złożony z dwunastu sędziów, był czymś w rodzaju instancji odwoławczej. Sprawę Jonssonów postanowiono rozpatrzyć podczas najbliższego tingu wiosennego. Proboszcz nie był zadowolony z tej decyzji, mimo to wyznaczono dwunastu ludzi, którzy mieli być sędziami. Jonssonowie tymczasem odmawiali przysięgi na Biblię.

Tej nocy wielu ludzi miało jakoby widzieć demony odprowadzające obu Jonssonów do domu. Ziemia drżała tam, którą szli, a morze się burzyło...

A do pastora znowu przysła mroczna zjawa, wobec czego w dzień zażądał on ponownego przeszukania w zagrodzie Jonssonów. On i lensman udali się tam niezwłocznie lecz niczego nie znaleźli. Lensmanowi wrócił tylko ból w nodze, ale kiedy Jonsson młodszy na nią popatrzył, ból minął.

Podczas nieobecności wielebnego Jona jego małżonka przeżyła kolejne spotkanie z siłą nieczystą, i to tak straszne, że musiała się schronić w oborze. Niepokoje na plebanii trwały aż do powrotu pastora. On się w końcu z tego wszystkiego rozchorował i aż do Bożego Narodzenia nie wstawał z łóżka, znosząc trudne do wytrzymania udręki i bóle: serce zamierało mu w piersi jakby krew z niego wypłynęła. Pastor lękał się, że Pan całkiem go opuścił. Podczas najbardziej dotkliwych bólów nie przestawał wypowiadać słów modlitwy, nieustannie oddając się Bogu w opiekę. Czasami zdawało mu się, że stalowy pręt przeszywa na wyłot jego ciało, innym razem przerażony stwierdzał, że to robactwo wygryza mu wnętrzności. Nigdy, nigdy ani na moment nie odzyskiwał spokoju.

Po Bożym Narodzeniu zwrócił się do innego lensmana, by zajął się jego sprawą, ten jednak odmówił. Pewnego dnia koło plebanii przejeżdżał konno Jon młodszy i skorzystał z okazji, by rzucić na pastora nowy urok, w wyniku czego ten o mało nie oszalał, tak mu szumiało i huczało w uszach. Nie pomogła nawet Biblia pod poduszką. Wręcz przeciwnie, zapuchło mu gardło, żyły na szyi nabrzmiały tak, że o mało nie popękały, i Biblię trzeba było usunąć. Ludzie z plebanii mówili, że wielebny głowę miał rozpaloną jak ogień.

Diabeł nawiedzał wszystkich, którzy zamierzali świadczyć przeciwko Jonssonom lub też modlić się za pastora. Dziwne muchy krążyły ponad głową duchownego dzień i noc. Wszyscy mogli je zobaczyć. Sira Jon splunął na jedną z nich, a wtedy poczuł, jakby mu się w żołądku zalęgło robactwo. Bliski był utraty rozumu i prosił parafian, by, jeśli coś podobnego się wydarzy, przywiązali go do krzyża. Gdyby zaś wtedy bluźnił przeciwko Bogu, to prosił, by mu zaszyli usta. Na ogół bardziej cierpiał we śnie. Zdawało mu się, że został wrzucony do bezdennej otchłani.

Z pastora została tylko skóra i kości, ale wciąż nie chciał źle życzyć Jonssonom. Prosił też swoich parafian, by nic przeciwko tamtym nie mówili. Thuridur, córka Jona Jonssona, nie mogła pojąć, że pastor nie oszalał, takie silne uroki na niego rzucano.

Niekiedy sira Jon zauważał, że przybywają anioły Pana, by złagodzić jego cierpienia. Pewien jasnowidz widział ubraną na białą postać, która rzekła: „Bóg pomaga nam wszystkim poprzez swoich świętych aniołów”. Wielebny Jon poczuł wtedy, że Pan o nim nie zapomniał.

Ani Jon, ani jego syn nie stawiali oporu, kiedy ich pojmano. Jonsson nie lękał się śmierci, ale jego syn był przerażony.

Ting zwołano na kwiecień do Eyri w Skutilsfjörðhur. Wszyscy byli przygotowani na to, że oskarżeni zostaną najpierw poddani wymyślnym torturom. Ale okazało się to niepotrzebne. (Być może ku rozczarowaniu niektórych gapiów). Ojciec i syn dobrowolnie przyznali się do uprawiania czarów i magii, obaj zostali skazani na stos, a wyrok sądu można przeczytać jeszcze i dzisiaj. Liczy on sobie wiele stron, a zaczyna się tak:

„Anno 1656, thann 9. aprilis, a Eyri i Skutilsfirdhi a til setta thirgja hreppa thingi og thinstad rettum voru thessar eptir skrifadir menn tu doms nefndir af erusamlegum Konglegrar Majestatis syslumönnum i...”

Wielu świadczyło, że obaj Jonssonowie zajmowali się czarami i magią, wiele dowodów zostało sfalszowanych, lecz Jon starszy z uporem twierdził, iż stosował czarodziejskie runy, by leczyć ludzi. W końcu przyznał również, że przy pomocy piekielnych sił sprowadził chorobę na pastora.

Jon młodszy również twierdził, że czynił dobrze. Wyleczył mianowicie chorego cielaka, wycinając mu na skórze pieczęć Salomona. Co prawda dwa razy posłużył się magią dla zdobycia kobiety, ale czy to coś złego? Robił też magiczne narzędzia do upuszczania krwi i wypowiadał nad chorymi zaklęcia zawsze z do-

brym skutkiem, co, jak uważał, powinno być zapisane na jego dobro. A oto dwa z tych jego zaklęć:

„Stos diabelski niech cię spali,
Niech cię szybko gniew zadławi.
Zło, którego życzysz mnie,
Niechaj spadnie na ciebie.”

„Piwo, które ci daję, ma magiczną moc.
Wielki Odyn i zła Gyda rzucali na nie uroki.”

W końcu również on przyznał, że wraz z ojcem rzucał uroki na wielbnego Jona Magnussona. Raz za pomocą magicznego znaku, który wymalował sobie na dłoni.

Dziesiątego kwietnia 1656 roku ojciec i syn spłonęli na stosie. Kiedy syn czuł, że płomienie liżą mu stopy, głośno wzywał diabła.

Po egzekucji rozdzielono ich majątek. Spłacono długi, wdowa dostała, co jej się należało, a resztę decyzją lensmana otrzymał pastor — jako zadośćuczynienie. Niestety, udreki proboszcza nie stały się po śmierci prześladowców mniejsze. Jon młodszy ukazywał mu się wiele razy, zdecydowano więc, że należy jeszcze raz przeszukać popiół, który został ze stosu; być może ogień nie strawił do końca duszy lub rozumu czarownika?

Szukano tedy w popiele i odnaleziono dwa mózgi, częściowo tylko spalone. Palono więc resztki ponownie, raz i drugi, i trzeci. I dopiero po tym zniknęły z parafii wszelkie zjawy i wszelki niepokój.

Pastor jednak wciąż był chory. Teraz oskarżał Thuridur, córkę Jona starszego, że ona też uprawia czary, bo uczyła się magii w dzieciństwie wraz ze swoim bratem, Jonem młodszym. Tak uważał pastor i powtarzał, że równie strasznej baby jak ona nigdy przedtem nie spotkał.

Thuridur została postawiona przed sądem, ale, ku wielkiemu zagniewaniu proboszcza, oczyszczono ją ze wszystkich zarzutów.

Tak więc trudno rozstrzygnąć, kto został zwycięzcą, a kto przegranym w długiej walce pomiędzy wielbnym Jonem a czarownikami.

Tymczasem owa dziewczyna, którą Jon Jonsson młodszy porzucił w ciąży, zdążyła urodzić malutką i słabowitą córeczkę. Matka zmarła w porożu, a dzieckiem zajęła się jakaś starsza daleka krewna ze Skagafjörðhur na północy Islandii. Ona jedna zatroszczyła się o to dziecko grzechu. Ale właśnie od niego zaczyna się wszystko, o czym tutaj opowiemy.

Rozdział 4

Bergen, Norwegia, początek osiemnastego wieku.

Tiril siadywała często na wzgórzu poza miastem z ręką wspartą na kudłatym karku Nera. To dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Rozmawiali ze sobą niewiele, bo po pierwsze psy na ogół nie mają takiego zwyczaju, po drugie zaś Tiril nie znajdowała słów na opisanie swojej rozpacz i osamotnienia. Oboje jednak czerpali siłę i spokój z tego, że mogą być razem.

Pogrzeb Carli był dla wszystkich niezwykle trudnym przeżyciem. Tiril obciążała się winą za śmierć siostry, uważała bowiem, że powinna ją była mimo wszystko skłonić do szczerzej rozmowy. Może to by pomogło, może Tiril potrafiłaby zrozumieć, co dręczy siostrę?

Tęskniła za Carlą tak bezmiernie, że sprawiało jej to fizyczny ból. Rodzice zamykali się, każde w swoim pokoju, każde ze swoją rozpaczą, i nawet przez myśl im nie przeszło, że Tiril może cierpieć. Kiedy spotykali się przypadkiem, natychmiast zaczęli się nawzajem oskarżać o śmierć córki. Żadne nie szukało winy w sobie.

W końcu matka nie była w stanie dłużej tego znieść i wyjechała do Christianii, do siostry, by tam otrząsnąć się z żałoby.

Tiril odprowadziła ją do granic miasta, po czym zamierzała wrócić do domu.

Gdy znalazła się sama, natychmiast przybiegł Nero i poszli oboje na swoje wzgórze, by tam w spokoju pomyśleć.

— Dzięki, że jesteś ze mną, Nero — szeptała Tiril spoglądając smutnym, rozmarzonym wzrokiem na miasto. — Dziękuję ci, że jesteś moim przyjacielem!

Nero tulił do niej głowę na znak, że pojmuje.

Myśli dziewczyny szukały jakiegoś oparcia, ale go nie znajdowały. Zbyt wiele było pytań, zbyt wiele bólu i rozpacz.

Dlaczego nie zdołała niczego zrozumieć? Dlaczego nie umiała wesprzeć swojej siostry? Dlaczego Carla nie pozwoliła sobie pomóc?

Nieustannie powracała właśnie do tych trzech „dlaczego”. Wciąż i wciąż od nowa.

Straszna samotność. I tęsknota. Nieludzka, niemal nieznośna tęsknota.

Tiril nie wiedziała przecież jeszcze, że istnieją tajemnice, których człowiek całkiem po prostu nie może nikomu powierzyć. Carla z pewnością bardzo chciała wyrzucić z siebie zgryzotę, ale jak miała to zrobić? Skąd to biedne dziecko miało wziąć tyle odwagi?

Tiril schudła, ale akurat to jej nie martwiło. Miała czternaście lat, to wiek, w którym ciało młodego człowieka się zmienia.

W tym czasie smutku i żałoby największą jej pociechą był Nero. Niestety, nie mogła go spotykać tak często jak przedtem, bo po śmierci Carli jakby łatwiej zauważano, że Tiril nie ma w domu.

Następnego dnia sprawy ułożyły się bardzo źle. Po śniadaniu ojciec zapytał ją z marsem na czole:

— Gdzie podziewałaś się wczoraj wieczorem, młoda damo?

— Wczoraj? Odprowadzałam mamę do granic miasta.

— Powiedziałem wyraźnie: wczoraj wieczorem! Nie było cię w twoim pokoju.

Tiril zaczerwieniła się gwałtownie.

— Ja? Ja...

Co, na Boga, ojciec miał do roboty w jej pokoju? Znowu? W końcu zdołała się jakoś opanować.

— Ach, wieczorem! Byłam na strychu, bo chciałam znaleźć mój zimowy płaszcz. Ale go nie znalazłam.

Ojciec gapił się na nią, jakby nie rozumiał, co mówi.

— Musiałaś bardzo długo szukać — rzekł z wolna skrzeczącym głosem.

— Tak, szukałam po całym strychu.

— Mhm.

Dał spokój, jakby chodziło mu o co innego. Tak było bez wątpienia, widziała to wyraźnie.

Musi zatem być bardziej ostrożna. Najlepsza pora na wyjście z domu to wczesny rano, ojciec na ogół długo sypia.

Nero szybko się przyzwyczaił do tego nowego rytmu. Psy mają niewiarygodną zdolność dostosowywania się, ale oczywiście dziwiło go, że porzucili wieczorne wyprawy. Właściwie jednak takie spacerunki były rankiem chyba jeszcze przyjemniejsze.

Ów tajemniczy, tęgi mężczyzna znowu powrócił. I w jego głosie brzmiała już całkiem wyraźna groźba.

Tiril ukradkiem słuchała jego rozmowy z ojcem.

— Nic panu to nie pomoże, panie Dahl. To była szalona dziewczyna, a pan i tak na tym nie zyskał.

— Nie sądzi pan chyba, że ja miałem coś wspólnego z tą sprawą?

— Na ten temat nic mi nie wiadomo — odparł gość chłodno. — Ale miał pan szczęście, że to nie była tamta druga. Bo w takim razie można by przypuszczać to i owo.

Tiril domyślała się po brzmieniu głosu ojca, że zaczerwienił się jak burak i sapał jak zawsze, kiedy był naprawdę wściekły.

— To najbardziej bezwstydną insynuacją, jaką kiedykolwiek słyszałem! Nie macie ani krzty wstydu w sercu, człowieku!

— Jest mi najzupełniej obojętne, co pan o mnie sądzi. No cóż, zatem, powiedzmy, trzy miesiące. Ale to już absolutnie ostatnia prolongata. Potem dom, stajnia, cały majątek, idą pod młotek!

— Oczywiście, ja wszystko do tego czasu zorganizuję — odparł ojciec zarozumiale. Mamrotał coś jeszcze pod nosem, ale zbyt cicho, by Tiril mogła zrozumieć.

— Tak? — zapytał tamten z szyderstwem. — Znam sytuację równie dobrze jak pan.

Obcy znowu zniżył głos. Ale to było najwyraźniej ostatnie zdanie. Pożegnali się, a Dahl jeszcze długo potem kręcił się po pokoju, sapiąc gniewnie. Twarz miał mroczną niczym gradowa chmura. Tiril nigdy jeszcze nie widziała go ogarniętego taką wściekłością. Ani tak... zdecydowanego!

Właśnie ten wyraz jego twarzy przerażał Tiril bardziej niż cokolwiek innego. Na nogach zeszywniałych z narastającego strachu, którego przyczyny nie umiałaby określić, powróciła do swojego pokoju.

Atmosfera domowa stała się nieznośna również z innego powodu.

Ojciec nieustannie obserwował Tiril. Raz po raz zaskakiwała go, gdy siedział i gapił się na nią w jakiś bardzo dziwny sposób. A kiedy na niego spojrzała, natychmiast odwracał oczy.

Wielokrotnie nawiedzał ją we wspomnieniach pewien obraz. Mianowicie widok ojca w jej pokoju, wpatrującego się w nią, z czymś białym, co trzymał w ręce. Szalik? Pas białego materiału? I ten zdecydowany, niemal desperacki wyraz jego twarzy. Orz jego ciche „nie”, kiedy pospiesznie wychodził z pokoju.

Ojciec zaczął się też teraz troszczyć o jej wygodę i samopoczucie. To było coś nowego. Tiril uważała, że powinna być tym wzruszona. Tymczasem doznawała uczucia, że coś obrzydliwego pełźnie po jej skórze, od karku w dół, po plecach, obejmuje całe ciało.

Wstydziała się okropnie swojej reakcji.

Tysiące razy próbowała sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Carla zrobiła ze sobą koniec właśnie w chwili, kiedy nareszcie pozwolono jej wyjść za mąż za człowieka, którego pragnęła poślubić. Dlaczego, dlaczego?

W takich razach dobrze było mieć przy sobie Nera. Dobrze było ukryć twarz w jego szorstkiej, kudłatej sierści, słyszeć jego pomruki, czuć jego bezgraniczną cierpliwość.

Tiril szeptała do niego:

— Nie wiem, Nero, co to jest. Mam wrażenie, jakby czał się za mną jakiś wielki, ponury cień. Jakby w przyszłości groziło mi jakieś zło. Budzę się często w środku nocy, właśnie dlatego, że śnił mi się taki cień. I nie rozumiem, co to może oznaczać.

Wzdychała i gładziła czworonożnego przyjaciela.

— Gdybym tak mogła przez cały czas być razem z tobą! To okropne, że musimy mieszkać z dala od siebie. Ale nie wolno mi zabrać cię do domu.

Zrezygnowana zakończyła:

— Zresztą i tak nie mam już dokąd cię zaprosić. Tego w ogóle nie można nazywać domem. Odczuwała gwałtowną niechęć na myśl o tym, że będzie musiała tam wracać. I po raz pierwszy myślała, że ci biedacy, którym nadal starała się pomagać, są szczęśliwsi od niej. W takich chwilach najchętniej zamieniłaby się z którymś z nich miejscami, wzięłaby ich wolność w zamian za tę dławiącą, chorobliwą atmosferę, która zapanowała ostatnio w eleganckim domu konsula Dahla.

Rozdział 5

Islandia, Anno Domini 1699.

Była wczesna wiosna. Nad pokrytymi lodem szczytami Vatnajökull wisiał zimny księżyc. Dniało.

Siedmioro jeźdźców, pięciu mężczyzn, kobieta i trzynastoletni chłopak, podróżowało od północy. Byli w drodze już od wielu dni. Teraz musieli też jechać przez znaczną część nocy, by jak najprędzej wydostać się z morderczych pustkowi Sprengisandur. Ani konie, ani ludzie nie byli już w stanie wytrzymać dłużej głodu i wyczerpującej jazdy po dokuczliwych drobnych kamieniach.

Cel podróży stanowiło Thingvellir. Troje z wędrowców miało tam stanąć przed sądem za czary i posługiwanie się magią. Tak ciężkie okazały się ich występstwa; że musieli zostać postawieni przed samym Alltingiem. Co najmniej jedno z nich czekała śmierć. Być może wszystkich.

Pozostali mężczyźni byli strażnikami. Znajdował się wśród nich lensman ze Skalholt, który pojmał czarowników osobiście w najbardziej na północ położonych rejonach Islandii. W tamtą stronę strażnicy kierowali się na Kjölur, ale podróż była tak męcząca, że tym razem wybrali szlak przez Sprengisandur. Zbyt późno przekonali się, że w porównaniu z tymi pustkowiami droga na Kjölur mogła się wydawać niedzielną wycieczką.

A więc troje miało stanąć przed sądem. Tymczasem to pozostała czwórka bała się naprawdę. Dygotali przerażeni koszmarną podróżą, podczas której jednak ani straszna okolica, ani sami więźniowie nie byli najbardziej niebezpieczni. Najgłębiej przerażało ich wstrząsające spotkanie ze światem cieni i Czarnej magii.

Minęli już otoczone złą sławą Odadhahraun, ale to właściwie nie znaczyło nic w porównaniu z lękiem, jaki trawił ich dusze. Sforsowali niezliczone rzeki i potoki, kryjące nie znane im głębie, ale pożyteczne o tyle, że konie mogły się napić. Opatrywali wrażliwe końskie nogi i pozdzierane kopyta, jechali przez cały dzień w ulewnym deszczu...

Drobiazgi, to tylko drobiazgi.

I wciąż nie widać końca drogi, wciąż jeszcze tak strasznie daleko do celu.

Oskarżeni natomiast zdawali się przyjmować wszystko z niezmiennym spokojem.

Na małych, silnych islandzkich konikach siedmioro ludzi przemierzało bezkresne Sprengisandur, które co jak co, ale nazwę miało godną siebie. Konie, owce, ludzie ginęli często na tych nielitościwych pustkowiach.

Jechali przez mroczne bezdroża, nad którymi księżyc nie miał władzy, przez szare, kamieniste pustkowia. Lawy wulkanicznej tu nie było, tylko te drobne, ostre kamienie. Na zachodzie księżyc oświetlał lodowiec Hofsjökull, na wschodzie natomiast mienił się niebieskim blaskiem przerażający Vatnajökull. Gdyby się odwrócili, mogliby jeszcze zobaczyć mający w znacznej odległości Tungnafellsjökull o niewiarygodnych barwach — widok przypominający raczej olejne malowidła niż rzeczywisty pejzaż. Haganga, widoczny z daleka szczyt, którego obraz towarzyszył podróżnym przez niezliczone godziny, znajdował się teraz z tyłu, na skos od nich. Byli w drodze ku zielonym łąkom w dolinie u stóp Hofsjökull, szli do jedynej oazy, w czasie całej podróży. Tam konie będą mogły się najeść świeżej trawy i odpocząć, tam oni sami będą mogli zebrać siły przed śmiertelnie męczącą drogą dalej na południe.

W milczeniu przemierzali wędrowcy bezkresne pustkowia Sprengisandur. Nigdzie ani śladu człowieczej siedziby, nigdzie ukrytego w jamie zwierzęcia, nigdzie ptasiego gniazda, nic.

Konie szły krokiem zwanym tutaj tyłt, co potrafią jedynie islandzkie koniki, a co sprawia wrażenie, że i konie, i jeźdźcy płyną naprzód. Widok w tej bladej księżycowej poświacie zaiste upiorny...

Czterej strażnicy, dwaj na przedzie i dwaj z tyłu, czuli się najogólniej mówiąc niepewnie. Od początku z największą niechęcią przystępowali do obowiązku pojmania gdzieś na północy podejrzanych o czary. Jeszcze bardziej stracili na humorze, gdy biskup ze Skaltholt dał do zrozumienia, iż pewnie będą musieli zarywać noce, by zdążyć na czas do Thingvellir.

„Noc to ich pora” — uświadomił lensman biskupowi. „Mogą rzucić na nas urok”.

Biskup ze Skaltholt odpowiedział: „Nie zapominajcie jednak, że Pan jest z wami w tym ważnym zadaniu! Mój kolega, biskup z Holar, specjalnie mnie prosił, bym się zajął tą sprawą. On rozkłada ręce, gdy chodzi o takich zatwardziałych grzeszników; zrobił już, co mógł, ale ci nie wykazali najmniejszej poprawy ani nie wyznali swoich grzechów. Dlatego muszą zostać postawieni przed Alltingiem wobec całej Islandii i zostać osądzeni tak przez świeckie, jak i przez kościelne władze. I pamiętajcie: powinni być pojmani podczas snu. W przeciwnym razie nigdy ich nie dostaniecie. I muszą zostać dostarczeni tutaj po kryjomu, pojedziecie również nocą, jeśli będzie trzeba, przez poświęconą ziemię Skaltholt i dalej do

Thingvellir. Najlepiej, żeby was nikt nie widział!”

No i tak się stało. Nigdy jednak lensman i jego ludzie nie przypuszczali, że podróż będzie taka okropna!

Zaczął się niewinnie, ot taka nawet dość przyjemna podróż na północ. O nic się nie troszczyli, jadali i pili obficie w zagrodach, w których przyszło im nocować. Czuli się ważni, więc zadzierali trochę nosa. Zapominali o tym „po kryjomu”, rozprawiali o swoim zadaniu i cieszyli się niemym podziwem wytrzeszczających oczy słuchaczy. Patrzcie, nie boją się pojmać takich groźnych czarowników! To ci dopiero. Że też się ważą!

Jechali tedy przez Kjölur, rozciągającymi się równolegle do Sprengisandur szlakami przez pustkowia. Jechali wzniesając kłęby pyłu, a kiedy nareszcie znaleźli się w nieco żłźniejszycch dolinach północnej Islandii i poprosili o nocleg w pierwszej napotkanej plebanii, humory zmieniły im się zupełnie, stali się mili i nieskorzy do żartów. Tutaj bowiem się dowiedzieli, kogo mianowicie mają eskortować.

Proboszcz, poinformowany, w jakiej sprawie czterej jeźdźcy podróżują, zrobił się niebywale gadatliwy. Mówił i mówił, używał uczonych słów, które przyswoił sobie od jakiegoś profesora, a przybysze mogli jedynie słuchać. Kto by się odważył przerywać duchownemu! W trakcie tego monologu lensman zdumiewał się raz po raz tym, jak często pastor oskarża ludzi o czary. Zatem ludzie kościoła musieli święcie wierzyć w sztukę czarnoksiężników!

Sira Gudmundur rzekł w zamyśleniu:

— My, uczeni, wątpimy w to, że można odegnać diabła. Pomyślcie tylko, jak to było z wielebnym Jonem ze Skutilsfjörður. Diabły i duchy zostały wprawdzie na jakiś czas odpędzone, ale same egzorcyzmy sprzyjały rozszerzeniu się władzy Szatana.

Czterej słuchacze w skupieniu kiwali głowami. Czasami rozumieli, co proboszcz mówi, niekiedy słowa płynęły niezrozumiałe ponad ich głowami.

Pastor był w znakomitej formie:

— Zły powiada: „Otrzymasz wszystko, czego tylko zapragniesz. Chcesz powodzenia w połowach? To przyjmij mnie do swego serca i uwierz w moje sakramenty, a nałowisz ryb więcej niż ktokolwiek inny. Chcesz zdobyć kobietę? Skrop swoją krwią moją charagmę, czyli magiczny znak, a kobieta będzie twoja. Gdybyś chciał zemścić się na swoich wrogach albo gdybyś musiał się bronić przed złym duchem, wtedy ja, sam Belzebub, przepędę ich od ciebie. . .”

W tym momencie czterej słuchacze domyślali się niepewnie, że mówiąc „zły duch” opowiadający miał na myśli dobrego ducha.

Pastor cytował dalej, mówił, jakby to były jego własne słowa:

— Szatan powiada: „Jeśli pójdziesz dalej za mną, staniesz niczym Bóg, po-

siądziesz znajomość złego i dobrego. I ja dam ci całe bogactwo świata, mądrość i ukryte zdolności dużo lepsze niż wszystko, co mógłby dać ci Bóg”.

Jeden ze słuchających drgnął gwałtownie, zdjęty nagłymi wyrzutami sumienia. Siedział tu i życzył sobie tego wszystkiego. Brzmiało to tak kusząco.

— A teraz przechodzimy do sprawy nieco bardziej drastycznej w nauce Złego Ducha: „Jeśli chcesz, by nazywano cię uczonym, powinienes ukryć w skrzyni ludzką głowę!”

— O, fuj! Czegoś takiego nie zrobię! — rzekł najmłodszy i najmniej wykształcony z wysłanników.

Sira Gudmundur popatrzył na niego surowo.

— Przecież te słowa nie były skierowane do ciebie! „Ona da ci odpowiedź na wszystko to, o co zapytasz”.

Młody strażnik zzieleniał na myśl o mówiącej ludzkiej głowie.

— Rozumiecie chyba — ciągnął sira Gudmundur. — Diabeł pozwala, by czarnoksiężnicy posiadali wielką siłę, ale nie czyni tego za darmo. A zapłata nie jest mała: jest nią czarnoksiężnik z ciałem i duszą.

Wszyscy rozmyślali nad tym faktem. Nad plebanią zapadała noc. Ten i ów z wysłanników ziewał dyskretnie, ale zaraz znowu natężał uwagę. Bo właśnie teraz mieli się dowiedzieć, kogo kazano im pojmać.

Wszyscy wyraźnie pobledli, lensman również.

— Człowiek nazywa się Gissur Bjarnasson — rzekł sira Gudmundur.

O tym wysłannicy wiedzieli już przedtem, ale teraz stał się on dla nich czymś więcej niż tylko nazwiskiem.

— Wiele razy bywał oskarżany o czary, ale nie znajdowano na to dowodów. Tym razem jednak dowody zgromadzono.

Wszyscy pochylili się do przodu, by lepiej słyszeć słowa pastora.

— Pięciu ludzi oskarża go o uprawianie magii i rzucanie uroków. A do tego pewnego dnia pojawiły się nowe informacje. Gissur Bjarnasson miał jakoby wyrwać zęby i wydobywać kości ze zwłok, by używać ich potem do swoich praktyk. Jeden skarży go o to, że sprowadził na jego córkę wieloletnią chorobę. Czarnoksiężnik temu zaprzecza, ale przyznał się, że zna magiczne znaki i runy i potrafi się nimi posługiwać. Przyznał się także, iż zmienił modlitwę „Ojcze nasz”. On modli się inaczej: „Szatanie nasz, któryś jest w Piekle...” Ach, cóż za potworne bluźnierstwo!

Pospiesznie złożył ręce i pograżył się na chwilę w modlitwie, być może prosił, by złe słowa nie miały do niego przystępu. Tego przecież dobry pastor za nic by nie chciał.

Ponieważ goście słuchali z wielką uwagą, mówił dalej:

— Gissur również bluźnił przeciwko Chrystusowi i wyrażał się pogardliwie o komunii: „Lepiej niż chleb i wino smakowałyby wszy i ich krew”. Poza tym

odwrócił tekst jednego z psalmów. I domyślacie się oczywiście, że to on był tym czarnoksiężnikiem, którego należało sprowadzić, by pochować upiora z Myrka?

Jeden ze słuchających skulił się.

— Co? To był on?

W pokoju zaległa złowroga cisza.

Wszyscy słyszeli o diakonie z Myrka, była to ponura historia o duchach, jedna z najbardziej przerażających opowieści tego rodzaju.

— E, to przecież tylko takie wymysły! — roześmiał się lensman nieszczerze.

— Nic podobnego — zaprotestował pastor. — To najprawdziwsza prawda! I wydarzenia rozegrały się niedaleko stąd. Ja nawet rozmawiałem z Gudrun, która została uprowadzona przez upiora, ale uszła z tej przygody z życiem. Upiorem był jej zmarły ukochany. Teraz Gudrun jest już starą kobietą. Ale dość o tym, Gissur to bardzo niebezpieczny człowiek, musicie obchodzić się z nim bardzo ostrożnie. Nie wolno go drażnić! Bo kiedy się rozżłości, to naprawdę nie wiadomo, co może zrobić. Nie wiem, co się stanie, jeśli go stracą, bo przecież zawarł pakt z szatanem, że będzie mógł powrócić na ziemię i zemścić się na tych, którzy go pojmali lub uwięzili.

Czterej wysłannicy spoglądali po sobie. Czy naprawdę mieli prowadzić kogoś takiego?

— A... kobieta? — zapytał lensman ze Skalholt.

— O niej wiemy mniej. Nosi imię Helga i jest w wieku między trzydzieści i czterdzieści lat. Oskarżyła ją inna kobieta, na którą jakoby sprowadziła chorobę. Dziwną chorobę, dotknięta nią kobieta wydawała z siebie bełkotliwe dźwięki i drżała na całym ciele, kiedy stanęła przed sądem, by wszystko wytłumaczyć. Helga Jonsdottir wyparła się, naturalnie, wszystkiego.

— Czy ona jest ładna? — zapytał urzędnik, kierując niespokojny wzrok na najmłodszego ze swoich pomocników.

— Nigdy nic na ten temat nie słyszałem — odparł sira Gudmundur. — Ale wiem, że groziła śmiercią tym, którzy chcieliby ją uwięzić. Mimo wszystko zostanie ona skazana jedynie na chłostę, obawiam się.

— Obawiacie się? — zapytał jeden z wysłanników, przeczuwając najgorsze.

— Owszem. Bo Helga Jonsdottir jest z pewnością bardziej niebezpieczna, niż by chciała okazać. W jej żyłach płynie zła krew. — Pastor zniżył głos. — Helga jest córką Jona Jonssona młodszego z Kirkjuból nad Skutilsfjörðhur.

— Czyżby to ona była owym dzieckiem, nad którym ulitowała się jakaś daleka krewna i zabrała ze sobą tutaj, do Skagafjörðhur? — zapytał lensman niepewnie. — Ależ tak! Walka siry Jona z czarnoksiężnikami jest przecież dobrze znana w całym kraju.

Pastor pokiwał głową.

— Tak, tak, takich to ludzi sprowadza się do naszego spokojnego zakątka Islandii.

To jednak była znaczna przesada. Magia i czary rozwijały się wspaniale również w Skagafjörður nawet bez udziału tego nieślubnego dziecka ze Skutilsfjörður.

— Ale ta kobieta, Helga, jest niewinna?

— Mmm — mruczał pastor długo, a w jego głosie brzmiał sceptycyzm. — Chybaście nie słyszeli, jak to było później z nieszczęsnym sirą Jonem Magnussonem.

— Nie.

— Jon Jonsson młodszy miał siostrę, niejaką Thuridur, która nadal prześladowała proboszcza. Tak, prawdą jest, że została pozwana przed ting, ale był to kompletnie nieudany proces.

— Pod jakim względem?

— Ona była winna. Takie jest moje niezłomne przekonanie. Ona, Thuridur Jonsdottir, posiadała wszystkie tajemne pisma swego ojca, Jona Jonssona starszego. I przekazała je w spadku nieślubnej córce swojego brata, Heldze. Teraz właśnie należą do tej kobiety.

Ukradkowe spojrzenia, jakie strażnicy posyłali sobie nawzajem, były coraz bardziej lękliwe.

— Ale to nic — powiedział sirą Gudmundur pośpiesznie, podejmując nieudaną próbę uspokojenia przybyszów. — Jon Jonsson starszy nigdy nie był jakimś wykształconym czarnoksiężnikiem. To, co umiał, pochodziło od Thorleifura Thordharssona, który nosił przydomek Mag-Leifi. A on sam też uczony nie był. Natomiast Jon Jonsson i jego syn mieli w dziedzinie magii naturalne uzdolnienia. Urodzili się dla grzechu i złych postępów Szatana.

Trzej dzielni ludzie lensmana skulili się jeszcze bardziej na swoich stołkach.

— No, ale chłopiec to już chyba nie jest niebezpieczny? — zapytał jeden z nich odważnie.

Wielebny Gudmundur odpowiedział:

— Nie, to po prostu jeszcze dziecko! Chociaż ludzie gadają, że potrafi to i owo! Chłopak jest synem Helgi i to dlatego macie go również wziąć.

— Synem Helgi? — powtórzył lensman niepewnie. — To by znaczyło, że jest wnukiem Jona Jonssona młodszego?

— I prawnikiem Jona Jonssona starszego. Tak jest! Tak więc w jego żyłach płynie zła krew. A wiedźma Thuridur jest ciotką jego matki.

— No, wszystko by się zgadzało... Skoro jednak on niczego złego nie zrobił...

— Niczego nie zrobił? — prychnął sirą Gudmundur. — On został wyrzucony ze Szkoły Łacińskiej w Holar...

— Wyrzucony? Dlaczego? A właściwie to jak on się nazywa? — pytał lensmann. — Mnie podano tylko jego przydomek, Móri, a to mówi niewiele.

— Moim zdaniem wyjaśnia wszystko. Móri, czyli brunatny jak torf, to bardzo częste imię czarnoksiężników. To znaczy upiorów, które wracają na ziemię. Mówi się, że wielu z tych czarnoksiężników, którzy wychodzą z grobów, jest nieśmiertelnych. To upiory, których Islandia nigdy się nie pozbędzie. Móri, brunatny jak ziemia, jak muł cmentarny. Tak więc młodzieniec znajduje się „w dobrym towarzystwie”. Słysząc nawet tu i ówdzie pogłoski, że... on jest synem jednego z takich! A poza tym to nie słyszałem jego innego imienia.

— Ale dlaczego został wyrzucony ze Szkoły Łacińskiej? — powtórzył któryś z wysłanników. Ten fakt niepokoił wszystkich znacznie bardziej niż duchy.

— Ech, to tylko głupstwo. Szczeniackie wymysły. Ludzie gadają, że przeczytał po kryjomu całą tajemną „Graskinnę”, ale ja w to nie wierzę. Księga jest przecież dokładnie zamknięta i strzeżona, a poza tym została spisana za pomocą magicznych run, których on raczej nie mógł rozumieć...

— Nie mógłby, gdyby nie miał dostępu do dziedzictwa swej matki. Do zakazanych pism o magii i czarach, które zostawił Jon Jonsson — wtrącił lensman.

— Nie chce mi się w to wierzyć — powtórzył pastor. — Ale zrobił coś gorszego: został mianowicie przyłapany na rozkopywaniu grobów na cmentarzu w Holar. Chciał odnaleźć grób biskupa Gottskalka i zdobyć „Rödskinnę”!

Jeden ze słuchających jęknął tak głośno, że aż się zaniósł kaszlem. W kątach plebanii czały się mroczne cienie.

— Udało mu się to? — zapytał inny pospiesznie.

— Oczywiście, że nie! Nikt nie wie, gdzie spoczywa zły biskup, prawdopodobnie w krypcie pod podłogą kościoła. A „Rödskinna” musiała już całkiem zbutwieć, podobnie zresztą jak Gottskalk Groźny. Tak czy inaczej chłopiec jest niewinny. Po prostu pomysłowe i sprytnie dziecko. To z dorosłych nie powinniście spuszczać oczu.

Najmłodszy z wysłanników głośno przełknął ślinę.

Czarnoksiężnik Gissur Bjarnasson groził, że jeśli zostanie stracony, powróci na ziemię jako upiór. Kobieta imieniem Helga mogła sprowadzić na nich śmierć swoją magiczną sztuką...

Sira Gudmundur wstał na znak, że rozmowa dobiegła końca.

— O jedną rzecz chciałbym was jednak usilnie prosić: Nie przejeżdżajcie tędy, kiedy już będziecie wracać z całą trójką! Nocleg i dach nad głową znajdziecie w torfowych budynkach w Saurba.

Lensmanowi drżała broda, kiedy pytał:

— Eeech... Saurba? Czy nie jest gdzieś w pobliżu Myrka? Jego ludzie popatrzyli na siebie, a potem na mroczne cienie w kątach.

— Oczywiście — odparł pastor spokojnie. — Ale tym się nie przejmujcie. Wydarzenia w Myrka miały miejsce tak dawno temu.

Chyba jednak nie tak dawno. Przecież nieszczęsna Gudrun jeszcze żyje. Czy nie mieli prowadzić ze sobą tego czarnoksiężnika, który w końcu nakłonił diako-

na, by przestał straszyć? Historia, jedna z najbardziej makabrycznych opowieści o miłości, która przekracza granice śmierci, głośna była przecież na całej Islandii. Ale żaden z czterech wysłanników nie znał jej dokładnie, bo opowiadane przez ludzi historie rozprzestrzeniając się jak niesione wiatrem, stają się coraz mniej wyraziste, otrzymują jakieś nowe wątki, a tracą dawne. Powszechnie jednak twierdzono, że wydarzenia w Myrka były prawdziwe. Teraz zaś oni, czterej jeźdźcy, znaleźli się okropnie blisko tego miejsca. A jeśli historia nie należy tak całkiem do przeszłości? Jeśli diakon nadal tam straszy. . . ?

Nie dana im jednak była szansa wyjaśnienia sprawy, pastor bowiem opuszczał już izbę, im więc nie pozostawało nic innego, jak udać się na spoczynek.

Tej nocy spali źle. Lękali się spotkania z oskarżonymi o czary, lękali się długiej, bardzo długiej drogi powrotnej, która prowadzić miała przez Myrka. A jeszcze nie mieli pojęcia o cielesnych ani duchowych niepokojach i zagrożeniach na pustkowiach Sprengisandur. . .

Rozdział 6

Schwytnięcie trojga podejrzanych nastęczyło lensmanowi i jego ludziom zdumiewająco mało problemów. Gissur Bjarnason w Skagafjörðhur, zbudzony ze snu władczymi, ostrymi słowy, prosił tylko, by się nie niepokoili, bo pójdzie z nimi bez oporu.

Podczas gdy inni wysłannicy przetrząsali dom Gissura, lensman nie spuszczał z więźnia czujnych oczu. Gissur nie był już młody, ale trudno powiedzieć, ile liczył sobie lat, chyba mniej, niż myśleli; miał szpakowate, niegdyś pewnie jasnobrązowe proste włosy, jasne oczy, długi nos i wysunięty do przodu podbródek. Poruszał się ciężko, jakimś posuwistym, kołyszącym się krokiem, i mówił półgłosem. Naprawdę nie wyglądał tak, jak lensman się spodziewał.

Ale właściwie to czego się spodziewał? Że spotka wilkołaka?

Helga i jej syn mieszkali w Hjaltadalur, niedaleko od siedziby biskupstwa i Szkoły Łacińskiej w Holar. Tak więc pojmanie wszystkich trojga nie przysporzyło lensmanowi i jego pomocnikom kłopotów.

Jak już wspomniano, Helga swoim wyglądem raczej nie zwracała uwagi. Ciemna, postawna kobieta o łagodnym i przyjaznym uśmiechu. Przyjęła ich spokojnie, martwiła się jedynie tym, że również syn ma być aresztowany.

Kiedy go zobaczyli, pojęli natychmiast, skąd się wzięło to jego imię, Móri — Brunatny. Włosy miał ciemnobrązowe, gęste i niesforne, mocno poskręcanymi lokami opadały mu na ramiona i na czoło tak, że prawie nie było widać również brązowych, niemal czarnych oczu. Życie na otwartym powietrzu nadało jego skórze brązowy odcień, a ubrany był w brązową długą koszulę mocno ściągniętą w pasie rzemieniem. Rzecz jasna i spodnie, i buty z miękkiej skóry również były brązowe.

Na moment wysłannicy lensmana pojęli też drugie znaczenie jego imienia. Móri, upiór, który powraca? Nie, cóż za głupstwa! Przecież to trzynastoletnie dziecko! Tak, ale dziecko nieśmiertelnego czarnoksiężnika, czyż nie? Nie, nie, żadnych takich myśli!

Mimo wszystko ludzie lensmana widzieli, że będzie to w przyszłości bardzo przystojny mężczyzna. Miał przy tym coś dzikiego w spojrzeniu, ruchy gwałtow-

ne, niemal niecierpliwe. Przybycie obcych podnieciło go, widać to było wyraźnie. Nie przejmowali się jednak chłopakiem. To oskarżeni dorośli mogli wiedzieć co nieco o magii i czarach.

— Co to jest? — zapytał lensman, posuwając Gissurowi pod nos kawałek drewna. — Znaleźliśmy to w twoim domu.

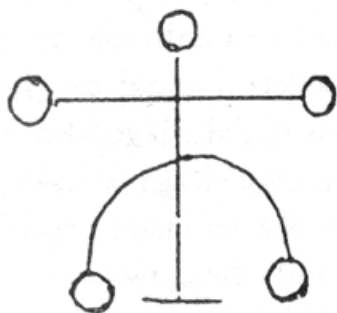
Gissur spojrział na drewno obojętnie.

— E, to głupstwo. Siadywałem w zimowe wieczory przed kominkiem i tak sobie dłużałem. Dla wprawy, bo miałem zamiar rzeźbić w kamieniu.

— Kłamstwo! — syknął lensman. — To są magiczne runy! Myślisz, że ja się na tym nie znam?

— Naprawdę? — zapytał Gissur ze złośliwym uśmiechem.

Lensman patrzył na niego zakłopotany. Oczywiście pojęcia nie miał, co mogłyby oznaczać te tajemnicze znaki.



Tak naprawdę była to jedynie biała magia, mająca służyć powodzeniu w połowach ryb, ale tego Gissur nie powiedział. Bawił się niewiedzą lensmana i pozwalał mu wierzyć, że to czarna magia, która może sprowadzić śmierć i wieczne potępienie.

— A ty, Helgo — zwrócił się urzędnik do kobiety. — Gdzie ukryłaś księgi odziedziczone po Thuridur, siostrze twego ojca?

Niczegoście nie znaleźli? — zapytała Helga równie obojętnie jak przedtem Gissur. — Powinniście wiedzieć, że księgi mojego ojca i dziadka zostały spalone w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym.

— Mamy powody przypuszczać, że już wtedy znajdowały się one w posiadaniu twojej ciotki.

— Ach, tak? W takim razie wiecie więcej niż ja sama.

— Wiemy też, że odziedziczyłaś po niej to i owo.

— Jakoś się bardzo nie wzbogaciłam.

— Możliwe, ale zależy, jak na to patrzeć. W każdym razie utraciłaś duszę, oddałaś ją Złemu. A teraz my spalimy budynki.

— Najpierw chyba będziecie musieli nas osądzić. Byłaby prawdziwa szkoda, gdybyście bez wyroku spalili taki piękny dom jak Gissura, a moją chałupę z torfu będzie wam chyba bardzo trudno puścić z dymem.

Lensman mruknął coś ze złością pod nosem i dał znak, żeby przestała. Nie należy rozmawiać o takich sprawach jak palenie domów.

Wiatr tłukł brzegi rzeki Hörğa, kiedy siedmioro podróżnych rozglądało się za miejscem na nocleg. Deszczowe chmury wisiały nad ziemią jak grube postrzępione firany. Ludzie drżeli. Musieli jak najszybciej znaleźć się pod dachem, już nie byli w stanie jechać dalej, ale za nic nie chcieli nocować akurat tutaj.

Sylwetka kościoła w Myrka rysowała się ponuro na tle nieba.

Przeprawili się przez Hjaltadalsheidni przy tej przeklętej szarudze i właściwie znajdowali się znowu na zamieszkanym terenie. W pierwszej chwili ulga na widok zabudowań była wielka, lecz kiedy Gissur Bjarnasson powiedział cierpko: „Myrka! jakie to dziwne uczucie znowu się tu znaleźć”, ich ożywienie zgasło. Konie jednak nie mogły już dłużej iść, ciemności miały zapaść lada chwila, nie mieli wyboru.

Ominęli zagrodę Myrka tuż koło kościoła, lecz sąsiednie domostwo Saurba przyjmowało od czasu do czasu wędrowców na nocleg. Thufnavallanes, inna zagroda w tej okolicy, było zbyt oddalone. Poza rym również i ono było wymieniane w starej historii o duchach.

Musieli pomóc Gissurowi i Heldze zsiąść z koni, oboje bowiem mieli łańcuchy na rękach i na szyjach. Chłopaka nie zakuto, więc radził sobie sam.

W końcu wszyscy mogli odpocząć w niskim budynku z torfu, którego im w Saurba użyczono na nocleg. Musieli pogodzić się z tym, że wszyscy będą dzielić jedno pomieszczenie, innej rady nie było.

Czterej ludzie lensmana już prawie zasypiali, kiedy postyszeli, że więźniowie zaczynają ze sobą rozmawiać.

W pierwszej chwili lensman chciał wrzasnąć, że mają być cicho, potem jednak rozmowa wzbudziła jego zainteresowanie.

Helga rzekła cicho do Gissura:

— Ty myślisz, że to wszystko o diakonie z Myrka to prawda?

— Pewnie, że prawda — odparł stary czarownik. — Byłem wtedy jeszcze młodym człowiekiem, ale pamiętam wszystko, jakby się to działo wczoraj.

— Może byś mi opowiedział? Słyszałam tylko jakieś nieskładne kawałki, a i to pewnie przeważnie zmyślone.

Gissur westchnął.

— To nie jest specjalnie radosna historia. Ale, z drugiej strony, to chyba najpiękniejsza islandzka opowieść o duchach i o miłości. . . W kościele w Myrka, tu niedaleko, był sobie kiedyś młody diakon, czyli uczeń i pomocnik księdza. . .

— Jak on miał na imię? — zapytał Móri, który leżał na brzuchu, wsparty na łokciach.

— Nie pamiętam. I chyba jego imię nie było nigdy wymieniane. Kochał pewną dziewczynę imieniem Gudrun, która mieszkała w Bagisa, po tamtej stronie rzek Hörga i Öxna, które płyną równolegle i dość blisko siebie. Jutro rano będziemy mijając Bagisa. Gudrun była tam służącą u proboszcza.

Najmłodszy z wysłanników pragnął mieć tyle odwagi, by nie bacząc na nic zakryć uszy rękami. Odnosił wrażenie, że w pomieszczeniu pachnie ziemią, i rzeczywiście tak było. Ale jemu przychodziła na myśl ziemia cmentarna, jak z rozkopanego grobu.

— Diakon miał siwego konia o długiej grzywie — ciągnął dalej Gissur. — Nazywał go Faxi. Pewnego dnia, jakiś czas przed Bożym Narodzeniem, wyprawił się na nim do Bagisa, by zaprosić Gudrun na świąteczne przyjęcie w Myrka. Obiecał, że w Wigilię wieczorem przyjedzie i ją zabierze.

Kilka dni przed Bożym Narodzeniem rozszalały się śnieżyce, a rzeki pokryły się lodem, wkrótce jednak nadeszła odwilż. Podczas gdy diakon przebywał u Gudrun w Bagisa, lody na rzekach ruszyły i trudno się było przedostać na drugą stronę. Wiecie, jak to jest, wysoka woda i kra. Diakon nie zdawał sobie sprawy, że zaszły takie zmiany. Przez rzekę Öxna przeszedł jeszcze po moście z lodu, natomiast Hörga była już całkowicie wolna od lodu, wobec czego jechał brzegiem aż do Saurbaa.

W mroku któryś ze słuchaczy zadrzał gwałtownie, ktoś inny wydał jęk podobny do szlochu.

Gissur uśmiechnął się krzywo pod wąsem.

— W Saurba właśnie lód spiętrzył się na rzece, tworząc cos w rodzaju mostu, i diakon wjechał nań. W połowie drogi jednak lód się pod nim załamał i jeździec wpadł do wody.

— Tutaj? — rozległ się spłoszony głos najmłodszego strażnika. — Dokładnie naprzeciwko nas?

— Dokładnie tutaj — potwierdził Gissur. Strażnicy słyszeli wyraźnie, że go to wszystko bawi. — Następnego dnia, kiedy gospodarz Thufnavallanes wstał, zobaczył, że przed bramą stoi Faxi, bez uzdy i bez siodła. Koń był przemoczony i w ogóle znajdował się w strasznym stanie. Poszedł tedy chłop w dół rzeki, aż do cypla Thufnavalla. Tam, na cyplu, znalazł diakona wyrzuconego przez prąd, martwego, z głową potwornie pokaleczoną przez dryfujący lód. Zwłoki zostały przeniesione do Myrka i pochowane na tydzień przed Bożym Narodzeniem.

Lensman widział oczyma wyobraźni piękną, zieloną dolinę rzeki Hörga i mały kościółek w najbliższej im teraz zagrodzie Myrka, której nazwa oznacza przecież

tyle co Czarna Rzeka. On również pragnąłby nakazać Gissurowi milczenie, lecz ciekawość zwyciężyła.

— Ze względu na powodzie i zalane szlaki żadna wiadomość nie dotarła przed Wigilią z Myrka do Bagisa, wkrótce zresztą pogoda się poprawiła, więc Gudrun wyglądała świąt, uradowana, że spędzi je w Myrka. O zmierzchu zaczęła się ubierać w swój najpiękniejszy strój, a kiedy już była prawie gotowa, rozległo się pukanie do drzwi. Jedna z kobiet pobiegła otworzyć, lecz na progu nikogo nie było. Księżyc chował się za chmurami i na ziemi to zapadał mrok, to znowu robiło się całkiem widno.

Drżące oddechy mówiły Gissurowi, że strażnicy słuchają.

— Służąca wróciła z wiadomością, że na dworze nikogo nie ma. „Ktoś musi sobie ze mnie robić żarty, powiedziała Gudrun. Pójdę i zobaczę sama”.

Pospieszenie wsunęła jedną rękę w rękaw płaszcza do konnej jazdy, drugi rękaw zarzuciła sobie na szyję. Gdy wyszła z domu, zobaczyła, że przed drzwiami stoi Faxi, obok niego zaś mężczyzna, w którym dziewczyna domyślała się diakona...

— Ale on przecież umarł! — krzyknął najmłodszy ze strażników.

— Cii! — syknął Gissur. — Nie wspominałem przecież, by któreś z nich odezwało się choć słowem. I prawdopodobnie żadne nic nie powiedziało, bo przecież gdyby diakon przemówił, Gudrun by się zorientowała, jak się sprawy przedstawiają. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że upiory mają we zwyczaju powtarzać słowa, a ponadto wielką trudność sprawia im wymawianie imienia Boga, nawet jeśli stanowi ono część imienia człowieka, jak na przykład w imieniu Gudrun. W takim przypadku imię bywa bardzo zniekształcane i Gudrun natychmiast by to odkryła. Z pewnością więc ci dwoje ze sobą nie rozmawiali.

W torfowym budynku panowało dotkliwie zimno. Z zewnątrz dochodził szum zacinającego deszczu. Wszyscy mieli pełną świadomość, gdzie się znajdują: w okolicy, w której rozgrywały się przypominane przez Gissura wydarzenia.

— Diakon podsadził Gudrun na Faxiego i sam usiadł przed nią. Ruszyli natychmiast z miejsca i jechali przynajmniej godzinę bez słowa. Wkrótce znaleźli się nad brzegiem Hörگا. Brzegi są tam bardzo strome, jak z pewnością widzieliście, a więc gdy koń dotarł do rzeki, kapelusz z szerokim rondem zsunął się z głowy diakona na plecy. W tym samym momencie chmura odsłoniła księżyc i Gudrun zobaczyła w jego blasku nagą czaszkę diakona. On sam zaś powiedział jakimś dziwnie dalekim, pustym głosem:

„Księżyc świeci. Śmierć na koniu leci. Widzisz te białe plamy na moim karku, Gaaarun, Gaaarun?”

Gudrun doznała takiego szoku, że nie była w stanie wykrztusić ani słowa, jechali tedy dalej w kierunku na Myrka. Tam zeskoczyli z konia przy cmentarnym murze, przed bramą dla przenoszenia zwłok, a diakon rzekł:

„Zaczekaj chwilkę, Gaaarun, Gaaarun. Chciałbym zabrać mego Faxi-Faxi na

łaki-łaki”.

Z tymi słowy odprowadził konia.

Gudrun podeszła bliżej, przez bramę spojrziała w głąb cmentarza i zobaczyła tam otwarty grób. Była półżywa ze strachu, zdołała jednak odnaleźć linę kościelnego dzwonu. Dokładnie w tym momencie coś ją potwornie szarpnęło w tył. Zdołała się uratować wyłącznie dlatego, że w domu nie zdążyła porządnie włożyć płaszcza i miała tylko jedną rękę w rękawie. Płaszcz bowiem został z niej dosłownie zdarty, i to z taką siłą, że rękaw, który miała na sobie, puścił w szwach.

W mroku torfowego budynku dały się słyszeć pełne lęku westchnienia.

— Jeśli zaś chodzi o Gudrun, to zaczęła jak szalona szarpać za sznur kościelnego dzwonu i nie przestała, dopóki ludzie z zagrody w Myrka nie przybiegli i nie zabrali jej do domu. Była tak przerażona, że nie odważyła się ani uciekać, ani puścić sznura.

Od ludzi w Myrka usłyszała całą historię o śmierci diakona, sama zaś opowiedziała im o swojej upiornej podróży z duchem.

Tej nocy, kiedy już wszyscy poszli spać i kiedy pogaszono światła, diakon wrócił, by zabrać Gudrun. Trzeba powiedzieć, że mieszkańcy domu niewiele mieli czasu na sen.

— On powrócił? — wykrztusił jeden ze strażników. — To może on jest. . .

— Zamilcz! — syknął lensman niecierpliwie.

Gissura nie przestawało bawić ich pełne niepokoju zainteresowanie, ciągnął więc dalej, nie kryjąc złośliwej satysfakcji:

— Przez czternaście dni leżała Gudrun w Myrka, chora, nie mogąc znieść ani chwili samotności. Całymi dniami i nocami ktoś musiał przy niej czuwać. Mówiono, że sam pastor czytał psalmy przy jej posłaniu. Ostatecznie posłano po czarnoksiężnika, który mieszkał na zachód od Skagafjördhur, i. . .

— A to byłeś ty — wtrąciła Helga.

— Tak, to byłem ja. Pojechałem do Myrka i wykopałem na podwórzu wielki kamień, który przetoczyłem pod szczytową ścianę domu. Szczerze mówiąc był to kamień ofiarny, w dawnych czasach w jego zagłębieniu składano krew ofiarną. To znaczy krew zwierzęcą, tak myślę, chyba raczej nie ludzką.

Tego samego wieczora, kiedy zapadł już zmierzch, diakon próbował ponownie wejść do domu, ale udało mi się trzymać go przy szczytowej ścianie i drażnić ciężkimi zaklęciami. Tak jest, moi panowie, właściwie to powinniście mi dziękować, bo możecie mieć spokój tej nocy. Po zakończeniu rytuału przetoczyłem ciężki kamień na diakona i pod nim spoczywa on do dzisiejszego dnia. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Czterej strażnicy zadrżeli gwałtownie. Gdyby któryś z nich wyjrzał przez otwór w ścianie, na tle nocnego nieba dostrzegłby z pewnością zarysy kościoła w Myrka. Gospodarstwo położone jest tuż obok, o tym wiedzieli. Gdzieś tam, na dziedzińcu, leżał dawny kamień ofiarny. A pod nim. . . ?

Czy można wierzyć, że tamtej nocy praca została wykonana dostatecznie dobrze? Że diakon na pewno znajduje się pod ziemią?

Helga patrzyła na całą tę opowieść z innej strony. W jej głosie słychać było wstrzymywany płacz, gdy wykrztusiła:

— Jaka to miłość! Jaka piękna historia! To najtragiczniejsza historia miłosna, jaką kiedykolwiek słyszałam!

— Masz rację — zgodził się z nią Gissur. — Pamiętam moje uczucia w tamtej chwili, kiedy musiałem zepchnąć go pod ziemię. Było mi go wtedy tak strasznie żal!

Atmosfera w zimnym pomieszczeniu. stawała się coraz bardziej przygnębiająca. Budynek z torfu zapadł się głęboko ze starości. Drewniane prycze stały w rzędach pod ścianami. Zmęczeni wędrowcy ułożyli się na nich w ubraniach, bowiem żadnej pościeli nie było. Więźniowie zostali przykuci łańcuchami do poręczy łóżek.

Powoli większości podróżnych udało się zasnąć po prostu ze zmęczenia. W przeciwnym razie pewnie okropny nastrój tego miejsca zmuszałby ich do czuwania.

W ciemnościach, niczym refleksy światła na wypolerowanej miedzi, płonęło dwoje oczu. Jedno z siedmiorga nie spało.

Do mózgów pozostałych płynęły myśli. . .

Lensman leżał w półśnie. Później był pewien, że nie zdrzemnął się nawet na chwilę, lecz akurat w tej chwili senne marzenia przeplatały się z rzeczywistością.

Stał na dziedzińcu dworu w Myrka przed wielkim kamieniem, jego ubraniem szarpał porywisty wiatr. Był kimś innym, w jego duszy pulsował nieutulony ból i tęsknota za jedną jedyną kobietą, za Gudrun. Przygniatał go jakiś ciężar, nagle okazało się, że nie stoi już obok kamienia, lecz znajduje się pod nim, ogarnęło go gwałtowne uczucie klaustrofobii, z trudem chwycił powietrze.

Jeden z jego ludzi gnał w tym śnie na siwym koniu. Rumak pędził przed siebie i nieuchronnie zbliżał się do rzeki. strażnik próbował go opanować, lecz nie miał nad koniem żadnej władzy. Wreszcie na urwistym brzegu wierzchowiec stanął dęba i nieszczęsny jeździec wpadł z wrzaskiem przerażenia do lodowato zimnej wody. Walczył rozpaczliwie, jęczał, machał rękami, lecz wściekły prąd znosił go coraz dalej, dryfująca kra uderzyła go z rozmachem w głowę, ja umieram, umieram, nigdy nie dotrę do mojej ukochanej, krążyła mu w głowie rozpaczliwa myśl, a ciało opadało z sił, było niczym sparaliżowane, panika odbierała mu wolę walki. Kiedy krzyczał, zachłystywał się wodą; kiedy próbował się chwycić jakiegoś lodowego bloku, inny blok tłukł go boleśnie z tyłu lub z boku. . .

Inny z ludzi lensmana również pędził na siwym koniu z rozwianą grzywą. On jednak siedział za jakąś postacią, która świadomie kierowała rumaka w stronę cmentarza. Jeździec trzymał się kurczowo tej nieznanym istoty, ale ona sprawiała okropne wrażenie, była martwa, niemal podzwaniały nagie kości, śmierdziało

trupem. „Trzymaj mocno-mocno, jedziemy na Faxi-Faxi” — wyła potwornie zjawą.

Jeździec odwrócił głowę i człowiekowi za nim mignęła twarz, która przez dłuższy już czas spoczywała w ziemi. Kapelusz zsunął się na plecy, strażnik zobaczył obgniłą głowę, poczuł się chory z obrzydzenia i zaczął krzyczeć. Chciał zejść z konia, ale czuł, że jego ramiona są przywiązane do tej strasznej postaci, którą miał przed sobą, a on sam został przyklejony do konia.

Najmłodszy ze strażników nie był w stanie uspokoić wzburzonego umysłu. Nijak nie mógł zrozumieć, dlaczego nagle znalazł się na cmentarzu. Tuż przy nim wisiał sznur kościelnego dzwonu, ale żeby nie wiem jak się starał, nie mógł go dosięgnąć. Czuł natomiast, że coś go nieuchronnie wciąga do otwartego grobu. Rozkopana ziemia usuwała mu się spod stóp, zapadał się coraz głębiej, po pas, po szyję, a kiedy zaczął krzyczeć, ziemi naleciało mu do ust i . . .

Zerwał się ze skrzekliwym, zdławionym jękiem: Stwierdził, że siedzi w przejściu pomiędzy pryzkami, a jego płaszcz i reszta ubrania spadła mu na głowę, zasłaniając twarz i mota ręce, zaczął pluć, żeby wyrzucić wełnianą czapkę, która knebłowała mu usta.

Dyszał gwałtownie, śmiertelnie przerażony. Drzwi były otwarte, do środka sączyło się blade światło poranka. Zdawało mu się, że widzi dwa jaśniejsze punkty. Jakby odbicie . . . dwojga oczu?

W następnej sekundzie punkciki zniknęły.

Świeciły mniej więcej tam, gdzie znajdowali się więźniowie. Strażnik widział, że wszyscy troje leżą na swoich miejscach, gdzieżby zresztą mieli być, skoro zostali powiązani łańcuchami?

Gdzieś bardzo daleko rozległo się rozzwierające wołanie o pomoc. Czy to nie nad szumiącą rzeką Hörga?

Niezdarnie po omacku uwolnił się z pętających go ubrań, wstał i wyszedł na dwór. Żadnego z jego towarzyszy nie było w izbie.

Lensman również słyszał wołanie. Obudziły go jakieś krzyki, dochodzące poprzez deszcz i szum nocnego wiatru, zmarł tak, że drżał na całym ciele i nie mógł zrozumieć, dlaczego, na miłość boską, leżał na cmentarzu, obejmując rękami wielki kamień, który chyba chciał podnieść z ziemi.

Znajdował się na cmentarzu w Myrka! Jak, na Boga, się tu dostał?

Ktoś krzyczał. Bełkotliwie, jakby dławił go szloch. Albo jakby wpadł do wody . . .

Lensman zerwał się gwałtownie i pognał jak mógł najszybciej w szarym brzaśku do rzeki płynącej między Myrka i Saurba.

W pobliżu Saurba zobaczył czwartego strażnika. Siedział na koniu, którego musiał wyprowadzić ze stajni, i wrzeszczał jak oszalały, próbując skierować wierzchowca do Myrka . . .

Lensman dzielił go z całej siły w zadek i człowiek się ocknął, a jego krzyk przemienił się w odgłos przypominający gdakanie.

— Prędko! — ryknął lensman. — Ktoś się topi!

Wszyscy trzej znaleźli się na brzegu jednocześnie. Wspólnymi siłami próbowali wyciągnąć swego towarzysza, któremu właściwie nic poważnego nie groziło. Brodził po płytkiej wodzie, ale był skostniały z zimna.

W budynku z torfu Gissur rzekł z powagą:

— Nie powinienesz być tego robić. Musiałem użyć całej swojej siły, by ich przywrócić do rzeczywistości.

— Wiem. Ale byłem na nich wściekły.

— Musisz panować nad takimi uczuciami — rzekł Gissur z uśmiechem. — Ale, niech mnie... siłę to ty masz!

Żaden nie chciał rozmawiać z innymi o tym, co przeżyli. Kiedy później jechali ku Sprengisandur z wąskiej doliny Eyjafjathardalur, strażnicy milczeli.

Ich serca przygniatał ciężar. Fakt, że jazda okazała się męcząca, stanowił najmniejszy problem. Dużo gorsze było to, że wszystko, cokolwiek robili tego dnia, zdawało się zaczarowane, nierzeczywiste. Kiedy chcieli wziąć coś do ręki, wiadro z wodą czy końskie kopyto na przykład, to niczego nie było tam, gdzie powinno. Mnóstwo czasu schodziło im na nieustannych poszukiwaniach, ale kiedy już narreszcie poszukiwany przedmiot się znajdował, to leżał właśnie tam, gdzie sądzili, że miał leżeć, i gdzie przede wszystkim szukali.

Dzień dał im się we znaki i nic też się nie poprawiło, kiedy nastał wieczór i księżyc wypłynął na niebo. Wtedy mieli wrażenie, że skradają się za nimi jakieś cienie, że gonią ich duchy na szybkich koniach, że krążą wokół, a elfy — chyba elfy właśnie — wczepiają się w ich ubrania. Kiedy jednak spoglądali w dół, nie widzieli nikogo.

Z każdym następnym dniem, z każdą nadchodzącą nocą było po prostu gorzej i gorzej, w końcu ludzie mieli nerwy napięte niczym struny i przy lada szeleście podskakiwali przerażeni.

Upiory towarzyszyły im w drodze, nie odstępowały ani na krok, czasami któremuś ze strażników mignęła jakaś zjawa ze świata ciemności, innym razem ktoś słyszał bliskie, a jednak dalekie jęki potępionej duszy. Wiadomo było przecież, że na ponurych szlakach przez Sprengisandur zginęło wielu ludzi, nigdy jednak nie słyszeli, by dusze zmarłych miały się tu pokazywać żywym. Dlaczego więc teraz im, stróżom prawa?

I dlaczego więźniowie nucą tak cichutko i tak często jakieś niesamowite melodie?

Wszyscy czterej rozpaczliwie pragnęli znaleźć się jak najszybciej w domu.

W dalszej drodze dręczyły ich rozmaite cielesne plagi. Jeden dostał takiego

bólu zęba, że ledwie mógł to wytrzymać, inny miał biegunkę i musiał się zatrzymać co chwila w sprawie niecierpiącej zwłoki. Na tych otwartych, pozbawionych jakichkolwiek zarośli piaszczystych pustkowiach była to dla niego wyjątkowo przykra dolegliwość. Trzeciego dręczył ból głowy, który ulokował się gdzieś nad potylicą i był tak nieznośny, że człowiekowi ciemniało w oczach. Czwarty zaś, ten, który wpadł do rzeki, był ciężko przeziębiony. Ciekło mu z nosa, w gardle paliło i piekło, miał zawroty głowy i ledwie trzymał się w siodle. Pragnął jedynie znaleźć się we własnej pościeli.

Konie natomiast miały się dobrze i nic nie wskazywało na to, że dokuca im niedostatek jedzenia. Zwłaszcza koń młodego Móri raz po raz przechodził w radosny kłus, głowę podnosił wysoko i z zadowoleniem strzygł uszami.

Strażnicy nie mogli tego pojąć.

Nagle jeden z nich zawołał:

— Tam przed nami coś leży!

Pospieszyli we wskazanym kierunku i zeskoczyli z koni. Kiedy jednak próbowali podnieść leżącego na ziemi biedaka, spostrzegli, że to trup. Zwłoki dosłownie na ich oczach rozłożyły się i zniknęły.

Najmłodszy ze strażników krzychał głośno z przerażenia. Ale, niestety, nie było to ostatnie znalezisko. Ich droga była dosłownie usłana trupami i konającymi, podjęli wiele nieudanych akcji ratunkowych, zanim zrozumieli, że wszystko należy złożyć na karb magii. Wtedy przestali zwracać na to uwagę i przywidzenia się skończyły.

Kiedy cała siódemka zbliżała się do zalanego zimnym blaskiem księżyca Hofsjökull, strażnicy już całkiem utracili humor i wolę walki.

Spoglądali na bezkresne, zielonofioletowe zbocza lodowca i wzdychali ciężko. Przeklęci więźniowie! Diabelskie zadanie!

Rozdział 7

Podczas kiedy wszystkie te wydarzenia rozgrywały się na smaganych wiatrem wyżynach Islandii, Tiril była zaledwie rocznym dzieckiem. Jeszcze przez kilka lat miała zachować radość w oczach, nawet jeśli czasami pojawiał się w nich błysk bolesnego zdziwienia.

Dopiero później miała się wyżyć iluzji. Później...

Wtedy, kiedy jedyną istotą, jaką obdarzała zaufaniem, był pewien kudłaty pies.

Często, bardzo często na wpół dorosła Tiril mawiała do swego czworonożnego przyjaciela: "Gdybym nie miała ciebie, Nero, nie potrafiłabym żyć".

Była to oczywista przesada, Tiril bowiem należała do ludzi niezłomnych, do takich, którzy jeśli popełniają samobójstwo, to jedynie w absolutnej ostateczności. Prawdą było natomiast, że tak samo jak ona potrzebowała obecności Nera, tak i on potrzebował jej. I Tiril o tym wiedziała. Mieć kogoś, kim można się zajmować i dla kogo się coś znaczy, to w życiu najważniejsze... Człowiek musi być potrzebny.

O Boże, tyle jest samotności na tym świecie! Tyle skrywanej samotności, tyle dusz ogarniętych zwątpieniem: Po co ja żyję? Czy nie ma na świecie nikogo, kto by mnie potrzebował? Tacy ludzie są dużo bardziej samotni niż ci, którzy pytają: Czy nie ma nikogo, kto by się o mnie zatroszczył?

Choć przyjaciel Nero znaczył dla niej tak wiele, to i tak Tiril tęskniła do kogoś, u kogo mogłaby szukać pomocy.

Była całkowicie bezradna wobec sytuacji, w której się znalazła. Od dawna wiedziała, że w jej domu dzieje się coś strasznego. Nigdy jednak nie potrafiła tego rozwikłać.

Carla natomiast rozumiała. I wyciągnęła wnioski...

Dlaczego w takim razie Tiril nie pojmuje niczego?

Tego rodzaju myśli krążyły nieustannie w jej głowie, nie dawały spokoju.

Potrzebuję pomocy, wzdychała. Ale u kogo jej szukać?

Od czasu do czasu wspominała niedoszłego męża Carli młodzieńca, któremu konsul Dahl po długich sprzeciwach pozwolił w końcu na małżeństwo ze swoją starszą córką. Może on chciałby porozmawiać z Tiril o jej siostrze?

— Ale właściwie się nie znali. Tiril spotkała go kilkakrotnie w towarzystwie, wtedy jednak on był całkowicie zajęty Carłą. On i Tiril zamienili może dwadzieścia słów, a może i to nie.

Oczywiście, Tiril miała w mieście wielu znajomych, a nawet przyjaciół, ale wzdragała się przed powierzaniem im domowych tajemnic. Lojalność była zawsze jej szlachetną cechą.

Poza tym ludzie, których często odwiedzała i którym starała się pomagać, mają z pewnością własne zmartwienia. Tak jak tamten chłopiec, który skaleczył kolano i w ranę wdało się niebezpieczne zakażenie. Należący do jego warstwy społecznej nie myśleli o chodzeniu do lekarza, bo skąd miałoby coś takiego przyjść do głowy ludziom zebrzącym o odrobinę choćby pożywienia? Więc Tiril odwiedzała go codziennie i starała się oczyszczać ranę. Tiril, do której zwracali się z ufnością wszyscy potrzebujący.

Być może powinna była o swoich kłopotach porozmawiać z matką chorego chłopca. Ale wystarczyło popatrzeć na tę kobietę wyglądającą na dwadzieścia lat więcej niż w istocie miała, bitą przez męża tak, że nieustannie chodziła posiniaczona, otoczona gromadą płaczących i rozkrzyczanych młodszych dzieci, żeby nie mieć ochoty obciążać jej dodatkowymi zmartwieniami.

A może miała się zwrócić do owego sympatycznego człowieka, któremu pożyczyla pieniądze na kupno zimowego płaszcza, a który teraz starał się wyciągnąć od niej jeszcze większą sumę?

Oczywiście próbowała rozmawiać o Carli z matką, ale bez powodzenia. Kiedy bardzo nieśmiało zapytała, dlaczego Carla nikomu nie zwierzyła się ze swych zmartwień, matka zaczęła krzyczeć histerycznie:

„Och, daj mi spokój! Ja naprawdę nie rozumiem, dlaczego ona mi to zrobiła! To bezwstydnie, stawiać mnie w takim położeniu! Wciąż muszę tłumaczyć i tłumaczyć różnym ludziom, że to nie moja wina, że dziewczyna zachowała się nieobliczalnie, ściągając na nas taki skandal. Jaki to wstyd przed znajomymi!”

Tiril zrezygnowała z poruszania tego smutnego tematu, poszła sobie przygnębiona bardziej niż kiedykolwiek.

Po wypadku matka prawie nie opuszczała domu, wołała nie pokazywać się w towarzystwie. Ojciec, nieustannie wściekły i ponury, powtarzał żonie, by się wynosiła gdzie pieprz rośnie. Kłócili się stale.

Tiril była pilnowana. Ojciec obserwował każdy jej ruch, więc w ciągu dnia starała się nie wychodzić. Tylko rankami, kiedy wszyscy jeszcze spali; spotykała się z Nerem, a jej niechęć do rodzinnego domu stawała się z każdym dniem większa. Och, jakże pragnęła mieć przyjaciela!

Rozdział 8

Świt zaczynał rozjaśniać niebo nad pokrytym śniegiem kraterem Hekli.

Jeźdźcy opuścili już Sprengisandur i jechali teraz przez pokryte czarną lawą tereny, pofalowane i nieprzyjazne dla końskich kopyt. Kiedy jednak patrzyło się na tę okolicę z dalszej perspektywy, ziemia zdawała się gładka niczym podłoga. Ponure równiny ciągnęły się aż do dalekich gór. Podróżowali teraz przez Thjorsardalur, gdzie ziemia nosiła ślady wielokrotnych wybuchów Hekli, zalewających okolicę lawą i zasypujących popiołem. Stąd te płaskie przestrzenie.

W oczach Móriego pojawiły się jakieś niespokojne błyski. Dwoje pozostałych więźniów spoglądało na niego pytająco.

— Pod nami są domy — mruknął w którymś momencie.

— Milcz, chłopcze! — ostrzegł go Gissur — Ale masz rację. Pod lawą spoczywa tu wiele bogatych zagród. Wybuch Hekli w Roku Pańskim tysiąc sto czwartym pogrzebał je na zawsze.

— Że też ty wszystko wiesz! — rzekła Helga z szacunkiem.

Gissur odpowiedział jej półgłosem:

— Zdaje się, że chłopiec rozumie jeszcze więcej. Wydałaś na świat bardzo uzdolnione dziecko. — Rozejrzał się ukradkiem ale chyba żaden ze strażników nie mógł ich słyszeć. — On uniknie kary — ciągnął. — Ze względu na swój młody wiek. Zabrali go tylko, dlatego, że powinien towarzyszyć matce. Czy można to nazwać współczuciem, czy raczej czymś przeciwnym, nie umiałbym odpowiedzieć.

— Ty jednak kary nie unikniesz — powiedziała Helga. — Ja zresztą też nie.

Umilkli, lecz oboje myśleli to samo: Oni poniosą karę, trudno. Ale ten naprawdę winny pozostanie wolny. Dzięki swojej pozornej niedojrzałości.

Gissur rozmyślał o niebywale silnym działaniu czarów koło Myrka.

— Odziedziczył zdolności po swoim dziadku — powiedział cicho.

— Tak — potwierdziła Helga — ale chyba jeszcze więcej po pradziadku.

— Helga, ile jest prawdy w tym, że on w Holar czytał potajemnie „Graskinę”?

— Dużo. Jego fanatyzm mnie czasami przeraża. I rzeczywiście czytał tę księgę.

— Tak myślałem. Ale chyba nie powinnaś się martwić, przecież to jeszcze dziecko! Swoją drogą to skandal, że oni trzymają takie niebezpieczne księgi w szkole dla przyszłych księży. Ta akurat należała przecież do zburzonej Czarnej Szkoły. „Bezpieczne zamknięcie” nie okazało się, jak widać, wystarczająco bezpieczne. Czy myślisz, że on umie tłumaczyć runy?

— Na to wygląda.

Gissur westchnął, lecz był w tym również jakiś ledwie dosłyszalny cień zazdrości.

— W każdym razie to dobrze, że dwie inne księgi znajdują się głęboko pod ziemią i pewnie już dawno kompletnie zbutwiały. W rękach nie wprowadzonego w sztukę chłopca mogłyby się okazać bardzo niebezpieczne.

— Masz na myśli „Rödskinnę” i drugą „Graskinnę”? Zrobił, co mógł, przekopał cmentarz w Holar, żeby tylko „Rödskinna” dostała się w jego ręce. Całe szczęście, że mu się to nie udało! Narwaniec — uśmiechnęła się Helga z czułością. — I nie przestaje gadać o tej drugiej „Graskinnie”, tej, która została pochowana w grobie starego eremity.

— Wiem, na cmentarzu w Skalholt. I bardzo dobrze go rozumiem, bo sam za młodu myślałem tak samo. A mianowicie, że ten, kto jest w posiadaniu wszystkich trzech ksiąg i zdobył zawartą w nich, wiedzę okultystyczną, ma klucz do największej tajemnicy życia. To bardzo dobrze, że dwie z tych ksiąg są już poza ludzkim zasięgiem, a praktycznie nie istnieją. Powiedziałaś mu chyba o tym?

— Oczywiście. I przyjął to do wiadomości, bo poprzestał na tej jednej niemał-drej próbie.

Pograżeni w rozmowie nie dostrzegali ukradkowych spojrzeń, jakie posyłał im Móri.

Gissur zatrzymał konia i czekał na syna Helgi.

— Móri, musisz zniknąć! Uciekaj stąd, póki jeszcze czas!

— Później — odparł chłopiec krótko.

— Później może ci się już nie udać. Nie chcę, żebyś patrzył, jak będą wymierzać karę twojej matce.

— I nie będę. Zanim do tego dojdzie, znajdę się daleko od was. Poza tym oni mówią, że matka nie będzie ukarana.

— Dokąd masz zamiar się udać?

— W stronę Kaldidalir.

— Drogą wyjętych spod prawa. . . — Gissur pokiwał głową. Zresztą ani przez chwilę nie wątpił, że Móri planuje ucieczkę. A kiedy nadejdzie pora, on, Gissur powinien mu pomóc, starać się ukryć jego zniknięcie jak długo się da.

Ale chłopiec miał rację. Tutaj, na otwartych przestrzeniach Thjorsardalur, nie było możliwości odłączenia się od grupy.

A poza tym, o czym Gissur nie wiedział, Móri chciał najpierw zobaczyć cmentarz w Skalholt.

Ciemne oczy chłopca płonęły mrocznym żarem.

Na cmentarzu w Skalholt została pochowana druga „Graskinna”.

Ale Skalholt rozczarowało młodego Móri. Kościół oglądali jedynie z daleka, leżał w odosobnieniu na rozległej, wymarłej równinie i widoczny był z odległości wielu mil. Nawet się do niego nie zbliżyli. Lensmanowi i jego ludziom spieszyło się coraz bardziej, chcieli się jak najszybciej pozbyć więźniów. Niech sobie biskup mówi, co chce, to przecież nie on walczył z czarami na pustkowiu.

Natomiast niezwykle oczy Móriego pały fanatyczną stanowczością, kiedy kierował wzrok w stronę samotnego kościółka.

Świątynię otaczało ledwie kilka niewielkich budyneczków, poza tym nic.

Trudno by było kopać na cmentarzu i nie zostać odkrytym. Obdarzony szaloną wyobraźnią trzynastoletka, Móri zapomniał o tym prostym fakcie, że w ziemi księgi po prostu gniją, dokładnie tak jak doczesne szczątki ich właścicieli. Był pewien, że wystarczy dostać się do grobu i księgi będą jego. Do głowy mu nie przyszło, że mogłyby ulec zniszczeniu. Księgi znajdujące się pod takim działaniem czarów? Nigdy!

Dzień miał się ku końcowi, strażnicy jednak chcieli jechać dalej. Zostałaby im zaledwie jedna doba w tym ponurym towarzystwie, gdyby podróżowali także nocą. Jeszcze tylko kawałek i z radością zobaczą tę trójkę za kratkami. Będzie to naprawdę uzasadniona radość!

Żeby tylko mogli pojąć, jak to się dzieje, że konie tamtych są takie lśniące, taką mają piękną skórę i okrągłe boki. Co sprawia, że są takie zadbane? Przebyły przecież morderczą wędrówkę, głodowały przez wiele dni, a mimo to są w zdumiewająco dobrej formie. Ludzie wyczerpani, czują się jak wraki, skóra pocięrana, w głowach im się kręci z głodu; liczne rany dokuczają, więźniom też oczy zapadły się ze zmęczenia, tymczasem konie...?

Móri jechał obok Gissura.

— Już niedługo to zrobię. Zniknę.

— Jakie masz plany?

— Wkrótce będziemy musieli się zatrzymać na krótki odpoczynek. Znam zakłęcie sprowadzające sen...

— Jakim cudem się tego nauczyłeś? — syknął Gissur cicho rozglądając się na boki. — I dlaczego nie wykorzystałeś tego wcześniej?

— Chciałem zobaczyć Skalholt. Ale tam nie ma nic do oglądania. Powinniśmy zniknąć wszyscy troje.

— To niemożliwe. Helgę i mnie skuto łańcuchami. Tylko ty jesteś wolny.

Móri skinął głową.

— Później postaram się wam pomóc, zrobię, co będę mógł.

— Nie musisz nic robić. Skończy się na chłóście — kłamał Gissur.

Chłopiec nie orientował się, jak dramatyczna jest sytuacja obojga dorosłych, zwłaszcza po czarach, na jakie sobie pozwolił koło Myrka. Gissur słyszał tamtego dnia, że lensman mówił do swoich ludzi, iż zarówno Gissur, jak i Helga powinni skończyć na stosie. Byli oboje zbyt niebezpieczni, twierdził lensman, który nie miał pojęcia, z czyjej przyczyny przeżywali te wszystkie udręki w okolicy Myrka. A Gissur nie chciał ujawniać prawdy. Chłopiec powinien wyjść z opresji cało, bo to on mógł przekazać dalej tradycję. Jeśli będzie miał dość rozumu i odwagi, by dać sobie radę, rzecz jasna.

A może nawet nie będzie mu potrzebny rozum? Posiadał bowiem coś, co działało znacznie skuteczniej: posiadał wiedzę magiczną! Wystarczy tylko pamiętać o trupach, które znajdowali na swojej drodze przez Sprengisandur.

— Helga! — rzekł Gissur cicho. — Jak to było ze spadkiem po Jonssonach, twoim dziadku i ojcu? Czy ich księgi zginęły na stosie razem z nimi?

Helga zniżyła głos. Mówili teraz o niebezpiecznych sprawach.

— Nie. Siostra ojca, Thuridur, już wtedy miała je u siebie. A po wielu latach dała mnie. Przyjechała kiedyś do nas do Skagafjörðhur i przywiozła księgi, bo sama już ich nie potrzebowała, a nie chciała, żeby przepadły.

Gissur wahał się przed zadaniem następnego pytania, lecz Helga pomogła mu i nie czekając, sama odpowiedziała:

— Tak, Móri je czytał. I nie tylko czytał, on je umie na pamięć, każde słowo, każdy tajemny znak. Moi przodkowie nie należeli może do najwybitniejszych czarnoksiężników, ale nie byli też z najgorszych.

— Wiem o tym. A... księgi?

— Kiedy zrozumiałam, co Móri zrobił, i po tym, jak się dowiedziałam, że przeczytał całą "Graskinnę" w Holar, spaliłam je. Sama umiem sporo na pamięć, a nie chciałam, żeby mój syn zgłębiał tak gruntownie i z takim zapałem tajemną wiedzę.

— Rozumiem. Helga... Często się zastanawiałem, kto jest jego ojcem?

— O to mnie nie pytaj — odparła szorstko.

— Nie, nie, oczywiście... Ale on... posiadał wiedzę, prawda?

— Posiadał. Był jednym z nas. A może nawet kimś więcej — rzekła w zadumie.

Gissur skinął głową i został nieco z tyłu, by w spokoju pomyśleć.

Starał się przypomnieć sobie wszystko, co słyszał o Kaldidalir.

Wymarła dolina, w której trudno by znaleźć coś jadalnego, od dawna była miejscem schronienia ludzi wyjętych spod prawa. Jej historia zaczynała się gdzieś w epoce sag. Gissur nigdy w Kaldidalir nie był, wiedział jednak, że nikt z własnej woli nie został tam na dłużej, zwłaszcza w zimie, a także, jak mówiono, podczas ciemnych, deszczowych i mglistych dni. Pusta droga wiła się przez wymarłe wzgórze, a na pokrytej wulkaniczną lawą ziemi nie rosło nic. Wichry gnały z miejsca na miejsce, wędrowiec nigdzie nie znajdował schronienia ni osłony.

Daleko na północy obszaru, wśród bezdroży, znajdowała się dobrze ukryta grota Surtshellir. Stała się ona ostatnim ratunkiem wielu zbiegów. Resztki palenisk na ubitej ziemi jaskini opowiadały o ukrywających się tu od najdawniejszych czasów wygnańcach. Bezwzględnych, niebezpiecznych ludziach, gotowych zabić dla kawałka chleba. Słyszał też o górach wzdłuż nader rzadko uczęszczanych szlaków, o skałach z krawędziami wąskimi jak ostrze noża, o złocistozielonych mchach, pokrywających wzorzystymi dywanami zastygłe lawy, o przydrożnych kamieniach wzniesionych na pamiątkę uratowania życia lub dla wyłobienia w nich magicznych run, które miały zapewnić szczęśliwą podróż przez ponurą pustynię pokrytą lawą i skalnymi odłamkami.

W rozpadlinach czały się drobne drapieżniki, jęczały upiory, duchy wyjętych spod prawa, którzy zostali zamordowani lub z innych przyczyn znaleźli tam swoją śmierć.

Czy można posłać do Kaldidalir takiego młodego chłopca, dziecko jeszcze?

Ale to konieczność. Móri nie będzie w stanie utrzymać w tajemnicy swoich umiejętności zbyt długo. Gdy wyjdą na jaw, czeka go niechybna śmierć.

I Gissur, i Helga życzyli sobie, by magiczna sztuka przetrwała. W chłopcu; on był ich jedyną nadzieją teraz, kiedy tak wielu czarnoksiężników, a wraz z nimi ich księgi, zginęło na stosach.

Nic nie wskazywało na to, by lensman zamierzał zatrzymać się na odpoczynek. Zbliżali się właśnie do Thingvellir, widać już było w oddali Skałę Wszystkich Mężów, gdzie zbierał się Allting, islandzki parlament.

Zdaje się, że Móri myślał to samo co Gissur.

— Tej nocy nie będzie już ciemniej — powiedział cicho.

— Wkrótce zresztą zaczną świtać, już widać na wschodzie jasną smugę.

— Masz rację. Skoro więc zamierzasz odejść, to musi się to stać teraz. Tylko jak?

— Tutaj się z wami pożegnam. Zobaczymy się wkrótce, do widzenia, matko! Przyjdę wam na pomoc najszybciej jak zdołam.

— Nie możesz tak po prostu odjechać. Ich jest czterech i . . .

— Zamroczę ich wzrok.

— Za pomocą czarów? — zapytał Gissur krótko.

— Tak.

Gissura przeniknął dreszcz, ale westchnął tylko i szepnął:

— Będę cię wspierał.

— Ja też — obiecała Helga. — Żegnaj, mój synu! Uważaj na siebie!

— Wy też na siebie uważajcie. Zaraz zniknę. Przez jakiś czas jechali w milczeniu, ale potem usłyszeli przyciszony głos Móriego, śpiewającego dziwną, monotonną pieśń. Gdzie, u licha, on się tego nauczył, zastanawiał się Gissur, ale

przyłączył się i śpiewał jak umiał. Helga również. Znali różne melodie tej pieśni, słowa też nie zawsze się zgadzały, lecz znaczenie było to samo.

Móri śpiewał, a oni wtórowali mu niezbyt dokładnie wymawiając słowa, raczej mruzcili niż wypowiadali zaklęcia w tę cichą, tajemniczą noc na wzniesieniach niedaleko Thingvellir:

„Ciemna, ciemna, czarna noc!
Przesłoń wzrok tych ludzi,
By nie widzieli tego, co widzą,
Niech nie wiedzą, gdzie się znaleźli”.

Lensman i strażnicy zaczęli przecierać oczy. Zrobiło się wokół nich tak ciemno, spadła jakaś mgła, niczego nie było widać. Więźniowie na koniach wyglądali niczym wielkie, niewyraźne cienie przesuwające się to tu, to tam. Raz było ich troje, to znowu dwoje, później czworo, a czasami jeszcze więcej. Niekiedy jechali tuż obok, to znowu znikali. . .

Zdaje się, że zostało tylko dwoje. . .

Lensman zawołał na swoich ludzi. Podjechali natychmiast, zebrali się wokół niego.

— Popatrzcie, jeden nam gdzieś zginął!

— A mnie się zdawało, że jeden przybył, tylko że potem znowu gdzieś zepadł.

— Ja widziałem kilku.

— Nie gadaj głupstw! Zatrzymajcie ich!

Końskie kopyta zadudniły na kamienistej ziemi.

— Jest tylko dwoje! — zawołał jeden ze strażników. — Chłopak zniknął!

— O, do licha! To niemożliwe. Gdzie on się podział? Nic nie widzę, ciemno jak w kominie. Jakbym się znajdował we wnętrzu ziemi. Do cholery, gdzie my właściwie jesteśmy? Łapcie go! Natychmiast!

Konie kręciły się w kółko, ludzie wydawali sprzeczne polecenia. Helga i Gisur siedzieli spokojnie, ich wierzchowce stały w miejscu. Żadne z uwięzionych nie dawało po sobie poznać, czy zniknięcie chłopca napawa ich radością, czy lękiem, żalem lub smutkiem. Na pytania lensmana odpowiadali oboje wzruszeniem ramion. Niczego nie widzieli, przecież ciemno niczym w grobie. . .

— A coście to śpiewali? — zapytał lensman podchwytliwie.

— Tylko psalm.

— Psalm? Mnie tego nie wmówicie, prędzej zjem własny kapelusz! Nie znaleźliście tej małej żmii? — krzyknął do swoich, tracąc panowanie.

— Jakby się pod ziemię zapadł.

— To przekłety czartowski pomiot! Musi gdzieś tu być!

— Szukaliśmy wszędzie, panie lensmanie. Nigdzie nie ma.

— A koń to wyglądał, jakby mu się na tym pustkowiu świetnie powodziło — syknął lensman przez zęby. — Zresztą wszystkie konie sprawiają takie wrażenie. Tylko my skręcamy się z głodu. To czary!

Helga powiedziała z dumnie podniesioną głową:

— To nie czary. To mój syn oddawał zwierzętom swoje nędzne racje. Bo serce mu krwawiło na widok ich cierpienia.

— A on sam czym się żywił? Tylko mi nie mów, że powietrzem!

— Nie, wodą z rzek.

— No, ja widziałem, że pił na każdym postoju... — lensman przerwał nagle i zastygł w siodle. — Zamknijcie się wszyscy i nastawcie uszu!

Nocny wiatr zawodził w rozpadlinach. Skądś z bardzo daleka postyszeli stukot końskich kopyt. Ale wiatr zagłuszał dźwięki i nikt nie mógł określić, z której strony dochodzą. Musieli dać za wygraną. Helga przymknęła oczy i odetchnęła z ulgą.

Rozdział 9

Bergen, Norwegia.

Właściwie to nie do pomyślenia, by dziewczyna z dobrej rodziny, takiej jak rodzina Tiril, sama włóczyła się po ulicach miasta od rana do wieczora. Zawsze jednak na takie wyprawy wkładała długą sukienkę i ciemny płaszcz. Zdawało się, że mieszkańcy Bergen znali ją, tak jak się zna element krajobrazu. Promienna, uśmiechnięta dziewczyna o życzliwym spojrzeniu, która kłaniała się wszystkim znajomym.

A oni, nawet jeśli wiedzieli, że Tiril jest córką tych zadufanych w sobie Dahłów, starali się tego nie pokazywać. Ona sama zrozumiwała nie jest, i to wystarczyło. Ubierała się jak osoba prostego rodu. Mogła nawet sprawiać wrażenie, że pracuje jako dziewczyna na posyłki u sprzedawcy ryb albo jako pomocnica z piekarni, idąca właśnie do pracy. Nikt o nic nie pytał.

Poza tym miała opinię opiekunki bezpańskich psów. Takich osób lepiej nie zaczepiać bez powodu. Rozeszły się już pogłoski o haniebnej ucieczce dwóch napastników, których pogoniła sfora rozwścieczonych kundli.

Ludzie wiedzieli, dlaczego Tiril tak często chodzi po mieście choć to przecież nie przystoi dzieciom z lepszych domów. Zwierzyła się jednemu ze swoich przyjaciół z rynku, że wymyka się z pokoju przez okno i skradając się na tyłach budynku, przez dziurę w płocie wydostaje się do bocznego zaułka.

W ostatnich czasach zresztą w jej życzliwych ludziom oczach pojawił się smutek. I ludzie wiedzieli, dlaczego. Śliczna siostra tej panienki niedawno zmarła. Tragicznie, jak to się oficjalnie nazywało. Ale tu i ówdzie słyszało się co innego...

Tamten okropny człowiek przyszedł po raz trzeci.

Konsul Dahl przebywał przez kilka dni poza domem (mieszkanie było wtedy

niezwykle przytulne i miłe), a kiedy wrócił, wyglądał jak wielki, tłusty kot, który właśnie pożarł utuczonego szczura.

Przyjął obcego, jak zawsze, w małym saloniku. Jakie to dziwne, myślała Tiril, że ów obcy w przetłuszczonej peruce przychodzi zawsze wtedy, kiedy mamy nie ma w domu.

Jak zwykle przysłuchiwała się rozmowie obu mężczyzn. Wprawdzie takie zachowanie nie było w jej stylu, lecz na widok tego człowieka dostawała gęziej skórki, ogarniało ją uczucie, że powinna zachowywać najwyższą czujność podczas jego wizyt.

Tym razem nastrój był bardzo poufały. Ojciec poklepywał gościa po ramieniu i częstował ponczem, Tiril widziała, że jakaś ogromna suma pieniędzy zmienia właściciela.

Jak to dobrze, że ojciec jest w stanie zapłacić, pomyślała z ulgą. Nareszcie się uwolni od tego obrzydliwego typu.

Matka wciąż gościła u przyjaciół w Christianii, lecz Tiril słyszała, że wkrótce ma wrócić. Świetnie, bo z jakiegoś niezrozumiałego dla niej powodu źle się czuła w domu sama z ojcem.

Konsul Dahl przyglądał się swemu odbiciu w lustrze. Stwierdził, że drżą mu palce.

Ileż to czasu minęło od ostatniego razu.

Całkiem nowa owieczka. Czysta. Niewinna. Jego!

Cóż za rozkosz móc to wziąć, wykorzystać, nasycić się!

Poza tym to przecież jego oczywiste prawo.

Ale nie może wziąć jej tak jak tamtej. Tamta była małą laleczką tatusia.

Skrzywił się z niesmakiem. Że też można chcieć zrobić coś takiego! Jaka brzydka śmierć!

W pewnym sensie jednak ją rozumiał. Porzucił ją przecież, odwrócił się od niej plecami, ponieważ odkrył nowe możliwości. Ale też powiedział: proszę bardzo, wychodź sobie za tego młodzika, który niczego nie umie, niczego nie wie. Nie chcę mieć już z tobą do czynienia!

To, oczywiście, dlatego wyskoczyła. Z rozpaczy, że on, konsul Dahl, ją odtrącił.

A cóż ona sobie myślała? Że będzie mogła mieć obu? Musiała przecież wiedzieć, że za nic by się nie zbliżył do kobiety, której dotknął inny mężczyzna. Czyż to raz szeptał jej o tym do ucha? Że nie chce więcej swojej żony, ponieważ przestała być czysta i nie należy już wyłącznie do niego.

A może ona odebrała sobie życie z zazdrości? Bo zauważyła jego zainteresowanie młodszą siostrą.

Tak, to na pewno tak musiało być.

Dahl przyglądał się sobie z przyjemnością. Rzeczywiście był godny pożądania. Jakie piękne ciemne oczy. Jaki kształtny nos! Wszyscy muszą wiedzieć, że jest człowiekiem bogatym, że stać go na najlepsze jedzenie. W peruce był mężczyzną, któremu trudno się oprzeć. Bez niej...

Zdjął na próbę sztuczne włosy.

Cóż, też nieźle.

Dahl odwrócił się od lustra. Myśl o młodej, pełnej wdzięku Tiril sprawiła, że jeszcze bardziej wypiął pierś.

Tiril rzeczywiście rozwinęła się w ostatnim czasie, jej kanciasta, chłopięca postać zaczynała nabierać kobiecych kształtów.

No i konsul ma przecież prawo! Nie czynił niczego nie dozwolonego. Wiedział po prostu więcej niż obie dziewczyny. Bo one się nawet niczego nie domyślały.

Ale akurat to ostatnie dodawało wszystkiemu pikanterii, można powiedzieć: znakomita przyprawa!

Teraz byli w domu sami, on i Tiril. Dahl skropił się najwytworniejszymi perfumami żony i otworzył drzwi.

Dziewczynka siedziała w salonie i czytała. Kto ją tego nauczył? Panny nie powinny umieć czytać, to niekobiece.

Ale wdzięku to jej rzeczywiście nie brakuje. Włosy co prawda wciąż beznadziejnie potargane, proste i sterczące na wszystkie strony, ale przecież będzie mogła nosić perukę! Były teraz w modzie takie wysokie, piękne, może jej kupić. Nikt nie powie, że konsul Dahl jest skąpy wobec swoich... wobec swojej rodziny.

No i naprawdę nabrała kształtów! Znacznie bujniejszych niż starsza kiedykolwiek mogła się pochwalić. One rzeczywiście nie były do siebie ani trochę podobne. Zresztą dlaczego miałyby być?

Uśmiechał się tajemniczo. Teraz miał pieniądze. Mnóstwo pieniędzy! Że też wcześniej nie przyszło mu takie rozwiązanie do głowy!

Ręce spoczęły na ramionach Tiril, dziewczynka aż podskoczyła.

— No, no — uspokajał ją przymilnie. — To tylko tatuś.

Dotykanie jej było niezwykle podniecające. Może dlatego, że tak naprawdę to nigdy przedtem nie brał jej pod uwagę. Zawsze przecież była nieładnym, krępym dzieciakiem. Ale teraz zrobiła się... ooch!

Musiał bardzo głęboko wciągnąć powietrze. Miał problemy z opanowaniem głosu.

— No i jak ci się powodzi, mój kociaczk? — spytał łagodnie. — Bardzo tęsknisz za Carłą?

— O, tak. Bardzo.

— I ja też. Chodź tutaj, usiądź tatusiowi na kolanach, tak jak dawniej. Porozmawiamy sobie o naszej kochanej Carli.

— Ale... — Tiril uśmiechała się. — skrępowana. — Ja przecież nie mogę siadać na kolanach! Jestem na to za duża.

— Oczywiście, że możesz. Carla tak robiła jeszcze do tego roku. (Nie wspominał jednak o protestach ani o gorzkich łzach nieszczęsnej Carli). No, chodź, chodź!

Tiril przyglądała mu się spod zmarszczonych brwi. Sprawiała wrażenie nieprzyjemnie poruszonej. Co ona sobie myśli, głupia dziewczucha? Czy nie rozumie, że on nie może już dłużej czekać? Czy nie odczuwa tego napięcia w ciele, które jego ręce mogłyby ukoić?

Głośno trzasnęły wejściowe drzwi.

— Hej! Czy jest ktoś w domu?

A niech to diabli! Żona? A co ona tu robi? Powinna przecież być...

Pani Dahl wkroczyła do pokoju.

Nadarzyła mi się podwoda nieco wcześniej, niż planowałam. Och, Tiril, dlaczego ty tu siedzisz i męczysz oczy nad książką? To niezdrowo, porobią ci się zmarszczki. Carl, co z tobą? Czyżbyś biegał po dworze? Jesteś taki czerwony i spocony. Uważaj na swoje serce!

Sama, uważaj na siebie, ty beznadziejna babo, pomyślał ze złością.

Zniszczyła mu taką wspaniałą okazję! Ale to nic, będą następne!

Rozdział 10

W Roku Pańskim 1706 w Szkole Łacińskiej w Holar uczył się pewien młody człowiek, będący już niemal w pełni wykształconym księdzem. Imię jego brzmiało: Eirikur Magnusson z Vogsos.

Ów Eirikur znał historię starego eremity, który został pochowany na tamtejszym cmentarzu. Eirikur przepytывał o niego, kogo się tylko dało, i w końcu wiedział wszystko. Wiedział więc, że mnich przybył tu z Biskupstungur, że był niewiarygodnie wiekowym samotnikiem i mistrzem jeśli chodzi o znajomość starych, ba, prastarych ludowych wierzeń. Eirikur wiedział też, że spośród rzeczy będących jego własnością eremita nade wszystko chronił dwie: jałówkę, którą karmił z wielką troskliwością, oraz księgę, której treść pozostawała dla innych tajemnicą.

Była to, naturalnie, „Graskinna” druga.

Ta poszukiwana i pożądana. Móri, na przykład, znał już treść „Graskinny” pierwszej, czyli że pozostały mu jeszcze dwie części: „Graskinna” druga i korona całego dzieła: „Rödskinna”.

O Mórim jednak nikt nie słyszał od wielu lat.

Eirikur natomiast węszył i wciąż rozpytywał o obie księgi pod wspólnym tytułem „Graskinna”.

Eremita, jak wiadomo, zanim umarł i został złożony w ziemi na cmentarzu w Skalholt, zażądał od biskupa, by zarówno jałówka, jak i księga znalazły się tam razem z nim, bo jeśli nie, to wszyscy tego pożałują.

Spełniono jego życzenia. Eirikur Magnusson jak wielu przed nim był wprost opętany myślą o zdobyciu „Graskinny”, jednej z trzech magicznych ksiąg. Pewnego razu namówił na wspólne poszukiwania dwóch towarzyszy, Magnusa i Boggiego, ale o tych dwóch nic więcej nie wiadomo.

Nie zachowało się żadne dokładne sprawozdanie na temat, jak im się powiodło, bowiem Eirikur uparcie odmawiał rozmowy na ten temat, dwaj pozostali zaś milczeli z innych powodów. Prawdą jest jednak, że udało im się wywołać starego z grobu i że otrzymali od niego najstarszą część jego księgi.

Z pozbieranych fragmentów zrekonstruowali większą całość, którą ponownie

nazwano „Graskinna”. Przez długi czas leżała ona na pulpicie w szkolnym budynku w Skalholt.

Pogłoski o księdze rozchodziły się potajemnie, podawane z ust do ust, gdzieś po karczmach, może w sekretnych, prowadzonych nocami rozmowach. I jakoś tak się złożyło, że w tym samym czasie naukę w Szkole Łacińskiej w Skalholt rozpoczął nowy uczeń, ale nie wykazywał on specjalnych zainteresowań dla powołania kapłańskiego. Nikt go nie znał, a inni uczniowie po prostu się go bali. Jego ciemnopiwe oczy pod rozczochranymi, czarnobrazowymi włosami lśniły fanatycznym blaskiem. Chłopak był biedny i najwidoczniej miał za sobą bardzo ciężkie przeżycia; odmrożone palce i rozległe blizny, które świadczyły o niejednym spotkaniu z drapieżnikami. Nazywano go Móri, więcej nikt nie wiedział i zresztą nikt wiedzieć nie chciał, bowiem jego niepospolita osobowość i ta jakaś skrywana pasja trzymały ludzi na dystans.

Imię Móri zaś wszystkim wydawało się dla niego najbardziej odpowiednie. Wyglądał jak istota przynależna do głębin ziemi, jak upiór z mrocznych bagnisk. Niebezpieczne stworzenie, bo przy tym wszystkim był wprost niewiarygodnie urodziwy. Dzika, podstępna, agresywna uroda. Uwodzicielska, a jednocześnie odpychająca i tragiczna.

Ktoś powiedział, że widziano go, jak się zakrada do sali, w której przechowywano „Graskinnę”. I to nie raz, a wielokrotnie, zarówno za dnia, jak i nocą. Ale to z pewnością tylko takie gadanie. Był w szkole nowy, zapewne nie odważyłby się zrobić czegoś takiego, a poza tym pomieszczenie zamykano natychmiast po zakończeniu zajęć. Musiano widzieć Eirikura.

Nikomu zaś nie przyszło nawet do głowy, że Móri mógł znać zaklęcia otwierające zamki.

Nie minęło wiele czasu, a rozeszły się pogłoski, że Eirikur z Vogsos oddaje się czarnej sztuce. Zatem biskup wezwał go do siebie i wskazując na „Graskinnę”, zapytał Eirikura, czy wie, co zostało w tej księdze zapisane.

Eirikur przez kilka chwil przewracał karty, po czym rzekł z niewinną miną „Nie znam w tej książce jednej jedynej litery”. Złożył przysięgę, że mówi prawdę, i w jakiś czas potem odjechał do domu, albowiem był już wykształconym kapłanem i nie potrzebował dłużej przebywać w Skalholt.

Później wyznał jednemu ze swoich przyjaciół, że bardzo dobrze znał treść księgi i wszystkie tajemnicze litery. Wszystkie z wyjątkiem jednej, a zatem nie popełnił krzywoprzysięstwa! Zobowiązał tylko przyjaciela, by tego nie ujawniał przed jego, Eirikura, śmiercią.

Wielu młodych chłopców chodziło potajemnie do siry Eirikura i prosiło go, by ich nauczał. Ale on był wymagający. Wypróbowywał ich na najróżniejsze sposoby i uczył tylko tych, którym miał ochotę przekazać nieco swojej wiedzy. Takich zaś było niewiele.

Ów nowy uczeń, ten którego nazywano Móri, również przyszedł z prośbą;

oświadczył, że chciałby się uczyć czarnej sztuki. Sira Eirikur długo przyglądał się w zadumie jego dziwnie pięknej, fascynującej twarzy i rzekł:

— Przyjdź do mnie w niedzielę. Będiesz mi towarzyszył do Krysuвик. Potem ci odpowiem, czy będę cię uczył, czy nie.

W niedzielę wspólnie opuścili Skalholt, ale kiedy dotarli do piaszczystych równin, sira Eirikur powiedział:

— Zapomniałem brewiarza. Leży u mnie pod poduszką. Wróć i przywieź mi go. Ale pamiętaj, cokolwiek by się działo, nie wolno ci go otwierać!

Móri pojechał do szkoły, zabrał brewiarz i wrócił na piaszczyste równiny. Tam ciekawość wzięła górę i młody człowiek otworzył książkę, z której nieoczekiwanie wyskoczyło mnóstwo małych diabełków. Rozbiegły się wokół, wołając: „Co mamy robić? Co mamy robić?”

Móri odparł ze złością:

— Kręćcie bicze z piasku!

Diabełki rozsiadły się zatem i zabrały do roboty, a Móri pojechał dalej i odnalazł kapłana siedzącego na pokrytej lawą ziemi. Eirikur wziął od niego brewiarz i powiedział:

— Otwierałeś go.

Móri stanowczo zaprzeczył.

Jechali dalej, tak jak było postanowione.

W drodze powrotnej sira Eirikur zobaczył małe diabełki, skręcające bicze z piasku, i roześmiał się:

— Wiedziałem, że otwierałeś brewiarz, mój młody przyjacielu, choć tak gorąco zaprzeczałeś. Ale sposób, w jaki z tego wybrnąłeś, jest zupełnie wyjątkowy, więc może warto, żebym cię tego i owego nauczył.

I chyba nie widział, że na twarzy Móriego pojawił się przebiegły uśmiech.

Tak doszło do tego, że sira Eirikur zaczął nauczać młodzieńca.

Istnieje wiele opowieści o czynach Eirikura na Vogsos, ale przytoczymy tu tylko kilka z nich.

Pewnego dnia, a było to zimą, do Vogsos przybyła grupa wędrowców. Niektórzy z nich zaopatrzyli się sownie w siano dla swoich koni, ale potem odjechali, nie uściwszy żadnej zapłaty.

Kiedy jednak następnego ranka chcieli napić konie w rzece, zwierzęta piły i piły, nie mogąc przestać, choć ludzie starali się odpędzić je od wody.

Słyszając o tym, co się stało, i że ludzie ci nie mogą odejść od rzeki, by jechać dalej, sira Eirikur udał się do nich i powiedział:

— Siano z Vogsos jest spragnione, nie powinniście go dawać naszym koniom.

Rozstali się później jako przyjaciele, a Eirikur zabrał swego ucznia, który zawsze mu towarzyszył, i wrócił do domu. Móri posyłał mistrzowi spojrzenia pełne podziwu.

— Kim ty właściwie jesteś, Móri? — zapytał kiedyś sira Eirikur. — Ile masz lat?

Młody człowiek wzruszył ramionami.

— Wieku swojego nie znam. Może dwadzieścia lat, może więcej. Albo mniej. Jak brzmi prawdziwe imię, zapomniałem, bo zawsze nazywano mnie Móri. Nazwisko zaś brzmi: Helgasson, i pochodzę z dobrego rodu.

Ostatnie słowa wymówił z tak wyraźnym naciskiem, że sira Eirikur spojrział na niego spod oka.

— Nie wątpię, że pochodzisz z dobrego rodu — rzekł kapłan z wolna. Obaj nadawali określeniu „dobry ród” to samo znaczenie. — Ale kim są twoi rodzice?

— Ojca nigdy nie znałem, ale miał podobno być jednym z wielkich, okrytych tajemnicą. Matka zaś została zgładzona w najstraszniejszy sposób, dokładnie w taki sam, w jaki zgładzono jej ojca i dziadka.

— Nie chciałbyś mi zdradzić ich nazwiska?

Móri powiedział, miał bowiem zaufanie do tego człowieka.

Kiedy kapłan usłyszał nazwiska, uśmiechnął się:

— A więc jesteś potomkiem Jonssonów z Kirkjuból? Tak, w takim razie należysz do najlepszego rodzaju.

— Słyszałem, że nie cieszyli się wielkim szacunkiem?

— Nie mieli wykształcenia, to prawda, ani Jon Jonsson starszy, ani jego syn, ale wszyscy twierdzą, że byli to bez wątpienia wybitni czarnoksiężnicy.

— Słyszałem jednak również, że byli niewinni?

— Pastor, sira Jon, nie ucierpiał za bardzo, to pewne — powiedział Eirikur cierpko. — Ale niewinni to jednak nie byli! Znali się na rzeczy. Jakim sposobem dorobiłeś się tego przydomka „Móri”? Czy raczej: w jakich okolicznościach ci go nadano? Każdy widzi, że nosisz ten przydomek z godnością, ale od jak dawna tak cię nazywają?

Móri odwrócił twarz.

— Moja matka zwróciła się do nieznajomego z prośbą o pomoc, kiedy miałem się urodzić — zaczął cicho, z udręką w głosie. — Myślę, że używano ziemi specjalnego rodzaju, żeby przyspieszyć moje narodziny. I że pomagała przy tym jakaś ludzka istota z tamtej strony granicy życia i śmierci. Tak właśnie mówiono, ale myślę, że to puste gadanie! — zakończył pospiesznie.

— Oczywiście — przytaknął sira Eirikur, przyglądając mu się ukradkiem. Po chwili jednak dodał z powagą:

— Słyszałem o twojej matce, Heldze Jonssdóttir. Popelniono wielkie przestępstwo, paląc ją na stosie, to się nie powinno było zdarzyć. Nigdy przecież nie zrobiła nic złego, uzdrawiała tylko chorych ludzi.

— To była moja wina — rzekł Móri tak szybko, że Eirikur domyślił się, jak bardzo go te wspomnienia bolą. — Wiedziony głupią dziecinną odwagą chciałem wystraszyć lensmana i jego ludzi.

— Zapomnij o tym — przerwał Eirikur. — I tak by ją spalili, bo po prostu już dawno nie mieli żadnej czarownicy, którą mogliby przykładowo ukarać. No cóż, młody Móri, teraz wiemy, na czym stoimy obaj, i ja, i ty. Staraj się tedy zapamiętać wszystko, co zobaczysz w moim domu.

— Już to robię. Przez cały czas — zapewnił Móri spokojnie.

Pewnej nocy przybył do Vogsos pewien nieszczęśliwie zakochany człowiek. Jego dramat polegał na tym, że wybranka odepchnęła go, zanim wszedł do jej domu, i teraz pytał, czy ksiądz nie mógłby mu pomóc.

— Mowy nie ma — odparł sira Eirikur. — Ale idź i połóż się tam pod ścianą i postaraj się zasnąć. Ja muszę na chwilę wyjść.

Móri chciał się dowiedzieć, co dolega gościowi, ale pastor oświadczył, że Móri jest za młody, by rozumieć takie rzeczy, i poradził mu, by poszedł spać.

W nocy ktoś zapukał do drzwi i sira Eirikur otworzył. Na dworze stała dziewczyna w samej koszuli, przemoczona do suchej nitki w ulewnym deszczu. Na pół żywa z zimna prosiła pastora o schronienie. Wpuścił ją do środka i zapytał, jakim sposobem się tu znalazła.

— Wyszłam z domu niekompletnie ubrana, żeby zebrać, pranie, bo zaczynało padać. Ale zabłądziłam i w końcu natrafiłam na wasze domostwo.

— Niedobrze się składa — rzekł sira Eirikur. — W domu „jest pełno ludzi” i nie ma ani jednego miejsca do spania. Gdybyś jednak chciała, to mogłabyś się położyć obok tamtego mężczyzny.

I pastor wskazał na łóżko, w którym spał gość.

Dziewczyna odparła, że woli to, niż zamarznąć na śmierć, i ułożyła się obok mężczyzny. Zaraz się też oboje poznali i spędzili resztę nocy w najlepszym porozumieniu. Móri zaś, którego nigdy jeszcze cierpienia miłości nie dotknęły, słuchał z zainteresowaniem i bardzo wiele się nauczył. Później oboje młodzi pobrali się i żyli długo i szczęśliwie.

Tymczasem sira Eirikur miewał innych nocnych gości. . .

Kiedyś na przykład odwiedziła go Stokksejri-Disa, tak nazywała się pewna kobieta wysokiego rodu, krewna wielu historycznych postaci. Była to osoba dumna i wyniosła, a poza tym dosyć nieuczciwa w swoim stosunku do innych. Miała opinię obdarzonej zdolnościami ponadnaturalnymi.

Nieoczekiwanie sira Eirikur otrzymał od niej w prezencie wełniany sweter, jasnoniebieski w czerwony wzór, miał go na siebie włożyć, kiedy będzie odprawiał nabożeństwo w Krysuvik.

Pewnej niedzieli panowało takie przejmujące zimno, że istotnie sweter okazał się potrzebny. Pastor dojechał już do Vithisand, gdy sweter nieoczekiwanie zrobił

się ciasny do tego stopnia, że duchowny zsiniał na twarzy. W końcu spadł z konia i nie był w stanie wykrztusić ani słowa, ale Móri, który mu towarzyszył, zobaczył, co się dzieje, i ściągnął sweter z nieszczęśnika.

Nikt nie miał wątpliwości, że to Stokkseyri-Disa chciała wypróbować na pastorze swoją magiczną siłę.

Po powrocie do domu sira Eirikur zaczął prząść szarą wełnę, a potem zrobił na drutach długą bluzę. Posłał ją Disie, którą ten dar niebawem wzruszył. Bardzo jej się podobało ubranie. Takie było ciepłe i miękkie.

Wieczorem pastor zabronił swoim ludziom otwierać drzwi, żeby nie wiem jak się do nich dobijano. I dopiero przy trzecim pukaniu mają mu o tym powiedzieć. Nikt jednak nie przyszedł, bo na dworze panował straszny mróz i szalała zadymka. Nikt nie włóczył się po nocach w taką pogodę.

Mimo to nad ranem rozległo się jednak stukanie i Móri, usłyszał, że sira Eirikur mówi:

— Ktoś się do nas dobija. Pozwólcie, żeby zapukał jeszcze raz!

W chwilę później stukanie powtórzyło się, tym razem jeszcze głośniejsze, ale pastor powiedział, że nie ma pośpiechu z otwieraniem.

Dopiero kiedy zapukano po raz trzeci, zresztą teraz dużo słabiej, sira Eirikur wstał i zaczął się ubierać. Nie spieszył się z tym, a potem podszedł do drzwi i otworzył. Na dworze stała jego przyjaciółka, ta, która niedawno przysłała mu sweter. Miała na sobie wełnianą bluzę, a w ręce trzymała duży nocnik. Była ledwie żywa z zimna.

Eirikur powitał ją uprzejmie.

— To nie jest pogoda na takie wyprawy, moja droga — rzekł. — Musisz mieć niecierpiący zwłoki interes. Wejdz, proszę.

Móri musiał się odwrócić, bo nie był w stanie zachować powagi.

Dama nie mówiła o żadnych interesach, powiedziała natomiast co innego:

— Wczoraj wieczorem wyszłam na dwór, żeby opróżnić nocnik. Nagle zerwała się straszna wichura i zrobiło się tak ciemno, że nie wiedziałam, gdzie jestem, i nie byłam w stanie znaleźć drogi powrotnej, a potem krążyłam po okolicy, nie mogąc odrzucić od siebie tego naczynia.

— A właśnie, moja droga — rzekł pastor. — Winien ci jestem podziękowania za twój dar. To więcej, niż sobie zasłużyłem, i dlatego pozwoliłem sobie również posłać ci prezent. Właśnie ów prezent stał się przyczyną twojej wędrówki i twojej u mnie wizyty. Powinnaś wiedzieć, że nie opłaca się żartować z Eirikura z Vogsos.

Po tych wydarzeniach nastąpił pomiędzy obojgiem pokój. Sira Eirikur powiedział jej na pożegnanie po kilku dniach:

— Będziesz miała szczęśliwe życie, ale po śmierci trafisz, do piekła.

— Naprawdę tak myślisz, siro Eirikurze? — zapytała Disa.

— Bez najmniejszej wątpliwości, moja droga — zapewnił Eirikur.

Kiedy nadeszła wiosna, Móri zaczął się niepokoić, czy jego dawny wróg, lensman, nie dowiedział się przypadkiem, że Móri żyje i gdzie mieszka. Od czasu jednak kiedy widzieli się po raz ostatni i kiedy to Móri uciekł lensmanowi, polowania na czarownice ustały. Prawdę powiedziawszy Helga i Gissur na Islandii należeli do ostatnich, którzy zostali spaleni za czary i posługiwanie się magicznymi runami. Ludzie byli coraz lepiej wykształceni, przesady zanikały.

Lensman chciał jednak schwytać i ukarać Móriego za jego dawniejszą bezczelność. Wiedział też, że opiekun i obrońca Móriego, sira Eirikur z Vogsos, wydobył z grobu magiczną księgę zwaną „Graskinna” — jak mu się to, na Boga, udało? — i że nie wszystko, czym ten pobożny człowiek się zajmuje, zniósłoby światło dnia.

Pastora lensman ruszyć nie mógł, Móriego jednak mógł dostać, żywego albo umarłego, bez znaczenia. Lensman był człowiekiem żądnym zemsty i nigdy nie zapomniał upokorzenia, jakie go spotkało ze strony biskupa ze Skalholt, kiedy się okazało, że chłopak mu uciekł. W miarę upływu czasu ich podejrzenia zostały potwierdzone: tym, który zmaćił wzrok strażnikom i zdobył władzę nad ich snami, przez co mógł kierować ich postępowaniem tak, że o mało się nie potopili, był właśnie młody Móri, nikt inny.

I to jego lensman wypuścił z rąk!

Sira Eirikur odbył z Mórim poważną rozmowę.

— Wiesz już teraz wszystko, czego mogłem cię nauczyć. I w moim domu zrobiło się już dla ciebie niebezpiecznie. Oni mogą tu przyjść w każdej chwili i zabrać cię. Musisz opuścić Vogsos.

Móri skinął głową. On też to rozumiał.

— Zakładam — rzekł pastor nieco uszczypliwie — że czytałeś moją „Graskinnę”.

Móri nie mógł zaprzeczyć.

— I nauczyłeś się jej na pamięć?

— Od początku do końca i od końca do początku.

Pastor spoglądał na dorosłego już teraz Móriego. Patrzył na jego fascynująco piękną, męską twarz z odrobiną zdradzającej okrucieństwo bezwzględności w rysach, która z wiekiem i powiększającą się wiedzą zaniknie, taką przynajmniej pastor miał nadzieję. Niecierpliwość, tak charakterystyczna dla, młodego Móriego, została teraz zastąpiona przez tłumiony dynamizm i niezwykle bogatą osobowość, która bardzo niepokoiła pastora. Zastanawiał się, do czego to wszystko może doprowadzić.

— Dokąd zamierzasz się udać?

Móri myślał głośno:

— Do Kaldidalur nie wrócę już nigdy. Do tej samotności. Do zimowych sztormów. Deszczu i mgły. Głodu, skręcającego wnętrza głodu. Walki o przetrwanie. Kaldidalur, „dolina wichrów”. Albo Kaldidalur, „dolina zimnych wiatrów”.

A to nie jest żadna dolina, sira Eirikurze, to po prostu lodowato zimne pustkowie, nic tylko lawa i drobne kamienie. I Surtshellir. . . Grota, w której niekiedy musiałem się chronić na długie okresy. Woda spływająca ze sklepienia. Pokryte lodem dno. To wielka grota, długie korytarze z wieloma odnogami, ja jednak nauczyłem się jakoś z tym wszystkim żyć. Ale tego kapania w grocie, tego lodowatego dna i ciemności nienawidziłem w miarę upływu czasu coraz bardziej.

— Myślę, że powinieneś opuścić kraj — rzekł sira Eirikur z powagą. — Tutaj nie ma dla ciebie bezpiecznego miejsca. Osiądź gdzieś za morzem i zacznij wszystko od początku! Młodość czyni cię nieostrożnym w postępowaniu z naturalnymi darami, jakie otrzymałeś, ale lepszego ucznia żaden czarnoksiężnik nigdy nie miał!

To była wielka pochwała ze strony siry Eirikura i Móri, podziękował pięknie.

— Ale. . . — zaczął z wahaniem.

— Tak?

— Jest coś, co chciałbym jeszcze zrobić. Pastor uśmiechnął się krzywo.

— Sądzisz, że nie wiem, do czego zmierzasz? Masz na, myśli „Rödskinnę”, prawda?

Zawstydzony Móri musiał przyznać, że tak właśnie jest.

— Zapomnij o tej księdze — rzekł sira Eirikur z naciskiem, kładąc rękę na ramieniu Móriego. — Otrzymałeś już dwie z trzech, a to wcale nie jest zły wynik.

— Ale „Rödskinna” jest ukoronowaniem tajemnych ksiąg.

— I jest zarazem najbardziej niebezpieczna. Wiesz, ja za młodu marzyłem o tym samym. Udało mi się wywołać z grobu starca z „Graskinną” i wszystko, co w niej zostało spisane, jest teraz także częścią twojej wiedzy. Nigdy jednak nikomu nie wyznałem, jak do tego doszło.

— Rzeczywiście. Wielokrotnie się nad tym zastanawiałem, ale nie odważyłem się zapytać.

— Teraz też nie pytaj! I porzuć marzenia o zdobyciu „Rödskinny”! Jej żaden żywy człowiek nie zdoła wywołać spod ziemi. Cały rytuał ze znacznie prostsza „Graskinną” i starym eremitą był już dostatecznie potworny, do dzisiaj dręczą mnie koszmarne sny. Wyszedłem z tego niemal bez szwanku, ponieważ miałem powiązania. . . z właściwą stroną, byłem już wykształconym kapłanem. Ty tego nie masz. Nie masz zadatków na to, by zostać księdzem, i nie wygląda mi też, że znajdziesz się kiedyś w niebieskich rejestrach. Tak, wiesz z pewnością, że jeden z tych dwu, którzy byli wtedy ze mną, w chwili gdy starzec podniósł się z ziemi, stracił rozum, a drugi rozpił się do tego stopnia, że sam już nie wie, kim jest.

— Nie wiedziałem o tym. Bogi i Magnus, tak się nazywali, prawda? Biedni ludzie. Musicie być bardzo silnym człowiekiem, sira Eirikurze.

Pastor uśmiechnął się ze smutkiem.

— Żałowałem niezliczoną ilość razy i zastanawiałem się, czy cena nie była zbyt wysoka. Zdrowy rozum dwóch ludzi i moje bezsenne noce. W dodatku

zaprzedałem i ciało, i duszę, to też musisz wiedzieć.

Do diabła, pomyślał Móri. Ale nawet to nie wydało mu się zbyt przerażające. Gdyby go tylko pastor nauczył rytuałów i wszystkiego, co trzeba robić, by wywołać zmarłego z grobu, to na pewno by zdobył „Rödskinę”.

Dwie z trzech to za mało.

W każdym razie dla Móriego.

Ale również on rozumiał, że musi opuścić kraj. Żadne miejsce nie było już dla niego bezpieczne.

Tak więc w pewien mglisty letni poranek wszedł na pokład statku, który miał go zabrać daleko od Islandii, kraju, który kochał. Nie chciał patrzeć, jak ojczysty brzeg znika w oddali. Uparcie spoglądał przed siebie, na otwarte morze.

Ale jego dusza pogrążona była w smutku, oczy płonęły fanatycznie, myśli zaś krążyły wokół jednej jedynej sprawy i Móri szeptał sam do siebie:

— Pierwszą „Graskinę” czytałem w Holar tak długo, dopóki nie nauczyłem się jej na pamięć. Drugiej „Graskinny” nauczyłem się od siry Eirikura i nie sądzę, bym mu nie dorównywał, jeśli chodzi o znajomość zaklęć z tej księgi.

Odetchnął. Głęboko i spokojnie.

Już teraz wiem więcej niż ktokolwiek inny na świecie, bo posiadam również wiedzę mego dziadka i pradziadka, a także siostry dziadka. Teraz pozostaje już tylko jedno, a stanę się najsilniejszy na świecie.

Piękną i zarazem straszną twarz rozjaśnił jakiś diabelski, pełen zdecydowania uśmiešek.

— „Rödskinna”. Jeśli zdobędę jej wiedzę, zdobędę wszystko!

I na koniec szepnął jeszcze: — Islandio, ja wrócę! Kiedy czas się dopełni, wrócę do ciebie!

Rozdział 11

Bergen, Anno Domini 1715.

Grzmiało i huczało wokół Tiril, jarzyło się i skrzyło, dzwoniło i łoskotało, dźwięczne uderzenia jedno po drugim. Żelazo o kamień, żelazo o kamień.

Tiril znajdowała się w kuźni, u kowala. Zawsze czuła się tu bardzo dobrze. W dzieciństwie przychodziła często z woźnicą albo z chłopcem stajennym, gdy kuto konie lub należało naprawić uprząż. Nikt bowiem tak naprawdę nie zajmował się tym, co Tiril robi ani gdzie się podziewa.

Aż do ostatnich miesięcy. Teraz bowiem czuła się nieustannie obserwowana i śledzona przez ojca. „Dokąd idziesz? Gdzie byłeś? Zostaniesz w domu, nie uchodzi, żeby młoda dama włóczyła się sama po ulicach”.

Młoda dama! Sama włóczy się po ulicach! Tiril zawsze robiła, co chciała, więc i teraz wydostawała się po prostu przez okno. Za każdym razem, gdy kazano jej siedzieć w swoim pokoju, wymykała się tą drogą do miasta!

Tego dnia wybrała się do kowala. Chciała zamówić nabijaną kolcami obrozę dla Nera, żeby radził sobie jeszcze lepiej niż dotychczas. Zdarzało się, że sfory obcych bezdomnych psów zakradały się do jego legowiska w porcie i wtedy wybuchały bójk.

Nero był z nią. Jak zwykle wyszła z domu przez okno, rodzice więc sądzili, że dziewczyna siedzi u siebie i haftuje.

Ale haftowanie nie było w żadnym razie powołaniem Tiril, nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości.

Ból po śmierci Carli nadal trwał w jej sercu. Głębiej niż jakiegokolwiek inne uczucia. Ten ból, który trapi bliskich kogoś, kto odebrał sobie życie, wyrzuty sumienia, zawód, poczucie winy, wszystko to otaczało Tiril niczym ciemna chmura. Chmura, która nigdy nie zniknie, Tiril wiedziała o tym, że wielu ludzi, na których życiu kładzie się cień czyjegoś samobójstwa, nosi w sobie żałobę aż do śmierci.

Trudno powiedzieć, ile łez już wylała biedna siostra nieszczęsnej Carli.

Tego dnia kuźnia wydawała się jakaś odmieniona. Tiril знаła ją przecież bardzo dobrze, prowadziły do niej kamienne schody, wewnątrz było czymś w rodzaju górskiej grotty. Tylną ścianę stanowiła skała, przy niej zbudowano wielkie palenisko, obok którego stały trzy kowadła, a wzdłuż jednej ze ścian leżało mnóstwo najrozmaitszych przedmiotów żelaznych, które Tiril uważała za nieprzydatny do niczego złom, chociaż kowal był absolutnie innego zdania.

Reszta kuźni, rozległa, tajemnicza przestrzeń, kryła się w mroku.

Kowal, wielki i potężny, z brodą, muskularny, w skórzanym fartuchu na gołym torsie i wydatnym brzuchu piwosza, był dawnym znajomym Tiril. Panią w takim miejscu to nieczęsty gość, Tiril jednak witano serdecznie. Ludzie w ogóle ją lubili za jej brak sztuczności i rzeczowość, domyślali się, że za tą radosną życzliwością dla świata kryje się samotność opuszczonego dziecka. A poza tym ostatnio wyładniała i miło było na nią popatrzeć!

Natomiast uczniowie kowala, którzy dopiero co tu nastali, przyglądali się z podziwem tej młodej damie. Zachowywali się też jakoś nerwowo, ale to z pewnością nie z jej powodu.

Kowal słuchał wyjaśnień Tiril i kiwał głową.

— To się da zrobić — obiecał. — Ma panią bardzo pięknego psa.

Nero pozwolił się pogłaskać, najwyraźniej akceptował kowala. Ale nawet ten rosty, silny mężczyzna był dzisiaj jakiś nieswój. Chyba nie tylko Nero coś wierzył; wszyscy, łącznie z Tiril, byli spięci i raz po raz rozglądali się ukradkiem. Pies nastawiał uszu i z głuchym pomrukiem w gardzieli spoglądał w stronę mrocznego wnętrza kuźni.

Kowal ani nie strzygł uszami, ani nie warczał, ale jego reakcje w jakiś sposób przypominały zachowanie psa. Ukradkowe spojrzenia, niepokój w oczach, nerwowość...

A obaj uczniowie? Pracowali, jakby sam diabeł stał nad nimi z biczem.

I cóż takiego robili?

Nic specjalnego. Jakieś drobiazgi do końskiej uprzęży. Ale co robił kowal...?

Dobry Boże, co tam leży na palenisku? — zastanawiała się Tiril. To przecież wygląda jak...

Nie wiedziała dokładnie, jak to określić. Z pozoru przedmiot wyglądał jak nóż, ale nóż niezwykle, wykwintna rękojeść i ostrze... wszystko razem przywodziło na myśl... magię.

Nie, nie powinna głośno mówić o swoich przywidzeniach.

Ale nie tylko te zewnętrzne objawy budziły niepokój Tiril. Było też coś w samej atmosferze. Coś... groźnego?

Nagle niemal doznała szoku, stwierdziła bowiem, że w kuźni znajduje się ktoś jeszcze. To, co początkowo uważała za tłumoczek starych ubrań pod ścianą okrytej mrokiem części kuźni, było czymś zupełnie innym. Tam po prostu siedział człowiek. Skulony, owinięty ciemną peleryną, siedział na jednej ze skrzyń,

w której kowal trzymał kawałki żelaza i różne narzędzia. Obcy podciągnął kolana i opierał na nich łokcie, głowę wspartą na rękach pochylał, jakby wpatrywał się w ziemię.

A więc to z tamtej strony. . .

Tiril zdała sobie sprawę, że na jego widok zamarła i przestała oddychać.

— No, no, Nero, spokój — szeptała do napinającego mięśnie psa. — No, no, to tylko człowiek.

A może nie? Ukryta w cieniu postać mogła też być istotą „z tamtej strony”. Albo człowiekiem, który miał zbyt wiele do czynienia ze światem śmierci.

To by dopiero było straszne, pomyślała Tiril wstrząśnięta. O Boże, skąd mi takie myśli przychodzą do głowy?

Kowal nadzorował pracę uczniów, raz po raz wydawał im jakieś gorączkowe polecenia, jakby chciał możliwie najprędzej pozbyć się tego tajemniczego gościa, odpoczywającego teraz pod ścianą, ale poza tym majster wyglądał na zadowolonego z pracy chłopców.

W końcu zajął się zamówieniem Tiril.

— Będę z tym gotowy jutro o tej samej porze, panienko Dahl — powiedział. — I obiecuję, że robotę wykonam dobrze. Taki piękny pies jest tego wart.

— Tak. To mój najlepszy przyjaciel na świecie — wyjaśniła Tiril.

— Widzę to. Dobry stróżujący pies, prawda?

— Stróżuje tylko przy mnie — roześmiała się.

— Ale pewnie utrzymanie kosztuje sporo?

— On nie mieszka w domu — odparła chyba zbyt szybko. Nie powinna była w ogóle tego mówić. — Ale ja się nim opiekuję. Wiedzie mu się naprawdę nie najgorzej. Nero jest przywódcą dużej sfory. I właśnie dlatego potrzebna mu dobra obroża. Dla obrony przed innymi przywódcami sfor.

— Bardzo rozsądny pomysł. Nabiję gęsto ostre, sterczące na zewnątrz kolce. Bo widzi panienska, psy chwytają przeciwnika za gardło, a w tej obroży żaden go nie ruszy. Jak rozumiem, to panienska nie może go ze sobą zabierać do domu, tak?

— No właśnie. Jest taki duży, a u mnie w domu nie za bardzo lubią psy.

— Eee — zaczął kowal, spoglądając na nią ukradkiem. — Aaa. . . wiedzą o nim?

— Nie — zaśmiała się Tiril. — Nie wiedzą.

— Tak myślałem. No, cóż. . . Pozostałby tylko do wyjaśnienia jeden drobiazg: kto zapłaci za tę przyjemność?

— Ja — oświadczyła zdecydowanie i sięgnęła po woreczek z pieniędzmi. Mogę zapłacić już teraz.

— Nie, nie trzeba, policzymy się jutro.

Rzucił pospieszne spojrzenie na palenisko, gdzie niezwykły nóż jarzył się czerwonym, krwistym blaskiem. Tiril domyślała się, że kowal ma mnóstwo pracy, wobec tego ruszyła do wyjścia. I tak trudno było rozmawiać w tym hałasie.

Nagle drgnęła gwałtownie. „To” opuściło swoje miejsce na skrzyni i stało na kamiennej podłodze, wciąż kryjąc się w cieniu.

Stwierdziła, że jest to bardzo wysoki mężczyzna, okryty peleryną, w mnisim kapturze na głowie. Kiedy ogień na palenisku strzelił w górę, przez moment zobaczyła twarz nieznajomego, taką surową i tak niezwykle piękną, że aż się cofnęła z wrażenia. Oczy były ciemne jak węgiel i płonące, Tiril przypomniała sobie słowa starej pieśni: „Jakby świecił czarny lód”.

Zdążyła jeszcze zobaczyć czarne loki pod kapturem, po czym ogień przygasł i wszystko zniknęło w mroku.

— Chodź, Nero — mruknęła i pobiegła schodami do wyjścia.

Ostatnie, co usłyszała, to kilka słów w jakimś dziwnym dialekcie, którego nigdy jeszcze nie słyszała i w żadnym razie nie potrafiłaby zlokalizować. Brzmiało to prawie jak obcy język, chociaż sens słów do niej docierał:

— Wróć tu jutro o tej samej porze. Może tak się mówi w królestwie śmierci?

Rozdział 12

Tego wieczora konsul Dahl zaatakował ponownie.

Od ostatniego razu minęło już kilka miesięcy, a żadna nowa okazja się nie nadarzyła. Dopiero teraz. Co prawda dotykał Tiril zawsze, gdy tylko znalazł się w jej pobliżu, a to po ojcowsku ją pogłaskał, a to cmoknął w policzek, ale wszystko w granicach przyzwoitości, rzecz jasna. Żona prawie teraz nie wychodziła z domu, chociaż wciąż zapowiadała, że musi odwiedzić tego czy owego.

Tiril skończyła tymczasem szesnaście lat i konsul zaczynał się denerwować. Ostatnio pani Dahl coraz częściej wspominała, że trzeba będzie znaleźć pannie odpowiedniego narzeczonego.

Cóż za potworny pomysł! Nikt nie może mu odebrać Tiril, ona jest jego zdobyczą. Taka młoda, taka świeżutka!

Minęło już prawie półtora roku od chwili, kiedy po raz pierwszy spostrzegł, że ona w ogóle istnieje. Półtora roku od śmierci Carli, a on wciąż nie miał możliwości, żeby...

Z Carlą wszystko było dużo prostsze. Mieszkała na górze, w dużym, pięknym pokoju, konsul mógł tam chodzić przez nikogo nie zauważony. Tiril natomiast zajmowała pokój koło sypialni jego żony. Cholernie niepraktyczne, bo musiał czekać, aż żona znowu gdzieś wyjedzie, a teraz zdarzało się to nader rzadko. Wielbicieli też pani konsulowa nie miała już tak wielu jak dawniej.

Próbował, oczywiście, namówić Tiril, by zmieniła pokój. Proponował jej, by przeprowadziła się do dużo większego i znacznie bardziej eleganckiego pokoju po Carli, ale Tiril nawet słyszeć o tym nie chciała. Zająć pokój siostry, to dla niej równało się niemal świętokradztwu.

Głupie baby! Takie niepraktyczne, takie sentymentalne! Nigdy nie wiedzą, co jest dla nich naprawdę dobre.

Dzisiaj jednak żona nareszcie wyjechała! Odwiedzić siostrę na łożu śmierci. Wyjechała zaraz po obiedzie, Bogu dzięki!

Nagle konsul zadrżał zdjęty grozą. Śmierć. Wciąż śmierć dokoła niego. A on pragnie życia. Młodości. Świeżości.

Zasłużył sobie na to po długim poście. Co prawda zdarzyło mu się w tym

czasie odwiedzać nowe służące, ale jedna nie była taka niewinna, jak sądził, drugą bardzo szybko się znudził, a trzecia okazała się brudasem i zaraziła go jakimś paskudztwem.

Nie, przez cały czas pragnął tylko Tiril i ona mu ulegnie, był o tym przekonany. Żadna szesnastolatka nie może być zupełnie nieświadoma, choć Tiril na to właśnie wygląda. Ale czyż nie przesiaduje często w salonie? Robi tak, oczywiście, po to, by go widywać, uwodzić. A w takim razie, to już nie będzie jego wina, tylko jej, prawda? Bo to ona go zaczepia, wchodzi mu w drogę.

Był tak pewien swego, że nawet nie pukając do drzwi, wsunął się późnym wieczorem do jej sypialni.

O, do diabła! Dziewczyna jeszcze nie śpi! To okropnie komplikuje sprawę. Tiril zdumiona patrzyła na wchodzącego. Najpierw z irytacją zmarszczyła brwi, ale zaraz złagodniała, była przecież miłą i dobrze wychowaną dziewczyną. Nie chciała być dla nikogo niegrzeczna.

I właśnie na tę cechę jej charakteru konsul liczył.

— Dobry wieczór, dziecko. Siedzisz jeszcze nad książką? Delikatne muśnięcie wskazującym palcem w policzek. Czyż jednak ona nie cofnęła się aż nadto wyraźnie? Zdaje się, że próbuje się droczyć.

Przez następne pół godziny nie posunął się ani o pół kroku w swoich zamiarach. Mimo podniecenia musiał jednak zauważyć, że Tiril w niczym nie jest podobna do spłoszonej, ale posłusznej, przytłoczonej poczuciem winy Carli. Zresztą dlaczego miałyby być podobna, przecież nie były ze sobą spokrewnione.

Tiril zachowywała się uprzejmie jak zawsze. Często ten jej niezmiennie dobry humor denerwował konsula, teraz jednak cieszyło go, że dziewczynka zawsze starała się czynić dobrze, nigdy nie chciała nikogo zranić.

To jednak do niczego nie prowadzi. Powinien bardziej stanowczo zmierzać do celu.

— Czy tatuś mógłby rozebrać swoją małą córeczkę?

— Nie, sama daję sobie znakomicie radę — roześmiała się Tiril.

— Carla jednak bardzo to lubiła i zawsze chciała, żebym to robił.

— Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć. Przecież Carla była taka nieśmiała!

— Wobec mnie nie. Zawsze wieczorem pozwałała mi się rozbierać. Strasznie mi brakuje tej ceremonii. Zrób swojemu tatusiowi tę przyjemność i pozwól!

Tiril wstała z miejsca. Nie wiedziała, co począć, wahała się między tak typowym dla niej pragnieniem, by spełniać życzenia innych, obowiązkiem posłuszeństwa wobec rodziców, a bardzo intensywną, wciąż narastającą niechęcią.

To nie jest w porządku!

Całe jej zachowanie, cała postawa, dawały wyraz temu uczuciu.

Przełknęła ślinę i zebrawszy się na odwagę powiedziała:

— Myślę, że jestem już za duża, żeby mnie rodzice rozbierali do snu.

— Ale my nie jesteśmy...

Przerwał spłoszony. Trzeba bardziej uważać na słowa.

Konsul Dahl podszedł bliżej, oplótł jednym ramieniem jej barki, z dreszczem rozkoszy dotykał palcami dziewczęcych piersi. Och, jest cudowna! Drugą ręką trzymał mocno obie dłonie Tiril.

— Chodź, kochanie! Usiądziemy na twoim łóżku i porozmawiamy! My oboje właściwie nigdy ze sobą nie rozmawiamy.

To prawda, Tiril musiała przyznać mu rację.

Ale siedzieć na łóżku razem z ojcem? I dlaczego on się tak poci? Trzęsie się jakoś obrzydliwie. . .

— Czy ojciec jest chory?

— Chory? Nie! Chociaż tak, jestem, jestem chory! — Natychmiast uchwycił się tej myśli. — Potrzebuję masażu, a mama wyjechała. . . Carli też nie ma. A ona umiała mi zawsze pomóc, była bardzo zręczna. Popatrz, moje dziecko, teraz zdejmę koszulę. . . i położę się, o, tak. . . a ty pomaszujesz moje obolałe plecy. . .

Tiril przyglądała mu się z niedowierzaniem. Pojęcia nie miała, co myśleć. Skoro jednak Carla to robiła, to chyba i ona powinna. . .

Fu! Jak obrzydliwie ojciec wygląda bez koszuli! Za nic nie miała ochoty dotykać tej białej, obwisłej skóry, pokrytej w różnych miejscach kępkami włosów.

Jednak Carla podobno dotykała. A poza tym trzeba być posłusznym wobec swoich rodziców. Więc chyba będzie musiała.

Nieszczęsna Carla.

To właśnie wtedy Tiril powzięła pierwsze podejrzenia, dlaczego Carla robiła tę straszną, tragiczną rzecz. Ale było to tylko słabiutkie, niepewne przecucie. Tiril wiedziała przecież tak niewiele o tej stronie życia i nawet w najkoszmarniejszym śnie nie objawiłaby jej się prawda.

Z największą niechęcią zaczęła masować barki leżącego na łóżku konsula, a on uśmiechał się lubieżnie. Całą siłą woli Tiril musiała powstrzymać grymas obrzydzenia, kiedy palcami dotykała jego skóry. Po chwili konsul poprosił, by teraz pomasowała mu klatkę piersiową. Pot spływał ciurkiem po białej skórze, ręce Tiril ślizgały się, a on jęczał i stękał tak okropnie.

— Czy ojca to boli? — zapytała niepewnie. Najchętniej przerwałaby to wszystko i uciekła.

On tymczasem otworzył oczy, uniósł ręce i zaczął ją gładzić po ramionach.

— Och, to rozkoszne, cudowne! Jeszcze! Jeszcze!

Próbował przyciągnąć ją do siebie, układał usta jak do pocałunku, Tiril nie była w stanie sobie wyobrazić, że mogłoby do tego dojść, ale żeby go nie urazić, udała atak kaszlu i odwróciła głowę. Uciec nie mogła, bo trzymał ją mocno.

— Masuj mnie, masuj! Właśnie tego mi potrzeba, moja dziecinko! Poczekaj! Nie sięgasz jak trzeba do prawego boku, najlepiej usiądź na mnie okrakiem! No, już, już! Carla zawsze tak robiła. Ona była bardzo zręczna. I twoja mama też. Chyba nie chciałabyś okazać się gorsza?

Tiril zaciskała zęby. Myśl wydała jej się groteskowa, choć nie wiedziała, dlaczego.

Ręce konsula potrząsały nią niecierpliwie.

— No, rób, co mówię!

Nigdy jeszcze nie przeciwstawiła się ojcu, ale tego zrobić nie mogła. Właśnie zaczynała się rozbierać, kiedy wszedł do jej pokoju, i świadomość, że pod spódnicą nie ma na sobie nic, przerażała ją.

— Szczerze mówiąc, to ja nie jestem całkiem ubrana, ojczy, i...

— To tym lepiej. Najwygodniej będzie właśnie w ten sposób, nie rozumiesz tego?

Ale ja nie chcę, nie chcę, to najbardziej obrzydliwe, co kiedykolwiek przeżyłam, myślała. Ja, która sądziłam, że potrafię się opiekować chorymi, nie umiem pomóc własnemu ojcu!

Konsul nalegał, mówił, że Tiril jest nieposłuszna i głupia, że Carla robiła to wszystko bardzo chętnie, i co sobie właściwie Tiril myśli.

Kiedy krzyki nie pomagały, zaczął delikatnie pieścić ciało dziewczyny, wsunął jej rękę za kołnierzyk, gładził kark i plecy, zrobił się przy tym purpurowy na twarzy, dyszał ciężko i pojękiwał.

— Mmm, jaką cudownie miękką, jaką delikatną skórę masz, Tiril! Jak najwspanialszy jedwab, taka ciepła, pulsująca. Ona pulsuje, słyszysz, prawda? Bo ty też odczuwasz to samo co ja, no powiedz, odczuwasz? Tę słabość, tę uległość w całym ciele, ja wiem, że tęsknisz, ale nie masz odwagi o tym mówić, ja wiem, wiem wszystko — bełkotał niewyraźnie, śliniąc się przy tym okropnie.

Wciąż jeszcze pełna szacunku dla ojca, starała się odsunąć od niego jak najdalej. Sytuacja stawała się coraz bardziej nieprzyjemna, choć przecież ona sama w niczym tu nie zawiniła. Oczywiście, to miło, że ojciec uważa, iż Tiril ma miękką i delikatną skórę, ale o jakiej słabości on mówi? I co za tęsknota?

— Usiądź na mnie okrakiem, bo tak mnie boli w lewym barku...

— To najlepiej, żeby ojciec usiadł...

— Nie, nie, to nie będzie to samo — syknął. — Carla zawsze wiedziała, jak mi będzie najlepiej. Carla była prawdziwym aniołem. Dlaczego ty robisz tyle ceregieli? Czy nie mogłabyś być taka jak Carla?

Jego ręce błądziły bezładnie po jej ciele, broda mu drżała. Tiril nie wiedziała, co ma robić. Skoro on cierpi i potrzebuje jej pomocy, to przecież nie wolno odmówić.

Z trudem przełknęła ślinę. Nie chcę, nie chcę na nim siadać. I dlaczego on tego nie rozumie? Nigdy by sobie nie mogła wyobrazić ojca w takiej groteskowej sytuacji, ani... Nagle zamarła.

Dahl doprowadził się już do takiego podniecenia, że tracił panowanie nad sobą. Zaczął drżącymi rękami odpinać pasek u spodni. Dość już tych ceregieli!

Tiril miała wrażenie, że w jej głowie eksplodowało słońce. Zerwała się jak użądlna przez osę i odskoczyła ku drzwiom. Nareszcie pojęła, o co tu chodzi. Dahl pospiesznie zapiął pasek.

Tiril zasłoniła twarz rękami i próbowała uciec z pokoju, ale on był szybszy i zdążył ją złapać.

— Pozwól mi odejść — jęknęła.

— Tiril, posłuchaj mnie teraz — rzekł surowo i bardzo stanowczo. — To wcale nie jest niebezpieczne. Carla robiła to ze mną przez wiele lat. To bardzo przyjemne, zrozum nareszcie. Ja jej po prostu w ten sposób pomagałem, bo ona była bardzo samotna i bardzo chętnie do mnie przychodziła. Mogę ci sprawić tyle przyjemności, chodź zaraz do mnie, ja muszę, muszę, słyszysz? Chodź!

Trzymał ją mocno i ciągnął do łóżka, ale Tiril już wiedziała, co robić.

— Ojciec zrobił to Carli? — chciała krzyknąć, ale wydobyła z gardła jedynie ostry pisk. Twarz miała zmienioną z gniewu i rozpacz. — Powiedz, że to nieprawda, bo ja wiem, że Carla za nic by czegoś takiego nie chciała robić, i tylko ja jedna nigdy nie pojęłam jej tragedii. Powiedz, że to nieprawda, nie zniosę dłużej... Nie mogę słuchać...

— Uspokój się — powtarzał Dahl. Starał się mocno trzymać szamoczącą się dziewczynę. Wciąż nie dawał za wygraną i ponawiał próby zmuszenia jej do uległości. Opór Tiril podniecał go jeszcze bardziej, doprowadzał do desperacji. — Ja mam prawo, słyszysz? Nie robię nic złego!

— Jak ojciec może tak mówić? Wobec własnych córek?

— Wcale nie! Jesteście tylko moimi wychowanicami. Obie. I wcale nie byłyście siostrami. A w takim razie ja mogę...

Tiril słuchała jak sparaliżowana, co on natychmiast wykorzystał. Udało mu się przewrócić ją na łóżko i zarzucić jej spódnicę na głowę. Był jak opętany żądzą, nic nie słyszał, wzrok mu się mącił.

Nagle Tiril z całych sił zdzieliła go w kark.

— Czy Carla o tym wiedziała? Że nie jesteśmy waszymi córkami? To i tak w żadnym razie by nie zmniejszało świństwa, jakie wyrządziłeś tej wspaniałej, wrażliwej i ufnej dziewczynie, ale pytam, czy ona o tym wiedziała?

— Nie, Carla nie... ona mnie kochała, a ja... to było jeszcze bardziej podniecające, że ona nie wie. Już jako dziecko pozwałała mi...

— Pozwałała ci? — przerwała Tiril niemal sycząc, bo taka była wzburzona, że nie potrafiła normalnie mówić. — Jako dziecko?

— Oczywiście! Było nam razem bardzo dobrze. Tiril, bądź trochę rozsądniejsza! Pozwól mi!

— To ty ją zamordowałeś! — zawyła Tiril — Puść mnie!

Wybuchnęła płaczem i wyrwała mu się.

— Zamordowałem? Ja? Nie, no wiesz co... Ona sama wyskoczyła z wieży, ja nic nie zrobiłem...

Tiril z całych sił uderzyła łokciem prosto w tę podnieconą gębę i Dahl zawył z bólu.

— Zabiłeś ją — powiedziała zgnębiona. — Nie musiałeś wcale spychać jej z wieży, i tak nie ma żadnej różnicy.

Konsul Dahl próbował zatamować krwotok z nosa, drugą ręką jednak nadal mocno trzymał dziewczynę.

— Nic złego nie zrobiłem.

— Ja dobrze wiem, co się stało! — krzyknęła Tiril. — Ale wy, oczywiście, niczego nie pojmujecie.

Szarpnęła się raz jeszcze, trzasnęła rozdarta spódnica, Tiril jednak zdołała się w końcu uwolnić, złapała swoje ubranie, wyciągnęła buty spod łóżka, wciąż coś jej wypadło z rąk, musiała to zbierać, ale ostatecznie wybiegła z pokoju, w którym Dahl bez powodzenia próbował zatrzymać krwotok. Wyjęła z garderoby swoją wyjściową pelerynę, otuliła się nią szczelnie. Wtedy dotarł do niej głos Dahla:

— To była wina Carli! To ona mnie wciąż zaczepiała! Wciąż mnie wabiła.

— Nigdy! To ty chciałeś, żeby miała poczucie winy.

Tiril wybiegła z domu i zatrzasnęła za sobą drzwi. Na dworze padał ulewny deszcz.

Schroniła się w jakiejś bramie, gdzie włożyła na siebie resztę ubrania. Halkę, której dotykał Dahl, wyrzuciła. Miała wrażenie, że brudu, jaki na niej zostawił, nic nie zmyje.

Ocierала łzy, tłumiła szloch i starała się jakoś otrząsnąć po obrzydliwych przeżyciach, a potem skierowała się do starych magazynów na portowym nabrzeżu.

— Nero, chodź! — zawołała cicho. Duży cień wyłonił się z mroku i bez wahania ruszył za nią.

Rozdział 13

Nero i Tiril długo błądzili po ciemnych, smaganych deszczem ulicach Bergen i nigdy chyba jeszcze pies nie był dla człowieka takim wsparciem i pociechą. Okazał się po prostu ostatnią deską ratunku dla Tiril, uchronił ją przed całkowitym załamaniem.

Dziewczyna na przemian płakała, pociągała nosem, ocierała łzy i przemawiała cicho do zwierzęcia.

— Nie mamy się gdzie podziąć, Nero. Naprawdę nie znam nikogo tak dobrze, żebyśmy mogli mu się zwalić na kark o tak późnej porze. Ale ty jutro dostaniesz swoją obrozę nabijaną kolcami. Całe szczęście, że sakiewkę z pieniędzmi miałam właśnie w kieszeni. Widzisz, dostałam je od mamy, bo miałam zamówić dla siebie nową sukienkę u krawcowej. Ale co mi tam sukienka! Ty jesteś dużo ważniejszy!

Poczuła ucisk w gardle. Zastanawiała się, czy matka to jej prawdziwa matka, czy też nie. Tiril przecież od dawna w to wątpiła, od dawna wyobrażała sobie w marzeniach, że „nie należy do nich”.

Mimo to teraz, kiedy dowiedziała się więcej, szok wcale nie był mniejszy.

Fakt, że nie jest spokrewniona z Dahlem, odczuwała jako wielką, wielką ulgę. Ale mama?

Nigdy nie były sobie specjalnie bliskie, mama i ona, i to nie z winy Tiril. Ona od najwcześniejszego dzieciństwa kochała i uwielbiała piękną matkę, która tymczasem dostrzegła jedynie śliczną Carlę. Poza tym Tiril i jej matka różniły się pod tyloma względami. Nie żeby matka miała w sobie zło, ale niestety była to istota płocha i głupia. A to przecież nie jej wina, człowiek się już po prostu taki rodzi. Teraz Tiril użalała się nad matką, że ma takiego okropnego męża.

Czy matka o tym wszystkim wie? O Carli i o tym, jak Dahl zachowywał się wobec nieszczęsnej dziewczyny?

Oczy Tiril znowu napełniły się łzami. Musiała długo i serdecznie głaskać Nera po karku, żeby odzyskać równowagę.

Nie, to niemożliwe, matka nie mogła o niczym wiedzieć! Zresztą i teraz też nie należało jej nic mówić.

Nero odwrócił głowę i warczał długo w stronę czegoś, czego Tiril nie widzia-

ła. Z tyłu za nimi. I to nie po raz pierwszy. Wielokrotnie podczas tej wędrówki w deszczu po ulicach pies odwracał się i na coś warczał. Groźnie, ale niespecjalnie wrogo. Raczej ostrzegawczo.

Z Nerem czuła się bezpieczna. Był dobrym opiekunem, chciał jej pilnować i bronić. Ale tym razem chyba nic jej nie groziło.

— Dziękuję ci, Nero — wyszeptwała.

Pies radośnie pomerdał kosmatym ogonem.

Dziewczyna kuliła się z zimna. Deszcz, który początkowo spadał jej na ramiona i głowę drobnymi kropelkami, zaczął wnikać za kołnierz, ubranie przemokło na wylot, mokre włosy zwisały w żałosnych kosmykach.

Tak późno wieczorem niewielu ludzi kręci się po ulicach. Tiril unikała miejsc, z których dochodziły jakieś głosy. Dzisiaj nie chciała nikogo spotykać. I zresztą nie powinna, zwłaszcza że znajdowała się pod opieką Nera. Wciąż nie mogła się otrząsnąć ze strachu i z obrzydzenia.

— Nigdy mu tego nie wybaczę — mówiła do psa zgnębiona. — Nigdy, nigdy w życiu! Nie wybacza się czegoś takiego. Widzisz, żebym to tylko ja, ale Carla... Ona była taka dobra i taka bezbronna. Mój Boże, ale przecież powinna była coś powiedzieć!

Tylko czy w tamtych czasach Tiril zrozumiałaby cokolwiek, nawet gdyby Carla się jej zwierzyła? To wcale nie jest takie pewne. Tiril żyła przecież w świecie fantazji i dopiero dziś wieczorem zetknęła się z aż tak brutalną stroną życia.

— Najchętniej bym się po tym wszystkim wykapała. Czuję się taka brudna, jak oblepiona błotem, Nero.

Stanąła jak wryta.

— O, Nero! Carla tak właśnie powiedziała. Że czuje się brudna. Teraz rozumiem, co miała na myśli. Och, droga, kochana Carla! Nigdy mu tego nie wybaczę, nigdy! Bardzo się cieszę, że go przynajmniej zdzieliłam w ten głupi nos!

Płacz zmęczył ją już bardzo, usiadła więc na jakichś schodach i przytuliła do siebie zdumionego, lecz współczującego Nera.

Po chwili przyjrzała mu się uważnie. Rysował się przed nią w mroku niewyraźnie, ale mówiła z powagą, niemal uroczyście:

— Od tej chwili my oboje musimy się zawsze trzymać razem. Chyba rozumiesz, że ja już tam nie wrócę. Bo gdybym wróciła, to nie ręcę, czy nie zabiję tego drania. A wiesz przecież, że nie należy takich rzeczy robić, prawda?

Pies uniósł głowę, spojrzął w ciemność i wydał z siebie głucho warknięcie.

Och, panienka Tiril! Ale jak też panienka wygląda? Gdzie to panienka spędziła noc? — dopytywał się następnego ranka zdumiony kowal.

— Spałam w bramie jak zwyczajny włóczęga — uśmiechnęła się dziewczyna nieśmiało. — Musicie wiedzieć, mistrzu, że uciekłam z domu. Ale pieniądze na

zapłatę za waszą pracę mam.

Kowal odłożył narzędzia.

— Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać, panienko Tiril. Jest w tym mieście wielu takich, którzy już dawno chcieli to zrobić. Bo to nie jest normalne, żeby taka elegancka panienka włóczyła się po ulicach jak jakiś łązega albo bezpański pies, jak to panna Tiril robi. Gdyby panienka wiedziała, ile ludzi się nad panienką użala, a ilu po kryjomu strzeże, żeby się panience nic złego nie przytrafiło! Pracujcie, chłopcy, klient czeka!

Wtedy Tiril stwierdziła, że i tym razem nie są w kuźni sami. Ale, choć to dziwne, Nero już dzisiaj nie warczał na ukrytego w cieniu mężczyznę. Wprost przeciwnie, pies z wolna, ale przyjaźnie poruszał ogonem. Położył uszy jak na widok kogoś dobrze znanego. I Tiril zaczęła sobie przypominać coś, co się zdarzyło podczas tej długiej i zimnej nocy. A może to był sen? Sen, w którym widziała czyjąś pochylającą się nad nią twarz, niewyraźną w mroku... a obok twarzy psi łeb. I pies, i człowiek patrzą na dziewczynę...

Nie, to z pewnością przywidzenie.

Z zamyślenia wyrwał ją głos kowala.

— A teraz ja sprowadzę moją małżonkę. Musimy wszyscy poważnie porozmawiać. Bo sprawy panienki mają się naprawdę źle.

Jeden z uczniów został wysłany po kowalową, majster zaś wyjaśnił, że sami nie mogą iść do niej, bo „dom pełen jest dzieciaków, które nie wiadomo, skąd się biorą”. Tiril roześmiała się, ale ponieważ miała nos i gardło zatkałe po wczorajszym płaczu, śmiech zabrzmiał głucho i niezbyt wesoło.

Przyszła kowalowa i Tiril, ku swojemu zdziwieniu, rozpoznała w niej jedną ze swoich nianiek, której od dawna nie widziała. Kobieta, imieniem Berta, wykrzykiwała „och” i „ach” nad żalnym wyglądem Tiril, w końcu poprosiła, by panienka opowiedziała, co się stało.

Tiril wahała się, nie chciała nikogo oskarżać, wreszcie jednak się zdecydowała. Głównie ze względu na pamięć Carli.

— On przez wiele lat obchodził się z Carlą tak strasznie zaczęła, ale głos odmówił jej posłuszeństwa i Tiril wybuchnęła znowu gwałtownym, rozpaczliwym płaczem. Długo nie mogła się uspokoić, a kowal i jego żona byli coraz bardziej zatroskani.

— Ja o niczym nie miałam pojęcia, ale Carla zawsze była taka przygnębiona. I taka... płochliwa. Mówiła, że jest niedobra, że nie powinna wyjść za mąż za tego, kogo kocha. No i w końcu wyskoczyła z okna.

— Aha, więc to tak do tego doszło? — rzekł kowal z goryczą. — A oni mówili, że to nieszczęśliwy wypadek. Panienko Tiril, o ile dobrze rozumiem, to konsul był... eeech, to on... molestował to biedne dziecko?

Tiril, szlochając, kiwała głową.

— Carla nie odważyła się nic nikomu powiedzieć. Zresztą jak można opowiadać o czymś takim? I w dodatku, kiedy własny ojciec... przecież nie można. Sami rozumiecie...

Tutaj Tiril chciała opowiedzieć o uczuciach stanowiących mieszaninę obrzydzenia i poczucia winy, wstydu i lojalności wobec rodziców, strachu i przygnębienia, ale nie umiała zebrać myśli, żeby to jasno wyłożyć, zakończyła więc krótko:

— No... no, a wczoraj wieczorem chciał mnie do tego zmusić! Wtedy dowiedziałam się o wszystkim. Och, ja mogłabym go zabić!

Małżonkowie nie odzywali się ani słowem, jedyne, co było słyhać w pomieszczeniu, to uderzenia młota o kowadło w drugiej części kuźni.

— On... On powiedział coś jeszcze. Że on nie popełnił żadnego przestępstwa, bo my nie jesteśmy jego dziećmi. I ja pokładałam w Bogu nadzieję, że tym razem mówił prawdę.

— Nie popełnił przestępstwa? — krzyknął kowal czerwony z oburzenia. — Rodzone dzieci czy nie, to przecież dzieci!

Kowalowa otrząsnęła się z największego szoku.

— Niech no panienska Tiril teraz posłucha — powiedziała. — My co nieco wiemy o tym pokrewieństwie. Nie za dużo, ale coś tam przecież ludzie gadali.

Tiril słuchała zdumiona. Chociaż spędziła noc na dworze, co odcisnęło piętno również na jej twarzy, to jednak w całej postaci widoczna była elegancja i wdzięk. Tiril nie miała rysów ślicznej lalki, odznaczała się tym rodzajem urody, która charakteryzuje silne osobowości, a poza tym cechował ją niekłamany urok i życzliwość dla świata.

Tak byli wszyscy troje pochłonięci swoją sprawą, że na moment zapomnieli, iż w pobliżu jest jeszcze jeden człowiek. Uczniowie kowala znajdowali się poza zasięgiem głosu, nimi nie musieli się przejmować.

— Ja zawsze wyobrażałam sobie, że jestem dzieckiem wędrownych kuglarzy — wyznała Tiril, pociągając nosem.

— Kuglarzy? Panienska? Nigdy w życiu! — zawołał kowal. — Ale to ty opowiedz, Berta!

— No tak, panienska wie przecież, że cała rodzina pochodzi z Christianii — zaczęła kowalowa rzeczowo, zadowolona, że nareszcie może mówić. I że jest taka ważna! — Toteż nie znamy wszystkich szczegółów, ale mąż kuzynki tej kupcowej, co handluje rybami, miał znajomego, który pochodził z Christianii. On zresztą już teraz nie żyje, ten znajomy, Panie, świeć nad jego duszą, ale jego żona...

Początkowo Tiril starała się nadażać za rodzinnymi koligacjami i powiązaniem towarzyskimi, rychło jednak dała za wygraną i tylko słuchała.

— Jego żona miała odwiedziny akuszerki akurat w tym samym czasie, kiedy biegała do Dahlów.

— To znaczy akuszerka biegała?

— Otóż to. I kiedy ostatni raz przyszła do tej żony znajomego męża kuzynki kupcowej, była bardzo zdenerwowana bo sprawy pani Dahl nie ułożyły się dobrze.

— Ach, tak?

— Tak, pani Dahl straciła dziecko.

— Co? To ja miałam jeszcze jedną siostrę czy brata?

— Nie, nie. Oni, to znaczy Dahlowie, mieli już jedną córkę z dawniejszych czasów, ale, widzi panienka, dziecko było tylko jej, znaczy Dahlowej. Ona już raz była zamężna, ale biedak jej mąż zginął od jakiejś zabłąkanej kuli na ćwiczeniach wojskowych. Pewnie że biedak, ale też i trochę to komiczne tak umrzeć, zanim zdążył wyruszyć na jakąś wojnę. . .

— Ta pierwsza córeczka. . . Czy to była Carla?

— Właśnie. Ale ona była tylko jej córką, a konsula nie.

Tiril znowu poczuła skurcz w gardle i musiała wielokrotnie przełykać ślinę.

— Pani Dahl nie odważyła się powiedzieć mężowi, że jego dziecko nie żyje, toteż przekabaciła akuszerkę i błagała ją o pomoc. Tak się akurat szczęśliwie złożyło, że akuszerka pomogła jednej, która urodziła dziecko po kryjomu, i ona, znaczy akuszerka, wzięła to maleństwo do siebie. Miało dopiero dwa dni i akuszerka jeszcze mu nie znalazła miejsca, no to teraz dostała je pani Dahl. Za odpowiednią zapłatą, ma się rozumieć.

— I to właśnie byłam ja?

— To właśnie była panienka, tak.

Tiril ledwie miała odwagę oddychać.

— Czy wiecie także, kim była moja matka?

My nie, ale pani Dahl i konsul wiedzą to już od bardzo dawna. Bo ta biedaczka, co jest mamusią panienki Tiril, nalegała, żeby płacić za wychowanie panienki. I to ona też wybrała imię, Tiril. Wzięła je ze starej ludowej pieśni.

— A, więc to tak? — szepnęła Tiril z błyskiem zrozumienia w oczach. — Nigdy nie mogłam pojąć, gdzie moi rodzice wynaleźli takie dziwaczne imię.

— I ta kobieta chciała widocznie płacić przez wszystkie lata. Najpierw, kiedy konsul Dahl dowiedział się o tym oszustwie, jakie jego małżonka popełniła, to bardzo się rozgniewał, tak mówiła przyjaciółka żony tego znajomego, o którym opowiadałam. Przyjaciółka była wtedy u Dahłów służącą. Niedługo, bo on się zaczął do niej dobierać, tylko że ona nie była specjalnie ładna, tak słyszałam, i jak Dahl dostał, czego szukał, to już nie chciał mieć z nią więcej do czynienia. Ale słyszała straszne kłótnie o to nowe dziecko. Potem, jak Dahl się dowiedział, ile pieniędzy może za nie dostać, to bardzo szybko ustąpił. Właśnie tym sposobem Dahl wykierował się na konsula i został kimś, domagał się tego jako dobroczyńca. Bo wtedy to on, widzi panienka, był nikim. Marny skryba w zarekawkach jakiejś kancelarii. W Christianii.

Tiril starała się jakoś ogarnąć te wszystkie nowe informacje. Kowalowa zaś nie przestawała mówić, słowa płynęły niczym woda, która przerwała tamy.

— Oświadczył, że panienka Tiril jest jego dzieckiem i że nikt nie ma prawa mówić nic innego. Panienka Carla też miała być uważana za jego córkę, bo była śliczna jak laleczka. Żeby nikt nie odkrył prawdy, przeprowadzili się do Bergen i tu zaczęli od nowa jako wielcy państwo, konsul i konsulowa, z pieniędzmi, a jakże, i to niemałymi! Ale pogłoski, widzi panienka Tiril, też się rozchodzą, i to nawet szybciej niż ludzie.

Pocziwa Berta musiała zaczerpnąć powietrza, a Tiril korzystając ze sposobności wtrąciła:

— Bardzo jestem wdzięczna, żeście mi o wszystkim powiedzieli. Ja sama czuję się teraz znacznie lepiej, chociaż mojej nieszczęsnej przybranej siostrze Carli niewiele to już pomoże. Ale przynajmniej ja rozumiem więcej. Wciąż się zastanawiałam, co musi się stać, żeby pchnąć człowieka do samobójstwa. Wydaje mi się, że najgorsze jest to, kiedy człowiek sam siebie nie może znieść. Kiedy straci szacunek dla siebie i czuje tylko wstręt i obrzydzenie. Myślicie, że tak może być?

Berta starała się pojąć jej słowa.

— Tak. Myślę, że tak jest. Absolutnie!

— Zabiłbym drania, taki jestem wściekły — warknął kowal.

— Nie, nie wolno ci się do tego mieszać! — zawołała Berta przestraszona. — Przecież wiesz, jak to bywa z takimi prostymi ludźmi jak my. Najlepiej byłoby postawić go przed sądem, ale kto nas wysłucha?

— Konsula do sądu? I słowa szesnastoletniej panienki przeciwko jego słowom? Nie mamy przecież żadnych dowodów na to, jak on się odnosił do panienki Carli, a panience Tiril nie zdążył nic złego zrobić, dzięki Bogu!

Z cienia pod ścianą wyłoniła się brunatna postać. Ciemne oczy połyskiwały spod kaptura.

— Pozwólcie mnie zająć się tym człowiekiem — powiedział nieznajomy w swoim dziwnym języku.

Patrzyli na niego przestraszeni. Tiril wyczuwała niebezpieczeństwo.

— Och, nie, nie może go pan zabić — wykrztusiła, zafascynowana widokiem twarzy przed sobą. — Ze względu na moją przybraną matkę. Ona jest głupia, ale niewinna.

Rozjarzone oczy spojrzały wprost na nią i Tiril zadrżała.

Nie mam zamiaru go zabijać — zapewnił. — Wcale nie muszę tego robić. Potrafię w inny sposób spowodować, by sprawiedliwości stało się zadość.

Z jakiegoś powodu jego słowa nie zabrzmiały tak uspokajająco, jak powinny.

Kiedy spostrzegł ich wahanie, uśmiechnął się. Ale i uśmiech, błady i pośpieszny, bardziej przerażał niż uspokajał.

— Proszę mi zaufać. Już on się dowie, czego się dopuścił.

— On wam nigdy nie pozwoli przekroczyć progu swojego domu, mój panie — ostrzegła Tiril.

Obcy uśmiechnął się znowu.

— To nie będzie konieczne.
— Jezu Chryste — szepnął kowal, a Tiril miała ochotę powtórzyć to samo.
Mężczyzna zwrócił się teraz do obojga małżonków.
— Panienska jest bezpieczna, pies dopilnuje jej najlepiej. Ale musicie znaleźć dla nich jakieś mieszkanie. I to możliwie jak najdalej od tamtego człowieka.
Trudno było go zrozumieć, choć przecież mówił po norwesku.
Pochylił się, jakby chciał szepnąć coś do ucha Nerowi. Pies stał jak skamieniały, oczy zrobiły mu się okrągłe, nadstawiał czujnie uszu.
— Powinam chyba zabrać jakieś rzeczy z domu — rzekła Tiril z wahaniem.
— Choć nie mam pojęcia, jak mogłabym. . .
— Ja się tym zajmę — wtrąciła Berta. — Znam jedną służącą z domu konsula. A jak z domkiem twojej ciotki? — zwróciła się do męża. — Tam przecież nikt nie mieszka?
— Masz rację, nikt. To mała chata na przedmieściu, po tamtej stronie miasta. Nie takie wygodny, do jakich panienska Tiril jest przyzwyczajona, ale. . .
— Będzie nam tam z pewnością bardzo dobrze — przerwała Tiril. — Ja to bym najchętniej pojechała gdzieś na kraj świata, jak najdalej od tego. . . Ale jak się nie ma do kogo jechać, to trudno tak przed siebie. Dziękuję wam za wypożyczenie domku! Jesteście dla mnie tacy mili! Wszyscy!
Tego ostatniego nie była taka całkiem pewna. „Miły”, to może nie jest pierwsze określenie, jakie się nasuwa na widok tajemniczego nieznajomego.
— A zatem wszystko załatwione najlepiej jak można — powiedział mężczyzna. — Czy moje wczorajsze zamówienie gotowe?
Kowal ocknął się z zamyślenia.
— A, tak. . . Zaraz zobaczymy. Chłopcy!
Trzeba było wrócić do codziennych zajęć.

Po południu Tiril i Nero powędrowali na odległe przedmieście. Kowalowa zaprowadziła ich do małej chatki pod lasem niedaleko Laksevag.
— Kim on jest? — zapytała Tiril w pewnym momencie.
— Nie mamy pojęcia. — Berta skuliła się na wspomnienie nieznajomego.
— I ten jego język. . .
— Mój uważa, że ten człowiek musi pochodzić z Wysp Owczych. Albo z Islandii.
— O! No tak, to by się mogło zgadzać — potwierdziła Tiril zamyślona.
— Mam nadzieję, że więcej go nie zobaczymy - szepnęła Berta. — Tak — rzekła Tiril z mieszanymi uczuciami.

Rozdział 14

Konsul Dahl był wściekły. Tiril zniknęła już ponad dobę temu. Konsul wysłał, kogo się tylko dało, żeby jej szukali, ale jak dotychczas nikt się niczego nie dowiedział.

Tak w każdym razie twierdzili, chociaż kilka służących odwracało wzrok, kiedy pytał o dziewczynę.

Ta bezwstydnica naprawdę powinna zostać ukarana. Dahl dotykał spuchniętego, obolałego nosa, lecz to nie nos dokuczał mu najbardziej. Wymyślał coraz to nowe i bardziej wyrafinowane kary. Niech no ją tylko znajdą...

A może należałoby ją raczej uciszyć? Na zawsze? To by było najbezpieczniejsze. On sam na nic takiego by się nie odważył, ale z pewnością istnieją tacy, co potrafią.

Kto by przypuszczał, że nie będzie równie posłuszna jak Carla? No, chyba jednak powinien był to przewidzieć.

Chociaż szczerze mówiąc, to konsul Dahl ślepo wierzył, iż jest niebywale pociągającym mężczyzną. Opór Tiril był dla niego całkowitym zaskoczeniem.

A teraz ta dziewczyna może się dla niego stać prawdziwym zagrożeniem.

Mimo to potrzebował jej. To jej obecność stanowiła źródło dochodów, bez których Dahlowie nie mieliby z czego żyć. A przecież całkiem niedawno odkrył, że może na Tiril zarobić jeszcze więcej tak upragnionych pieniędzy. Wymyślił genialne posunięcie, o którym nie wiedział nikt, nikt, nawet jego ślubna żona!

Żona, no tak! Konsula przeniknął dreszcz. Żona wraca jutro, a Tiril wciąż nie ma!

Poszedł do pustego gabinetu i kazał sobie podać ponczu. A kiedy go dostał, usiadł w swoim ulubionym fotelu, do którego nikomu nawet zbliżyć się nie było wolno; szklaneczka ponczu stała obok na stoliku.

Jak wytłumaczyć żonie zniknięcie Tiril?

Z drugiej strony to może lepiej, że dziewczyny nie ma. Mogłaby wypaplać... Ale jak wyjaśnić, że jej nie ma?

Przekłete dziewczuszyko! Jakby i tak nie miał dość kłopotów, to jeszcze ona musi stwarzać nowe!

Dziwne! Konsul zaczął potrząsać głową, żeby się pozbyć nieprzyjemnego szumu w uszach.

Jakieś zawrodozenie. Jakby ktoś nucił monotonna pieśń.

Niezwykłe słowa. . .

Bogu dzięki, ustało!

Uff, okropne! Dahl ujął szklankę z ponczem i pociągnął solidny łyk.

W następnej sekundzie, krztusząc się i dławiąc, wypluł wszystko na podłogę.

Zobaczył, że w szklance coś się porusza.

Poczuł w ustach jakieś paskudztwo.

Robaki! Białe, wstrętne robaki pełzały po szkle. Z wrzaskiem wypadł do kuchni, żeby wylać to świństwo do wiadra z pomyjami, i już miał zamiar zwymyślać służbę, gdy mimo woli spojrzął na szklankę. Nie ma żadnych robaków. Czysta szklanka z napojem, tak jak ją przed chwilą dostał. Może lepiej nic nie mówić? Ale napój musiał wylać. Nigdy w życiu nie weźmie już ponczu do ust. Nigdy!

Dyszał ciężko, nie mogąc się otrząsnąć z szoku. Udręczony osunął się na fotel i opuścił ręce. Głowę oparł wygodnie, dolna szczeka mu opadła, w otwartych ustach poruszał się wielki język. Przy każdym oddechu z piersi konsula wydobywał się bolesny jęk.

Nie miał nawet siły pomyśleć, co to się stało. A poza tym nie chciał się nad tym zastanawiać. Czuł, że za chwilę szlag go trafi, krew zaleje mu ogłupiały mózg.

Nie myśleć, tylko nie myśleć! To zbyt niebezpieczne! Odpocząć!

W drodze do Laksevag Tiril i Berta, a także w pewnym sensie Nero, wstąpili na cmentarz. Najpierw poszli odwiedzić grób Carli. Jak zawsze znajdowały się tam świeże kwiaty, które nie wiadomo skąd się brały. Przynajmniej Tiril tego nie wiedziała. Poprosiła Bertę, by na chwilę mogła zostać sama, a gdy kowalowa odeszła, dziewczyna zaczęła mówić szeptem:

— Opuszczam teraz Bergen, moja ukochana siostrzyczko. Wiem już, że nie byłyśmy siostrami, ale ja w swoim sercu nigdy nie przestanę cię tak właśnie nazywać, na zawsze pozostaniesz moją siostrą. Nie wyprowadzam się daleko. Miejsce mojego pobytu musi pozostać w tajemnicy, ale możesz być pewna, że znajdę od czasu do czasu sposobność, by cię tutaj odwiedzić. — Wytarła nos wierzchem dłoni. — Serce moje przepęlnia gniew. Wiem, że to niedobre uczucie, ale nie potrafię inaczej. Powinnaś była mi się zwierzyć, Carlo.

Nie, nie, dobrze wiedziała, że z takich spraw trudno się zwierzać. To wstyd i obrzydzenie, które człowiek musi dźwigać sam. Nawet jeśli jest absolutnie niewinny.

Ten straszny diabeł, Dahl! Zrobić taką krzywdę nieszczęsnemu dziecku! A na dodatek ona mu pewnie wierzyła. Czy to możliwe, żeby wierzyła, że wszystko dzieje się z jej winy?

Jakie to wstrętne! Tiril ogarnęło gwałtowne pragnienie mord. Chciała bić tego człowieka, dźgać go nożem, raz za razem, dopóki starczy sił.

Najbardziej ze wszystkiego jednak pragnęła, by Carla znowu była z nią. Tak bardzo chciała cofnąć czas, bo może mogłaby pomóc siostrze, nie dopuścić do nieszczęścia.

Ale, niestety, wszystko stracone. Za późno!

Cóż to za straszne słowa: Za późno!

— Przyjdę znowu jutro, Carlo, obiecuję ci — szepnęła na pożegnanie, po czym poszła do Berty i merdającego ogonem Nera.

Polubiła swój nowy mały domek od pierwszego wejrzenia. Miała stąd widok na Bergen, położone po drugiej stronie fiordu Pudde. Tutaj będą się dobrze czuła, pomyślała niemal od progu. Będzie mi pewnie trochę samotnie, ale do najbliższych sąsiadów nie jest zbyt daleko. A poza tym miała Nera, lepszego opiekuna nie mogła sobie wymarzyć.

Kowalowa pomogła jej posprzątać, pościeliła łóżko i kiedy upewniła się, że Tiril ma wszystko, co może jej być potrzebne, wróciła do miasta. Po wstrząsających wydarzeniach ostatniej doby Tiril marzyła jedynie o odpoczynku, toteż położyła się spać, zanim jeszcze zapadł zmrok.

Każdy, kto ma dużego i bardzo kochanego psa, wie, jak wyglądała pierwsza noc Tiril w nowym domu.

Sama chciała, by jej kosmaty przyjaciel również spał na łóżku, a nie na kamiennej zimnej podłodze. Skończyło się więc na tym, że dziewczyna leżała skulona na poduszce, natomiast pies rozłożył się w poprzek posłania, przyciskając kołdrę. Żeby nie wiem jak Tiril ciągnęła, i tak udawało jej się ledwie okryć nogi.

Ale od razu poczuła się tutaj jak w domu. Wszystko różniło się wprawdzie od stylu, do jakiego przywykła, lecz też zawsze spędzała mnóstwo czasu wśród miejskiej biedoty i dobrze wiedziała, że mogłoby być znacznie gorzej.

Przez ostatni rok dom był nie zamieszkały i już zdążyły się pojawić pierwsze oznaki opuszczenia, takie typowe dla domostw, z których choćby na krótki czas wyprowadzili się ludzie. Wyglądało to tak, jakby porzucone domy pogrążały się w rezygnacji. Jakby starały się żyć tylko wtedy, kiedy są komuś potrzebne. Ludzie odchodzą, dom traci chęć do życia. I to nie ma nic wspólnego z zamożnością ani niczym takim.

Tiril, jednak zamierzała wszystko pięknie urządzić. Pragnęła ożywić dom tak, by oboje z Nerem mogli w nim znajdować schronienie i odpoczynek.

Następnego ranka dziewczyna rozpoczęła nowy rozdział swego życia.

Oprócz łóżka i stołu przymocowanych na stałe do ścian, mebli nie było wiele. Pościel Tiril pożyczyła od kowalowej, zniszczoną kołdrę, dwa prześcieradła i poduszkę. Po kątach harcowały z piskiem myszy, lecz Tiril miała nadzieję, że

nimi zajmie się Nero. Od początku zresztą pokazał, że potrafi to robić. Koło domu znajdował się zapuszczony ogródek, który też się Nerowi bardzo podobał. W ogóle pies był uszczęśliwiony swoją nową rezydencją, w której nareszcie mógł mieszkać z ukochaną panią. Nigdy dotychczas nie miał przecież prawdziwego domostwa, którego mógłby pilnować jako swego rewiru. Teraz Tiril widziała, że pies szaleje z radości. Ustawiła mu więc przy drzwiach miski na jedzenie i na wodę.

Mieszkanie składało się jedynie z dwóch pomieszczeń: dużej izby i alkierzyka, w którym stało łóżko. Prócz tego był jeszcze zagracony stryżek i nieduża, równie zagracona, piwniczka. Ściany, zwłaszcza ich dolne części, były zawilgoczone, dach miał w kilku miejscach dziury, ale to się z pewnością da naprawić.

Ogród najbardziej interesował Nera. Z wielkim zapałem nowy gospodarz przeganiał wróble z krzaków porzeczek, wściekle rozkopywał kretowiska, aż ziemia rozpryskiwała się na wszystkie strony, raz po raz wbiegał do domu zdyszany, z zapiaszczonym pyskiem i promieniejący radością. Nie złowił dotychczas ani myszy, ani kreta, ale co tam! Nawet lepiej, że jeszcze tu są, będzie mógł znowu na nie polować!

Podmiejska dzielnica nazywała się Laksevåg i leżała spory kawałek od centrum. Tiril jednak nie tęskniła za miastem wystarczył jej widok, jaki rozciągał się z okien.

Znacznie więcej niepokoję budziło w niej pytanie, w jaki sposób zdoła się sama utrzymać, skąd weźmie żywność? Zapasów wystarczy na jakiś tydzień, ale co potem? Czy będzie musiała dołączyć do i tak już licznej rzeszy miejskich żebraków?

Cóż, jeśli los tak zrządzi, przyjmie jego wyrok bez szemrania. Są na świecie dużo gorsze rzeczy niż żebraczy chleb, teraz już o tym wiedziała. Ale ma przecież ogródek, może tam coś się znajdzie? Dokonała szczegółowych oględzin. Ostatniego roku nikt się grządkami nie zajmował, ale oczywiście rosły tam różne jadalne rośliny. I owoce porzeczek! „Pilnuj dobrze, Nero” — nakazała. — „Żadne wróble nie mają prawa zjadać naszych porzeczek. Nie mam nic przeciwko ptakom. One też muszą coś jeść, ale myślę, że tych porzeczek to jednak my potrzebujemy bardziej”.

Najbardziej pożyteczne okazały się drzewa owocowe. To była prawdziwa ostatnia deska ratunku. „No widzisz, Nero, nie umrzemy z głodu. Damy sobie radę, chociaż ty to pewnie za jabłkami ani za gruszkami nie przepadasz” — ciągnęła dalej Tiril tę rozmowę, w której ona mówiła, a pies spoglądał na nią ze zrozumieniem, jakby chciał powiedzieć, że w pełni podziela jej poglądy. Słuchał z przechyloną na bok głową, nie spuszczał z dziewczyny wielkich, rozumnych oczu, merdał kudłatym ogonem i łąził za nią wszędzie jak cień. Byli zdumiewająco zgodni we wszystkim choć przecież nigdy razem nie mieszkali.

Wielokrotnie w ciągu tego przedpołudnia Tiril myślała o fascynującym nieznanym z kuźni. Zawsze jednak starała się skierować zainteresowanie na coś

innego. Zauważyła, że myślenie o nim burzy jej spokój. Było w tym mężczyźnie coś przerażającego, choć nie umiała tego określić.

Jakby pochodził nie z tego świata. Może upiór, który z niewiadomego powodu powrócił na ziemię, a ona nieopatrznie stanęła mu na drodze?

Kiedy już wszystko dokładnie obejrzała, poszła robić porządki w izbie. Nero pomagał jej w ten sposób, że przynosił drobne gałązki, gryzł je na drobne kawałki i rozrzucał po świeżo zamiecionej podłodze. Tiril wrzucała je do skrzyni na drewno w nadziei, że przydadzą się na podpałkę. Trzeba więc było podziękować psu za pomoc. Najwyraźniej mu się to spodobało, bo po chwili przytaszczył pod drzwi stare sanki. Nie zdołał ich na szczęście wciągnąć do środka. Tiril odebrała mu zdobycz i starała się wytłumaczyć, że miejsce sanek jest w szopie, po czym oboje tam je zaciągnęli i oparli o ścianę. Po tym wyczynie Nero czuł się niebywale ważny. Psy bowiem stworzone są do zadań i bardzo lubią czuć się przydatne.

Wracali przez podwórze do domu i nagle Tiril stanęła jak wryta. Nero także. Oboje musieli doznać tego samego uczucia. Nero zjeżył się i czujnie nastawił uszu.

Czy ktoś ich obserwuje?

Tiril rozejrzała się, ale nikogo nie dostrzegła. W dół ku wodzie widok miała otwarty i tam nikogo nie było na pewno. Po drugiej stronie i z tyłu za zabudowaniami znajdował się niewysoki mieszany zagajnik, ale tak daleko od domu, że Tiril nie odczuwała żadnego lęku.

Coś musiało mi się przywidzieć, pomyślała.

— Będziemy tu mieli bardzo pięknie, Nero — obiecywała.

Pies, który ułożył się wygodnie na kuchennej podłodze, otworzył jedno oko, spojrzął na nią, zamknął oko i spokojnie pogrążył się w drzemce. Nie ulegało wątpliwości, że jest mu dobrze i że czuje się bezpieczny.

Po południu skończyło się drewno na opał, które przygotowała kowalowa, i zaczęły się problemy. W szopie znajdowała się i piła, i siekiera, i pień do rąbania drewna, pod ścianą leżał stos długich, średniej grubości bali. Ale Tiril nigdy w życiu drewna nie rąbała. Jakoś sobie poradziła z piłą i po pewnym czasie rozpiłowała kilka bali na krótsze kawałki, ale na tym koniec. Podstępne bierwiona zsuwały się z pieńka, kiedy uderzała w nie siekierą, gdyby zaś chciała je przytrzymywać, mogła trafić siekierą w swoją dłoń zamiast w drewno. Co robić? Zbierało jej się na płacz, kiedy unosiła siekierę w kolejnej próbie.

I nagle ktoś wyjął jej siekierę z rąk. Podskoczyła jak oparzona i odwróciła się gwałtownie, gotowa do ucieczki.

Pozwól, że ja to zrobię — odezwał się łagodny głos, posługujący się tym dziwnym dialektem, który z trudem rozumiała.

Mężczyzna z kuźni! Nigdy nie widziała go z tak bliska. Na króciutką chwilę

spojrzała w jego płonące ciemne oczy, po czym on odwrócił się w stronę pieńka, ignorując ją całkowicie. Przy płocie stał koń.

Rozejrzała się za Nerem, który powinien był przecież ostrzec, że obcy znajduje się w zagrodzie. Ale nie, ten, który miał jej pilnować, stał obok przybysza, merdał ogonem i z oddaniem patrzył tamtemu w oczy.

Nieźle, jak na stróżującego psa! Nie ma co!

— Dzi-dziękuję — wyjąkała Tiril niepewnie. — Jeśli pan rzeczywiście chciałby mi pomóc...

— Wygląda na to, że będę musiał — uciął krótko.

Uznała, że nie jest tu już potrzebna, wróciła więc do domu i zaczęła gorączkowo przygotowywać obiad z produktów przyniesionych przez kowalową. Obiad dla dwojga? No chyba tak... powinna przecież... I dla Nera, oczywiście. Uff, serce waliło jej jak młotem, na twarzy wykwitły rumieńce.

Po chwili do kuchni wszedł nieznamy z naręczem polan, które zrzucił z łoskotem do skrzynki. Raz jeszcze nieśmiało „dziękuję” wydobyło się z ust Tiril, ale on był już znowu za drzwiami.

Nim obiad został ugotowany, gość porąbał całe drewno. Z jakiegoś powodu Tiril przyjęła to z żalem.

— Gdyby pan chciał coś zjeść — powiedziała uprzejmie — to obiad jest gotowy. — Z trudem radziła sobie z tą sytuacją. — Nie jestem, niestety, biegłą kucharką, ale... proszę konia wprowadzić do ogrodu, chociaż... chyba lepiej mu będzie na zewnątrz.

Żadnych koni w warzywniku. Zapuszczony, bo zapuszczony, ale jednak coś tam rośnie. Dla jabłoni koń też byłby zagrożeniem.

Bez słowa obcy poszedł za nią do domu, w drzwiach nisko pochylił głowę i usiadł na miejscu, które Tiril wskazała mu z nadzieją, że kulawy stółek się pod nim nie przewróci.

Nic złego się nie stało i Tiril drżącymi rękami naląła gościowi jarzynowej zupy z kawałkami mięsa. Sama usiadła naprzeciwko, a Nero obok i zebrał bezwstydnie. Tiril nie miała odwagi podnieść oczu znad swojego talerza.

Jedli w milczeniu. Tiril zwróciła uwagę, że chociaż gość bardzo się stara nad sobą panować, to wszystkie gesty świadczą, iż jest bardzo głodny. Wzruszyło ją to. Kiedy zaproponowała dolewkę, bez słowa podsunął talerz i powiedział, że jedzenie jest znakomite. Tiril ze zdenerwowania zapomniała podać chleb, pobiegła po niego teraz i gość wziął sporą pajdę. Kiedy już wszyscy troje zaspokoiли głód, Tiril rzekła cokolwiek niepewnie:

— Był pan dla mnie bardzo uprzejmy, czy mogłabym zapytać o pańskie nazwisko? A także skąd pan pochodzi?

— Na imię mam Móri odparł zwięźle. — A przybyłem z Islandii.

Skinęła głową, a jej twarz rozjaśnił jeden z typowych dla niej, radosnych uśmiechów.

— Tego ostatniego domyślałam się od początku. I domyślam się też, że musiał pan wiele w życiu przecierpieć. Poznają to po licznych bliznach i po tym jakimś mrocznym błysku w pańskich oczach.

— Bystra jesteś, Tiril. Tak, tak, wiem, jak masz na imię i bardzo bym chciał, żebyś zwracała się do mnie po imieniu. Zrobisz mi tę przyjemność?

— Naturalnie, bardzo dziękuję — powiedziała i próbowała się uklonić. — Dlaczego zdecydowałaś się mi pomagać?

— Jesteś taka samotna, Tiril. Potrzebujesz mojej pomocy. I nie bój się, nie zrobię ci nic złego, ale przywołuj mnie zawsze, kiedy będziesz miała jakiegokolwiek kłopoty.

— Jak te z siekierą? — uśmiechnęła się.

Odpowiedział jej również z uśmiechem, a Tiril poczuła skurcz w sercu.

— Jak te z siekierą.

Nie odważyła się jednak zapytać, w jaki sposób ma go wzywać.

— Bo widzisz, mała Tiril, ja także jestem bardzo samotny.

— Chyba nawet bardziej niż ja — szepnęła.

— Możliwe.

— Czy chciałby pan... Czy chciałbyś mi o sobie opowiedzieć?

— Może innym razem, jeżeli się jeszcze spotkamy. Teraz jednak chciałbym się dowiedzieć czegoś innego. Powiedz mi, jak wyglądała twoja siostra?

Zaskakujące pytanie, ale odpowiedziała bardzo chętnie.

— Miała blond włosy i była bardzo, bardzo ładna. Jak kwiatek z porcelany i zawsze miała łzy w oczach. O, Carla... Wybacz mi, nie jestem w stanie o niej mówić! Ale dlaczego ty o nią pytasz? I dlaczego chcesz wiedzieć, jak wyglądała?

Móri nie odpowiedział. W jego oczach pojawił się wyraz zadumy, jakby myśłami był gdzie indziej.

Tiril nie bardzo się to podobało. Nagle Móri wstał i zaczął się zbierać do wyjścia.

— Zająłem ci bardzo dużo czasu. Zbyt dużo...

Nie, wcale nie, chciała zawołać, ale może wydałaby mu się natrętna. Wstała więc także i powiedziała uprzejmie:

— Może zechciałbyś uczynić nam przyjemność i również jutro zjeść z nami obiad?

— Dziękuję, bardzo bym chciał — odparł bez namysłu. — Ale jutro czeka mnie poważne zadanie. Może jednak mógłbym odłożyć ten obiad na później? Kiedy się znowu spotkamy.

Chciała też zapytać, gdzie mieszka, ale знаła go chyba za mało jak na takie poufałości. Powiedziała natomiast, że obiecała siostrze odwiedzić ją dzisiaj na cmentarzu, on zaś przyjął to do wiadomości najzupełniej naturalnie, jakby składanie obietnic umarłym było czymś oczywistym.

— Masz dosyć daleko do cmentarza — stwierdził tylko. — Ale mogę cię podwieźć. W każdym razie kawałek, a potem pokażę ci dalszą drogę.

Wahała się przez moment, ale przystała na propozycję.

Dziwnie było siedzieć na koniu za plecami Móriego. Nero biegł obok, za co Tiril była mu wdzięczna, dawało jej to bowiem poczucie łączności ze światem realnym. Miała wrażenie, jakby poruszała się gdzieś na granicy rzeczywistości, bliskość Móriego budziła w niej niezrozumiały niepokój.

Gdyby знаła historię Gudrun i diakona z Myrka, z pewnością przeraziłoby ją podobieństwo sytuacji.

Móri zсадził swoją pasażerkę niedaleko cmentarza i objaśnił, jak iść dalej. Tiril była zaskoczona widokiem jego twarzy, gdy patrzyła na nią stojąc już na ziemi. Zupełnie zapomniała, że Móri jest taki piękny. I straszny przez tę miłą, fascynującą tajemniczość.

Nero przy pożegnaniu przez chwilę nie mógł się zdecydować, kogo wybiera, uważał, że powinni wszyscy troje pozostać razem, ale w końcu ruszył za swoją ubóstwianą Panią.

Tiril zadowolona szła przed siebie zastanawiając się, co też przyrządzi na ten następny obiad, na który zaprosiła Móriego. Możliwości nie miała jednak wielkich i trzeba będzie po prostu zrobić coś, na co pozwoli stan zapasów.

Nie wymyśliła niczego konkretnego.

Im bliżej cmentarza, tym wyraźniej powracały wspomnienia z domu konsula Dahla. Śmierć Carli. Jej własne przeżycia. Pomyślała, że powinna pewnie jakoś zawiadomić matkę, to znaczy przybraną matkę, że ma się dobrze, ale jak to zrobić, żeby konsul się o niczym nie dowiedział? To skomplikowana sprawa. Pani Dahl jednak nie zasłużyła sobie na niepokój o los młodszej córki. Chociaż, z drugiej strony... Kto wie, czy w ogóle się tym przejmuje?

Tiril w każdym razie nie wiedziała. Matka zawsze była dla niej zagadką. Przesadna. Gadatliwa. Sztuczna z tymi swoimi zachwykami i okrzykami. A ostatnio najczęściej pijana. Ale co kryło się za tym wszystkim? Nic?

Tiril stanęła jak wryta na cmentarnej ścieżce. Przy grobie. Carli ktoś był. Jakiś młody człowiek.

Ach, to ukochany Carli. Ten, za którego siostra miała wyjść za mąż. Tiril znała go mało, bo w okresie, gdy go czasami spotykała, on oczu nie spuszczał z Carli.

Na grobie dziś również położono świeże kwiaty. A więc to on je tu przynosi!

Mężczyzna odwrócił się i przez chwilę patrzył niepewnie na Tiril, potem zaś ruszył w jej stronę, wyciągając ramiona. Szczerze i spontanicznie!

— Tiril! Jak to miło znowu cię zobaczyć! Dziwne, żeśmy się dotychczas nigdy tutaj nie spotkali!

— Bo ja przychodziłam zawsze bardzo wcześnie rano — odparła Tiril. — Ale teraz jest inaczej.

Spojrzał na nią pytająco. Jak on się nazywa, o Boże, zapomniała. Rodzina hanzeatycka... Erling Müller! Tak.

Jakiż to piękny młody człowiek! Naprawdę wart był Carli Gdyby ona tylko mogła...

Och, wspomnienie ciągle sprawia taki ból!

Trudno jednak uniknąć tego tematu. Wyglądało na to, że rozmowa o Carli przynosi Erlingowi ulgę.

Włożył kwiaty do wazonu i westchnął.

— Taka była śliczna i taka dobra! Kto by przypuszczał, że może się zdarzyć coś takiego! Nie przestaję o tym myśleć, wierz mi! Zastanawiam się i zastanawiam, dlaczego! Tyle smutku, taki ból!

Oczywiście! Dla Erlinga było to niepojęte. Tiril nie miała czasu, by zajmować się uczuciami narzeczonego Carli. Skupiała się wyłącznie na sobie i teraz ogarnęły ją wyrzuty sumienia z tego powodu.

Młody człowiek powtarzał z rozpaczą:

— Dlaczego? Dlaczego to zrobiła? Czy nie chciała za mnie wyjść?

— Ależ chciała, bardzo chciała! — wykrzyknęła Tiril szczerze. — Oczywiście, że chciała. Bardziej niż czegokolwiek na świecie. I właśnie dlatego nie potrafiła dalej żyć!

Patrzył na nią zdumiony, a kiedy nie otrzymał bliższych wyjaśnień, powiedział w zamyśleniu:

— Wcale nie jesteście do siebie podobne.

— Dziękuję — rzekła Tiril cierpko.

— Nie, nie, nie chciałem cię zranić, wprost przeciwnie — zaprzeczał nieporadnie. — Ty, Tiril, masz taką interesującą osobowość.

Ciekawe, dlaczego zawsze mówi się o interesującej osobowości, kiedy nie chce się dziewczynie powiedzieć, że nie grzeszy urodą?

— Carla zawsze mówiła o tobie z wielką miłością — ciągnął.

— Naprawdę? — zapytała rozpromieniona.

— Och, tak! A kiedyś powiedziała: „Żeby nie to, że mam moją wspaniałą, małą siostrzyczkę, to bym dłużej nie zniosła życia”. Czy wiesz, co mogła mieć na myśli?

Tiril nie słuchała go. Czy Carla naprawdę to powiedziała? Była tak wzruszona, że łzy popłynęły jej z oczu. W takim razie jej obecność mimo wszystko stanowiła jakąś pociechę dla nieszczęsnej istoty!

Erling Müller rozmyślał o czymś przez chwilę, po czym poprosił cicho:

— Tiril, tak bym chciał porozmawiać o Carli, może mógłbym lepiej zrozumieć jej...

— Próbować zrozumieć? Zapomnij o tym! Zapomnij o Carli!

— O to nie możesz mnie prosić. Chodź, usiądźmy tu gdzieś w spokoju. Pobądź ze mną chwilę.

Przyglądała mu się z uwagą. Ma takie ładne oczy, pomyślała. Ciemnoniebieskie, ciepłe i teraz pełne bólu. Piękny młodzieniec. Wspaniały człowiek. Inteligentny i współczujący. Tiril bardzo dobrze rozumiała, że Carla, zakochała się w nim. Był niezwykle sympatyczny i taki pociągający.

I tego właśnie konsul Dahl nie mógł ścierpieć.

Tiril nie chciała nazywać konsula ojcem. Nigdy, nigdy więcej!

Młody człowiek ponowił swoją prośbę:

— Czy porozmawiałabyś ze mną o Carli?

Tiril wróciła do rzeczywistości.

— Bardzo chętnie — odparła. — Jeśli mi tylko obiecasz, że nie będziesz pytał o jej tragiczną śmierć. Bardzo ciężko to przeżyłam i trudno mi mówić.

— Spróbuję nie poruszać tego tematu. Czy masz teraz trochę czasu?

— Niestety, nie.

To nie była prawda, lecz Tiril nie czuła się gotowa do takiej rozmowy. Nie była przygotowana do udzielania odpowiedzi na pytania Erlinga, dlaczego jej śliczna siostra była taka nieszczęśliwa.

Zdała sobie sprawę, że zbyt pośpiesznie powiedziała „nie”, więc dodała:

— Muszę wracać do domu, do Laksevag, i...

— Co? Dokąd musisz wracać?

— O, przepraszam, nie powiedziałam ci. Wyprowadziłam się z domu.

W jego wzroku pojawiło się niedowierzenie. Młoda dziewczyna z dobrej rodziny nie wyprowadza się z domu. Chyba że wyjdzie za mąż.

— Czy ty — zaczął niepewnie — czy ty wyszłaś za mąż?

— Ja? Niech mnie Bóg broni, nie! Ale chętnie spotkam się z tobą tutaj, przy grobie siostry. Powiedzmy, w piątek?

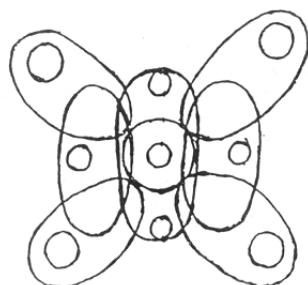
— Świetnie! O tej samej porze? Będę czekał.

Nerowi znudziło się siedzenie za cmentarną bramą, kiedy więc kolejny odwiedzający otworzył furtkę, przemknął się za nim na poświęconą ziemię i, bestia, podniósł tylną łapę przy okazałym marmurowym nagrobku. Tiril złapała go za piękną nową obrozę i pośpiesznie wyciągnęła za ogrodzenie.

Po powrocie do domu zdumiona stanęła przed drzwiami.

Czy te dziwne rysunki znajdowały się tu już przedtem? Na kawałku deski przybitej nad wejściem wyryty był jakiś dziwaczny, wysoki znak.

To musi być coś bardzo starego, pomyślała i weszła do środka, nie zastanawiając się, ten przecież stary rysunek nie mógłby być jaśniejszy niż reszta deski.



Rozdział 15

Konsul Dahl obudził się w środku nocy zlany potem. Z jękiem usiadł na łóżku. W pokoju ktoś był. To sen, czy...?

Jego żona, ta potworna wywłoka, dopiero co wróciła do domu, ale to nie ona go obudziła. Spała teraz pewnie w swoim pokoju i nawet nie zauważyła, że Tiril nie ma. Dahl zapewniał wieczorem, że dziewczyna siedzi w swoim pokoju. Tchórzył, to oczywiste, ale wolał z wyjaśnieniami poczekać do rana.

Tymczasem ktoś wszedł do jego sypialni?

Przy oknie stała jakaś postać.

Może to mebel? Albo ktoś powiesił tam ubranie...

Nie, nigdy niczego tam nie wieszano.

Drżącymi rękami poszukał krzesiwa i zapalił olejną lampkę na nocnym stoliku.

Krzyknął przerażony i chyba obudził żonę, bo w sąsiednim pokoju rozległy się jakieś hałasy. Wkrótce jednak ucichły, więc pewnie pani Dahl znowu zasnęła.

Serce tłukło mu się w piersiach, krew pulsowała w żyłach. To bardzo niebezpieczne sygnały, powinien się uspokoić za wszelką cenę. Ale jak tu się uspokoić?

Przy oknie stała jasnowłosa kobieta, a raczej bardzo młoda dziewczyna. Dostrzegął ją niewyraźnie, ale nie mógł się mylić co do tego, kim jest zjawą. Młoda jak Carla, blond włosy jak u Carli... Porcelanowo krucha jak Carla. Twarzy dziewczyny nie widział dobrze, bo kryła się w cieniu.

Nic dziwnego, Tiril nie opisała Móriemu wyglądu siostry zbyt dokładnie.

Zjawą zaczęła się wolniutko zbliżać do łóżka. Człowiek w pościeli poczuł silny zapach przegniłej ziemi. Czyżby słyszał tłumiony płacz?

Konsul Dahl zaczął krzyczeć. Głośno i przejmująco, po babsku, wrzeszczał przerażony, naciągnął kołdrę na głowę i starał się, żeby go nie było widać.

Po chwili do sypialni wpadła konsulowa.

— Co się stało? Czego się tak drzesz? I dlaczego wypalasz oliwę po nocy? — pytała rozzłoszczona.

Konsul ucichł, przez chwilę łapał powietrze i dopiero po jakimś czasie wyjrzał spod kołdry. Serce biło mu niepokojąco głośno i szybko, krew pulsowała, głowa

o mało nie pękła. Bał się potwornie, że tego nie przeżyje.

Żona stała nad nim zła i zniecierpliwiona, ale prócz niej nikogo w pokoju nie było.

— Dlaczego tak wrzeszczałeś? — zapytała ponownie z gniewem.

— Ach, to nic, nic, koszmarny sen.

— Znowu wieczorem objadłeś się wieprzowiny, oczywiście! Gaś światło i daj porządnym ludziom spać!

Powoli dom pogrązał się w ciszy, ale długo jeszcze słychać było ciężki, świszczący oddech konsula Dahla. On sam nie miał odwagi wychylić nosa spod kołdry. Gdyby nie obawiał się upokorzenia, najchętniej zakradłby się na palcach do sypialni małżonki i wślizgnął do jej łóżka.

Zdawało mu się bowiem, choć może to tylko przywidzenie, że wciąż czuć ten jakiś grobowy odór. A raz po raz słyszał także zdławiony szloch.

Kiedy o świcie udało mu się w końcu zasnąć, dręczyły go potworne koszmary w jego łóżku leżało mnóstwo młodych kobiet. Najpierw zabawiał się z nimi wszystkimi po kolei, wszystkie młodziutki, świeże jak poranna rosa i niewinne, i wszystkie należały do niego. Słodkie, erotyczne sny. Był królem tych kobiet, ubóstwiały go, mógł z nimi robić, co tylko zechciał. Ale kiedy nagi zamierzał jedną z nich przycisnąć do siebie, zauważył, że panienki zaczynają się zmieniać, kurczą się, szarzeją, po prostu gniją. Już nie są czyste i on już ich nie pragnie, chce się od nich uwolnić, ale nie może. Otoczyły go zwartym kręgiem, szarpały i popychały, poczuł nagle, że jego dumna męskość odpada, krzyknął wstrząśnięty i obudził go własny głos, ponury, stłumiony jęk, jak zawsze kiedy człowiek woła przez sen. Zanim ostatecznie pojął, że naprawdę już nie śpi, wyskoczył z łóżka i nie przestając jęczeć, kręcił się w kółko i machał rękami, jakby chciał odpędzić marę. Zostałem zarażony tą ich zgnilizną, myślał w panice. Czuję, że odpada mi mój... Co robić? Co robić? Jak mnie to strasznie boli, jak potwornie cierpię! O, ja nieszczęśliwy.

W końcu jednak uświadomił sobie, że wszystko było tylko złym snem, i zrozumiał komizm sytuacji. Ale sen był taki realistyczny, taki realistyczny, jakby się wszystko wydarzyło naprawdę.

A właściwie, to co się wydarzyło?

Żona jeszcze spała, lecz konsul leżał przez cały ranek i patrzył w sufit, a kiedy w końcu wstał, podjął dwie ważne decyzje.

Musi odnaleźć Tiril i musi porozmawiać z pastorem.

Zaczął od napisania listu. Bardzo dobrze się złożyło, że żona jest takim spiochem (trudno nie być, skoro się wieczorami tyle pije), bo dzięki temu miał cały dom dla siebie. Nie był to pierwszy list, jaki kierował do tego adresata, tym razem jednak Dahl używał bardziej stanowczego tonu. Porzucił podlizywanie się

i prośby, aluzje do trudnej sytuacji materialnej. Przemawiał wprost i bez ogródek:

Szanowny Panie!

Przedmiot naszego wspólnego zainteresowania zniknął. Ja osobiście nie posiadam możliwości podjęcia poszukiwań dziewczyny na własną ręką, zaś zgłaszania jej zaginięcia władzom chyba żaden z nas sobie nie życzy.

Mam wrażenie, że ona nie może już więcej służyć naszym interesom, a przeciwnie, będzie teraz dla nas wszystkich ciężarem. Pan, mój przyjacielu, który posiada takie możliwości, jeśli chodzi o oddanych współpracowników, mógłby może...

Nie dokończył zdania, nie chciał stawiać kropki nad i, i pisał dalej:

Jeśli pan nie zajmie się sprawą, będę zmuszony ujawnić władzom, kim ona jest. Muszę przecież myśleć także o swoim chlebie powszednim. Zwłaszcza że moi wierzyciele stali się ostatnio bardzo natrętni co sprawia, że oczekuję jak najszybciej przesyłki od szanownego pana.

Kreślę się z szacunkiem...

Konsul Dahl zadbał, by list został natychmiast wysłany, po czym zjadł solidne śniadanie i wybrał się z wizytą do pastora.

— Ojcie, zostałem wydany na pastwę Złego — wyznał konsul, kiedy już obaj z proboszczem usiedli w obszernej izbie, w której kapłan przyjmował swoich parafian. — Prześladowają mnie szatańskie czary, ktoś rzuca na mnie uroki.

— No, no, bez przesady, — Duchowny uniósł brwi i uśmiechał się łagodnie. — żyjemy przecież w osiemnastym wieku. Czary i uroki, to wszystko należy raczej do przeszłości.

— Ale to prawda! Jestem pobożnym, uczciwym człowiekiem, który wszystkim życzy jak najlepiej, i nagle zaczyna mnie prześladować coś takiego!

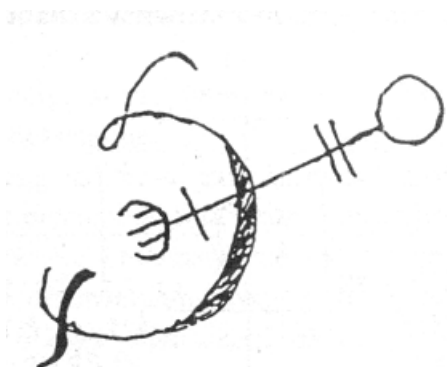
— Może zechciałbyś, mój synu, opowiedzieć, co ci się dokładnie przytrafiło? — zachęcał pastor, splatając ręce na brzuchu.

Skrępowany, że musi mówić o takich nieprzyjemnościach, konsul opowiadał o monotonnej pieśni, którą słyszał, choć nikt przy nim jej nie śpiewał, o białym robactwie w szklaneczce ponczu (delirium, pomyślał pastor), o duchu zmarłej córki (człowiek ma nieczyste sumienie, pewnie nie zajmował się córką jak trzeba) i na koniec, bardzo niechętnie, o pięknych kobietach we śnie, które nieoczekiwanie zaczęły gnić i które chciały go okaleczyć. Dahl nie wspomniał jednak, której dokładnie części ciała chciały go pozbawić.

— To ostatnie to przecież tylko sen — rzekł pastor. — A sny nie mają nic wspólnego z życiem, człowiek nigdy nie wie, skąd się biorą.

Konsul Dahl westchnął boleśnie.

— No, to niech pastor spojrzy na to! Jedno znalazłem na podłodze w mojej sypialni, potknąłem się o nie. Drugie leżało pod moją poduszką.



Podał duchownemu dwa nieduże przedmioty. Jeden był zwyczajnym kawałkiem dębowego drewna, na którym wyryto tajemniczy znak.

— O to się potknąłem — wyjaśnił konsul.

Pastor nie odpowiadał. Podeszedł do okna, by przy świetle dokładnie obejrzeć rysunek. Długa czarna sutanna wznosiła się na jego wydatnym brzuchu, ponieważ zaś był łysy, a skórę na głowie miał czerwoną, wyglądał jak różowa legumina otoczona wianuszkami bitej śmietany, to znaczy plisowaną białą kryzą.

Na temat przyniesionego przez Dahla kawałka drewna nie powiedział nic, wyciągnął tylko rękę po drugi przedmiot.

— To leżało pod moją poduszką — powtórzył Dahl ponuro.

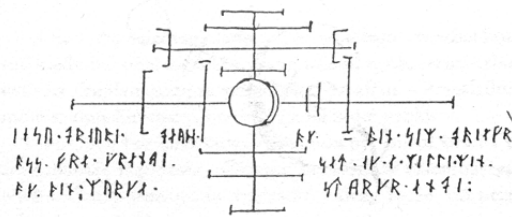
— Dziwny materiał! Co to może być? — zastanawiał się pastor.

— Nie wiem. Moim zdaniem to przypomina węgiel. Brunatny węgiel.

— Brunatny węgiel — powtórzył pastor. — Tak, to możliwe.

Obracał przedmiot w rękach i nagle upuścił go na ziemię jak oparzony.

— To krzyż Rota! — zawołał wzburzony. — Ma pan rację, konsulu Dahl. Mamy tu do czynienia z diabelską magią.



— Co... Co to znaczy krzyż Rota? — zapytał gość przestraszony.

Pastor otrząsnął ręce, jakby chciał się pozbyć tego pogańskiego paskudztwa, i wrócił na swoje miejsce. Dahl odsunął oba przedmioty jak najdalej od siebie.

— Istnieje wiele różnych krzyży Rota — wycedził pastor przez zęby. Choć uważano, że niektóre z nich mogą chronić człowieka, to one wszystkie pochodzą od Złego, w żadnym razie nie należą do Kościoła, a wprost przeciwnie, do tamtego...

Pastor znowu wstał i wyszedł, by przynieść dobrze schowaną księgę. Wyjął ją z szafy i trzymał przez chustkę do nosa, jakby bał się jej dotknąć i zabrudzić ręce.

— Tę czarną księgę zarekwirowałem kiedyś, wiele lat temu, u pewnej kobiety z sąsiedniej parafii. Nie studiowałem jej, rzecz jasna, dokładnie, ale zdaje mi się, że pański znak może przypominać jeden z tych, które zawiera księga.

— To absolutnie nie są moje znaki! — zaprotestował Dahl oburzony.

Pastor wolno przewracał karty, ale chociaż znalazł coś, co mogło przypominać rysunek na dębowym drewnie, to jednak różniły się one zasadniczo. Ustalił przy tym, że to w żadnym razie nie był znak ochronny. Wszystko wskazywało na to, że coś takiego kieruje się przeciwko nieprzyjacielowi.

— Ale przecież ja nie mam żadnych nieprzyjaciół — kłamał konsul bezczelnie.

— Tego drugiego, czyli krzyża Rota, w ogóle tu nie ma — oświadczył proboszcz, który nadal przeglądał księgę. — Ale pański krzyż jest otoczony runami. Jestem przecież wykształconym człowiekiem i runy potrafię odczytać... nawet jeśli chodzi o runy tajemne... Uff! Te ryty wypełnione są krwią!

Zaczął powoli sylabizować:

— „Iesu dreyra-dauda, og pin, sem dregur oss fra grandi, set...” Na Boga, co to za język? Jakiś okropnie stary — mamrotał.

— Ale co to znaczy? — zapytał konsul, a oczy omal mu z orbit nie wyszły ze strachu.

Pastor nie mógł, rzecz jasna, przyznać, że i on nie wszystko rozumie. Próbował sobie przypominać język staronorweski, którego uczył się w gimnazjum.

— No, to znaczy coś w rodzaju: „Na Jezusa śmierć i krwawą mękę, która... która...” No coś tam. „Wkładam to pomiędzy ciebie i mnie, ciemności wielki (a

może silny) duchu”.

— Nie brzmi to za dobrze — wykrztusił konsul.

— To stanowczo nie brzmi dobrze. — przyznał pastor. — Cóż, będę po prostu musiał spalić te grzeszne przedmioty, a potem pomodłę się gorąco za twoją duszę, synu, i porozmawiam z władzami. Trzeba natychmiast znaleźć tego, który umieścił to w waszym domu.

— Dzięki, dzięki, drogi pastore, to spotkanie mnie uspokoiło — mówił Dahl, wycofując się pospiesznie.

Pastor stał pośrodku pokoju i wpatrywał się w okropne przedmioty na stole. Nie był pewien, ale zdawało mu się, że widzi kawałek brunatnego węgla, pochodzącego z islandzkich gór. Rysunek przedstawiał krzyż Rota, mogący ściągnąć przekleństwo na człowieka, który go znalazł, tak jak Dahl, pod własną poduszką. Drugi znak nie był aż tak groźny, rzucało się go pod nogi nieprzyjacielowi, żeby przyczynić mu kłopotów. Pozbawione złej mocy runy, jeśli zostały wykonane przez zwyczajnego człowieka. Bardzo niebezpieczne natomiast, jeśli posłużył się nimi znawca czarnej sztuki, człowiek wprowadzony w jej tajniki, a jednocześnie obdarzony wrodzonymi zdolnościami.

Ale pastor, oczywiście, niczego nie spalił. Musiał przecież pokazać znaki władzom, zarówno świeckim, jak i kościelnym.

Proces czarownic w tym wieku?

I cieszył się tym, i niepokoił. Czy naprawdę powinien narażać się siłom, które nasyłały nocne zwidy zamożnemu i poważanemu konsulowi? A jeśli ściągnie na siebie ich gniew? Ten czarownik zna się, jak widać, na rzeczy!

Nasz dobry pastor nigdy w życiu by nie przypuszczał, że będzie miał do czynienia z jakimś czarnoksiężnikiem! Nawet chyba nie wiedział, że istnieją też mężczyźni zajmujący się magią. No tak, coś słyszał, że w siedemnastym wieku żył ktoś taki w Paryżu. A i wcześniej także. Tylko że pastor nigdy nie miał powodu się nad tym zastanawiać. I teraz również poszukiwał raczej kobiety, ale kto by to mógł być? Ktoś, kto bywa w domu konsula. . .

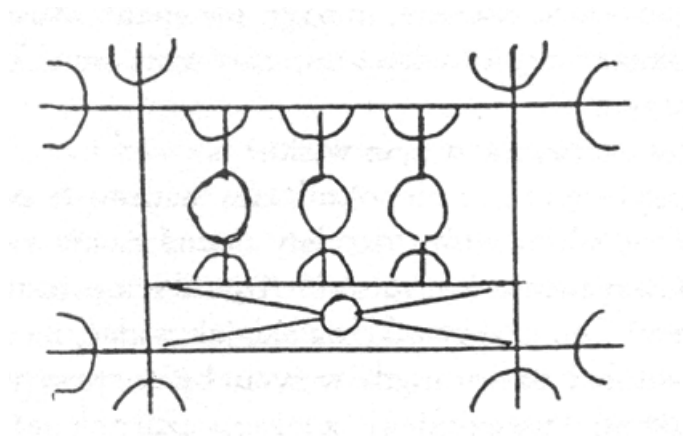
Dokładnie o tym samym rozmyślał konsul w drodze do domu. Kto, kto mógł mu włożyć to paskudztwo pod poduszkę? Któraś ze służących? Nie, one wszystkie go przecież uwielbiają. Może żona? Nie, ta gęś niczego podobnego by nie wymyśliła.

Nie miał pojęcia, co się stało.

Bo konsul Dahl nie znał islandzkich magicznych run, stanowiących klucz do tej zagadki. Może to zresztą lepiej, że ich nie znał, są zbyt makabryczne. Rysunek sam w sobie wyglądał dość niewinnie. Słowa jednak, które trzeba było wypowiedzieć, by rysunek mógł działać, były obrzydliwe, podobnie jak metoda. Jedyna nie budząca grozy rzecz, którą można było powiedzieć o sposobie rzucania uroku, to

to, że rysunek należało położyć przy zamku.

A oto rysunek, zresztą należy czym prędzej zapomnieć, jak wygląda:



Dla doświadczonego czarnoksiężnika wszystkie drzwi są dzięki niemu otwarte.

Konsul w drodze powrotnej do domu miał mimo wszystko dużo lepszy humor. Nareszcie ta czarownica, która mu zepsuła kilka ostatnich dni, zostanie złapana!

Wkrótce jednak skulił się w sobie i nastrój triumfu powoli go opuszczał. Idzie oto do domu i za chwilę będzie musiał powiedzieć żonie, że Tiril zniknęła.

A może dziewczyna tymczasem się znalazła?

O, tak, prawdopodobnie tak się właśnie stało! Ogarnięty przypiływem optymizmu konsul poszedł dziarsko dalej.

Tiril jednak nie zamierzała wracać do domu. Nigdy przedtem nie było jej tak dobrze jak teraz! Mogła przebywać z Nerem, mieszkali oboje przez nikogo nie niepokojeni w pięknej okolicy, ona zaś miała dwóch nowych przyjaciół, którzy, czuła to wyraźnie, troszczyli się o nią, pragnęli jej dobra i interesowali się jej życiem.

A wszystko stało się jeszcze radośniejsze, kiedy wróciła z Nerem z wyprawy do lasu, a przed jej domem stał mały chłopczyk, który próbował zawiesić na Mamce wiązkę świeżych ryb.

Spłoszył się na widok Tiril i wielkiego psa, ale kiedy go uspokoiła, wyjąkał zawstydzony:

— Mama powiedziała, żebym to panience przyniósł, bo panienka była zawsze taka dobra.

Wtedy go poznała. To synek handlarki ryb, której kiedyś pomogła. Ale... Czy naprawdę powinna się cieszyć?

— Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać? — zapytała przestraszona.

— Mało kto wie, gdzie panienka mieszka — zapewniał żarliwie. — Ale ta pija z kowalem piwo i oni sobie wszystko opowiadają. Musiałem obiecać, że nikomu nic nie powiem.

— To dobrze — uśmiechnęła się nie całkiem jeszcze spokojna. — Ale czy mógłbyś załatwić dla mnie pewną sprawę? Wiesz, ja zawsze dokarmałam bezdomne psy, a teraz nie mogę chodzić do miasta. Mam w domu trochę resztek, to może byś zabrał i dał psom. Niedaleko dawnego legowiska Nera stoją miski i stare garnki, tam włożysz jedzenie, dobrze?

Patrzył na nią z lękiem.

— A nie pogryzą mnie?

— Skądże! One wcale nie są złe, tylko trzeba je dobrze traktować. Zaraz dokładnie ci wytłumaczę, jak tam dojść. Wiesz, Nero był przodownikiem stada. Ale bardzo dobrze, że go stamtąd zabrałam, bo jeden z młodszych psów zaczął wykazywać skłonności przywódcze i czasami dochodziło między nimi do nieporozumień. Teraz tamten jest przewodnikiem, poznasz go natychmiast, taki szary z białą plamą na piersi. Do niego musisz przemawiać, a już reszta się ułoży. Nie bój się, nie ma czego. One są bardzo samotne i były źle traktowane przez ludzi. Na pewno z radością przyjmą od ciebie jedzenie. Pozdrów je ode mnie i powiedz, że bardzo bym chciała do nich przyjść. Naprawdę się o nie martwiłam. Zaczekaj jeszcze! Weź moją skarpetkę, zgubiłam drugą od pary. Jak będziesz się zbliżał do psów, to trzymaj ją przed sobą. Poznają po zapachu, że przychodzisz ode mnie.

Chłopiec zagryzał wargi, ale obiecał, że wszystko załatwi. Poprosiła go, by jutro znowu przyszedł i opowiedział, jak sobie poradził.

— Pozdrów mamę i podziękuj za ryby! Bardzo mi się przydadzą!

Długo patrzyła w ślad za malcem. Jakich sympatycznych ludzi spotykała teraz na swojej drodze!

— No, Nero! — zawołała radośnie. — To mamy już obiad dla tajemniczego Móriego! Jeśli znowu do nas przyjdzie...

A jutro mamy piątek. Pójdziemy na cmentarz spotkać się z Erlingiem. Ukochanym Carli, wiesz. Tiril posmutniała.

— Nie możemy zaprzeczyć, ani ty, ani ja, że boimy się troszkę ciemności. I ty mi wcale nie pomagasz, kiedy ni stąd, ni zowąd podnosisz w nocy łeb i zaczynasz warczeć. A potem podpełzasz bliżej mnie, jakbyś szukał ochrony. I chociaż wiem, że to tylko wiatr szumi w koronach drzew i szarpie oberwaną rynną, to wcale nie jest mi przyjemnie. Musisz wiedzieć, że jesteśmy sami. Przeważnie sami.

Westchnęła ciężko, bo myślała o tych wszystkich nocach, kiedy leżała samotna, pochlipywała w poduszkę i czekała, by ktoś przyszedł ją pocieszyć, by ktoś zechciał jej pomóc, uratować!

Fakt, że miała Nera, to najlepsze, co mogło ją spotkać. Ale w takich smutnych chwilach Nero niewiele mógł dla niej zrobić.

Ukucnęła i przytuliła twarz do gęstej czarnej sierści.

— Kochany Nero — szepnęła. — Najukochańszy pies na świecie! Nero starał się okazać, że jest bardzo zadowolony i że zrobi dla niej wszystko.

Rozdział 16

— Wiem, że Tiril zniknęła — oświadczyła pani Dahl ostro swemu zlanemu zimnym potem mężowi. — Powiedział mi o tym wczoraj Erling Carli.

— Erling Carli? — zawołał Dahl oburzony. — A jego co to obchodzi?

— Po prostu spotkał Tiril. Dziewczyna ma się dobrze i nie chce wracać do domu — referowała małżonka dystygowanym tonem.

Konsul zrobił się czerwony.

— Czy ten podstępny wąż uwiódł też naszą drugą córkę? Czy człowiek nigdy nie może zostać w spokoju ze swoimi dziewczynkami, żeby mu taki...

— Nie, nie, do niczego takiego nie doszło! On nawet nie wie, gdzie Tiril mieszka, powiedziała tylko, że niczego jej nie brakuje. Ja, rzecz jasna, poinformowałam o wszystkim wójta. Powinien ją odszukać.

— Co? Wójta? Czyś ty rozum straciła? To trzeba załatwić dyskretnie!

— A to dlaczego? Przecież nie zrobiliśmy nic, czego powinniśmy się wstydzić! Dziewczyna zachowała się nieodpowiedzialnie i powinna jak najszybciej wrócić do domu!

Konsul Dahl miał trudności z oddychaniem. Zauważył już, że jego serce źle znosi stany gwałtownego wzburzenia. Wójt poszukuje Tiril! Do czego to może doprowadzić?

Jak to dobrze, że wysłał tamten list! Ci, dla których był przeznaczony, już go chyba dostali. I z pewnością będą chcieli odnaleźć Tiril przed wójtem. A jeśli dziewczyna zniknie na zawsze po... no, po ich wizycie, to konsulowi nic nie szkodzi. I tak będzie mógł wyciskać z nich pieniądze. To, co on wie, jest na wagę złota.

I dopiero teraz będzie mógł się naprawdę wzbogacić!

Nadszedł piątek.

Tiril idąc na cmentarz już z daleka widziała Erlinga Müllera. Chociaż od ostatniego spotkania minęły cztery dni i chociaż rozmawiała z nim wtedy zaledwie kilka minut, wierzyła, że jest to ktoś bardzo jej bliski. Łączyła ich żałoba po Carli.

Miał na sobie czarny płaszcz długi do połowy łydek i czarne buty z cholewami. Blond włosy spływały w lokach na ramiona.

Jaka szczęśliwa powinna była być Carla, dziewczyna, którą on kochał!

Przeklęty konsul Dahl! Tiril znowu poczuła, że mogłaby go zabić gołymi rękami.

Ale stłumiła w sobie to niezbyt szlachetne pragnienie. Piękny uśmiech Erlinga sprawił, że zrobiło jej się ciepłej na sercu.

— Dzisiaj też przyniosłeś świeże kwiaty, jak widzę — powitała go. — A ja mam, niestety, tylko pęczek wrzosu, na nic innego mnie nie stać.

— Za to wrzos długo stoi i nie usycha — rzekł przyjaźnie.

Wspólnie uporządkowali grób. Pełni szacunku dla tego miejsca, rozmawiali półgłosem o marmurowym nagrobku i że na przyszły rok trzeba tu posadzić kwiaty.

Potem wyprostowali się oboje.

Rano padał drobny deszcz, ale teraz się wypogodziło. Erling położył swój płaszcz na niewysokim cmentarnym parkanie z kamieni i oboje na nim usiedli. Tiril uważała, że bardzo miło jest przebywać w towarzystwie tak dobrze wychowanego kawalera. Pod tym względem życie jej dotychczas nie rozpieszczało.

— Bardzo się cieszę, że Carla zdążyła cię spotkać — powiedziała serdecznie. — Kiedy sobie to uświadamiam, robi mi się jakoś lżej na duszy.

— A ja wciąż nie mogę się uwolnić od myśli, że byłem przyczyną jej śmierci.

— Nic podobnego! Wprost przeciwnie, byłeś światłem jej życia!

— Ty także.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu. Koło ich stóp przebiegła ruda wiewiórka i spłoszona umknęła jak strzała na stare, rozłożyste drzewo.

Erling powiedział po chwili:

— Rozmawiałem z twoją mama, tak jak prosiłaś, i chyba udało mi się trochę ją uspokoić. Myślę zresztą, że była chyba bardziej zła niż zmartwiona — zakończył wzburzony zachowaniem tamtej kobiety.

— Powiedziałaś jej, gdzie mieszkam?

— Przecież sam tego nie wiem! Wspomniałaś tylko o Laksevag, a ja zrozumiałem, że powinienem to zachować dla siebie. Ona, oczywiście, pytała, u kogo mieszkasz, ale ja też nie wiem. Powiesz mi, u kogo?

— U Nera.

Zmarszczył brwi.

— Chcesz powiedzieć, że... że mieszkasz całkiem sama?

— Mam wielu przyjaciół, dostaję od nich jedzenie, ryby i wszystko, co potrzeba. Dzisiaj rano na przykład pewien mały chłopiec przyniósł mi świeżego chleba. Pycha!

Erling słuchał w milczeniu.

Tiril uśmiechnęła się.

— I ten chłopiec zajmuje się teraz moimi bezdomnymi psami. Wyobraź sobie, że kiedy zaniósł im jedzenie pierwszy raz, to na nabrzeżu nie było ani jednego zwierzęcia. Malec usiadł więc i czekał. Mówił, że czekał długo, a kiedy przyszły najpierw dwa i zaczęły węszyć, szybko włożył jedzenie do misek i po chwili pojawiła się cała sfora, siedem sztuk! Ale nie dowierzały mu, więc on wyciągnął swoją skarpetkę. Powąchały ją i natychmiast rzuciły się do misek, teraz dosłownie jedzą mu z ręki. A żebyś wiedział, jak się na początku bał! Chłopiec zbiera dla nich resztki, a psy siedzą i czekają na niego. Tak jak przez wiele lat czekały na mnie.

Erling Müller przyglądał jej się z niedowierzaniem.

— Dziewczyno, co ty za życie prowadzisz? I jakie prowadziłaś?

— Akurat teraz jest to życie bardzo szczęśliwe! — zawołała wyciągając ręce do nieba.

— Ależ, Tiril, jesteś przecież panią z dobrego domu...

— Nie, nie, nic podobnego! — odparła gniewnie.

— Oczywiście, że jesteś! Nie rozumiem, dlaczego mieszkasz sama. Dlaczego nie wrócisz do domu?

— A dlaczego Carla wybrała śmierć? — zapytała ostro. — Nie, nie chciałam cię zranić! Zapomnij o tym pytaniu!

Znowu popatrzył na nią uważnie, a po chwili rzekł:

— Siedziałem tu i zastanawiałem się. Postanowiłem, że porozmawiam z moimi rodzicami i zapytam, czy nie mogłabyś mieszkać u nas.

— Dzięki za życzliwość, ale ja nie mogę wrócić do miasta.

— Dlaczego?

— To musi na razie pozostać tajemnicą.

Erling nie nalegał. Wrócił do początku rozmowy.

— A zatem twoi jedyni przyjaciele to mały chłopiec i ten pies?

— Nie, nie jedyni. Mam bardzo wielu przyjaciół, takich jak na przykład kowal, dostaję od nich jedzenie, oni mnie bronią...

— Przed czym? — przerwał jej gwałtownie, ale Tiril udała, że nie słyszy.

— I mam jeszcze innego dobrego przyjaciela. To bardzo dziwny człowiek, który przychodzi i odchodzi.

— Nie brzmi to najlepiej, moim zdaniem.

— Ale on jest... Cóż, tak dokładnie to ja nie wiem, kim on jest. Nazywa się Móri i przybył tu z Islandii. Pomógł mi już bardzo.

— Tiril, na Boga, musisz uważać, musisz unikać tego człowieka. Jesteś sama i...

Roześmiała się.

— Móri? Miałabym się bać Móriego? No, może rzeczywiście należałoby się go bać, ale nie w taki sposób, jak myślisz. Nie potrafiłabym go łączyć z niczym... Uff, nie wiem, jak mam to wyrazić.

— Ze sprawami erotycznymi, chciałaś powiedzieć? Z tym, co łączy kobietę i mężczyznę?

Poczuła się skrępowana, nie podobało jej się to, co Erling teraz mówił, ale rzekła z udaną swobodą:

— Właśnie. Ale nie, on nie jest taki. On jest. . . on stanowi dla mnie zagadkę. Może to ktoś więcej niż zwyczajny człowiek? Jest jak przybysz z innego, ponurego i przerażającego świata.

— I powiadasz, że ten przybysz jest dla ciebie miły?

— Tak, zaprosiłam go na obiad.

— To znaczy, że w tym jego ponurym świecie także się jada?

— Owszem, i obiecał, że chętnie jeszcze wróci.

Tiril zdrząła.

— Erling, czy ty kiedyś. . . czy mignęła ci kiedyś. . . powiedzmy. . . smuga, czy mignął ci kiedyś cień śmierci? Nie mam na myśli twojej czy mojej śmierci, ale Śmierci we własnej osobie.

— Chodzi ci o Anioła Śmierci?

Tiril skuliła się.

— To ty powiedziałeś, nie ja. Ale Móri właśnie kogoś takiego przywodzi mi na myśl. Boję się go, ale jednocześnie. . . on sprawia wrażenie bardzo samotnego. I. . . — zastanawiała się nad określeniem: „niewinny”, ale to nie było to słowo. — Nie wiem. Myślę, że on jest groźny. W jakiś nie znany mi sposób. Ale, słyszysz, Nero wyje. Muszę iść.

— Czy mógłbym odprowadzić cię do domu?

— Nie, dziękuję.

— Zobaczymy się jeszcze? Powiedzmy. . . w poniedziałek?

— Chętnie. Do widzenia! I dziękuję ci, że byłeś dobry dla Carli! Nigdy ci tego nie zapomnę.

— Dla Carli? — zapytał zdumiony, jakby w ogóle o niej zapomniał. — A tak, oczywiście. Uważaj na siebie, Tiril. Wiesz, gdzie mieszkam, prawda?

— No, mniej więcej.

— Gdyby coś się działo. . . to odszukaj mnie. Czasami jeden ziemski przyjaciel może być lepszy niż fantom z obcych światów.

Uśmiechnęła się jakby nieobecna myślami.

Jaki to sympatyczny młody człowiek, przemknęło jej przez głowę, kiedy oboje z Nerem ruszyli w stronę domu.

Nie doszła jednak nawet do końca cmentarnego muru, gdy znowu została narażona na gwałtowne przeżycia.

Nero biegł, jak zwykle, daleko przed nią. Idący z człowiekiem pies pokonuje zazwyczaj dystans trzykrotnie dłuższy niż jego przyjaciel, tyle jest rzeczy, które po drodze trzeba zbadać, tyle pociągających zapachów.

Skąd oni się tu wzięli? Tiril nie zdążyła się nawet nad tym zastanowić, bo nagle poczuła czyjąś dłoń zakrywającą jej usta. Ktoś napadł na nią od tyłu, dwóch mężczyzn wykręcało jej ręce. Wszystko odbywało się w milczeniu, żaden z napastników nie wypowiedział ani słowa, ale zachowywali się brutalnie. Po chwili drugi chwycił dziewczynę za nogi i obaj ponieśli ją na drugą stronę drogi. Tiril jednak nie była łagodnym jagnięciem. Wykręciła głowę tak, by uwolnić usta, i zaczęła wrzeszczeć z całych sił, a jednocześnie udało jej się kopnąć jednego z napastników w brodę. Tak mocno, że zawył z bólu.

— Zadźgaj natychmiast tę wariatkę! Nie cackaj się z nią — syknął poszkodowany.

Jego kamrat zamachnął się ręką uzbrojoną w nóż, jakby chciał wykonać polecenie, ale wtedy pojawił się Nero. Wczepił się z wściekłością w ramię napastnika, który wypuścił nóż.

Wszystko się zakotłowało i zniknęło w obłokach pyłu.

Erling Müller usłyszał odgłosy bójk. Dochodziło do niego wściekłe ujadanie psa i rozpaczliwe krzyki Tiril, która wołała coś w rodzaju: „Puście Nera, dranie jedne!”, po czym pies zawył z bólu, a po chwili rozległo się rozpaczliwe zawođenje dziewczyny.

Ale napastnicy też musieli nieźle oberwać, bo również oni wrzeszczeli jak opętani.

Erling biegł z odsieczą. Z daleka widział całą scenę i nie miał, niestety, wątpliwości, kto za chwilę zwycięży. Nero leżał jak martwy na piasku, Tiril, choć dzielnie stawiała opór, najwyraźniej była ranna.

Młody człowiek nie wahał się ani chwili, pospiesznie wyjął pistolet i strzelił w kierunku jednego z napastników, a jednocześnie usłyszał głos drugiego:

— To ten cholerny pies wszystko popsuł! Nie myślałem, że on jest jej! Georg! Trafił cię? Chodź, zjeżdżamy stąd!

Cisnął Tiril o ziemię, a sam złapał rannego kamrata i ciągnąc go za sobą, zaczął uciekać. Erling nie chciał tracić czasu na pogoń, dwie ranne istoty na drodze były dla niego ważniejsze.

Tiril wołała nieustannie:

— Nero! Nero! Nero!

Brzmiało to tak rozpaczliwie, że Erlingowi serce krajało się z żalu. Ale dziewczyna żyła, co do tego nie mogło być wątpliwości.

Dopał do niej. Tiril próbowała podczołgać się do ukochanego psa, ale Erling ją zatrzymał.

— Czy mogę obejrzeć twoją ranę? — zapytał.

Ona jednak syknęła w odpowiedzi:

— Ja się z tego wyliżę bez problemów, ale czy nie widzisz, w jakim stanie jest Nero? Jeśli oni go zabili, to ja. . .

— Zaraz się nim zajmę.

Dzięki Bogu pies nie krwawił. I oddychał, ale zdawał się kompletnie ogłuszo-
ny.

— Jeden z tych nędzników kopnął go w głowę — szlochała Tiril. — Jeżeli on zdechnie, to. . .

— Nie zdechnie — przerwał Erling monotonne zawodzenie dziewczyny. — Spójrz, zaraz się pozbiera.

Tiril zbliżyła się jednak do psa, przytuliła go do siebie i szeptała mu do ucha uspokajające słowa, szczęśliwa, że przyjaciel żyje.

— Obejrzymy teraz ciebie — powiedział Erling. — Masz trudności z chodze-
niem?

— Mam. Oni chcieli mi zmiażdżyć kolano, bo za bardzo kopałam. Wykręcili mi ręce i. . .

— Krwawisz! — krzyknął Erling. — Krew leci ci z szyi.

— Wiem, ale to powierzchowne. Jeden chciał dźgnąć mnie nożem, ale zdą-
żyłam się uchylić. Na szczęście akurat wtedy strzeliłeś. Dziękuję ci. Czy zawsze
nosisz przy sobie strzelbę?

— Pistolet — sprostował. — W dzisiejszych czasach bywa to konieczne. Ale
nie myślałem nigdy. . . Dlaczego? Tiril, dlaczego?

— Nie wiem — odparła speszona.

— Teraz jednak odprowadzę cię do domu — zdecydował.

— A Nero? Przecież on nie może chodzić.

Erling westchnął.

— Obojga nie uniosę. . .

— Ja mogę iść o własnych siłach — oświadczyła Tiril niecierpliwie.

— No dobrze! Ale zaczekaj.

Zdjął białą apaszkę i zawiązał jej na szyi, by chociaż osłonić ranę. Było tak,
jak Tiril sądziła — powierzchowne draśnięcie. Erling podjął się dzielnie swego
zadania, starał się podnieść z ziemi psa, który teraz wydawał mu się ogromny.

Nero sprawiał wrażenie, że chciałby stanąć o własnych siłach, ale i Tiril, i Er-
ling uważali, że lepiej go oszczędzać. Musieli sobie nawzajem pomagać jak mogli.

— Teraz zobaczysz, gdzie mieszkam — bąknęła Tiril niepewnie, kiedy wlekli
się w stronę Laksevåg. — Musisz mi jednak obiecać, że przed nikim mnie nie
wydasz.

— Obiecuję. Teraz zaczynam rozumieć, że ty się naprawdę musisz ukrywać.
Bo to była próba morderstwa, Tiril! Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy.

— Wiem o tym bardzo dobrze. Jeden zresztą powiedział: „Zadźgaj ją natych-
miast!” Ale jestem zbyt zmęczona i wstrząśnięta. Może poczekajmy, aż wrócimy
do domu? Tam porozmawiamy.

— Oczywiście. Widziałem, w jakim kierunku napastnicy uciekli. W tej okolicy się nie pojawiają, tak że swoją kryjówkę możesz uważać za bezpieczną.

— Bardzo na to liczę!

Powrót do domu zajął sporo czasu. Wprawdzie Nero mógł po chwili iść na własnych nogach, ale oboje, i dziewczyna, i pies, byli tak poobijani, że szybki marsz nie wchodził w rachubę. Musieli kilka razy po drodze odpoczywać, ale Erling Müller był cierpliwy. Dosyć go to wszystko zaskoczyło i nie przestawał się zastanawiać, o co może chodzić.

— Taka ci jestem wdzięczna, że tracisz czas, by nas odprowadzić — powiedziała Tiril.

— No, jeszcze by też! Miałem zostawić was samych?

Im bardziej oddalali się od miasta, tym bardziej on się dziwił. Były to przecież biedne okolice, naprawdę niegodne córki konsula. Co to się właściwie dzieje, zastanawiał się. W co obie córki konsula się wmieszały?

— My z Nerem mieszkamy tam na górze — oświadczyła Tiril znacznie radośniejszym głosem.

Nagle cała trójka stanęła jak wryta.

Na wzgórzu przed domem ktoś stał. I ten ktoś na nich czekał. Ciemna, na brązowo odziana postać, jak nie z tego świata. Wysoka i straszna, o twarzy, która z daleka zdawała się biała niczym u trupa. Obok nieznanego stał jego koń.

— Móri! — krzyknęła Tiril uradowana, nie zdając sobie sprawy, że w tym momencie jej gość bardzo przypomina diakona z Myrka, a ona zachowuje się jak Gudrun, która wiele lat temu wyszła ukochanemu na spotkanie, by spędzić z nim święta Bożego Narodzenia. — Móri wrócił! A mój obiad jeszcze nie gotowy!

Dosyć to dziwne, stwierdził Erling, idąc tamtemu na spotkanie. Młoda i ufna Tiril przyjaźni się z niezwykle ludźmi, trzeba to przyznać. I odczuwał to samo, co ona powiedziała wcześniej: Móri nie stanowił zagrożenia dla niewinności i czci dziewczyny. Ale był groźny. Bardzo, bardzo groźny, choć Erling nie do końca rozumiał, dlaczego.

Rozdział 17

Nero zapomniał o bólu, jak strzała pomknął do Móriego i witał go radośnie. Kiedy jednak gość poklepał go po łbie, zwierzę zawyło boleśnie. Móri ukucnął, przemawiał łagodnie do psa i delikatnie badał palcami jego czaszkę.

Potem wstał i przyglądał się dwojgu nadchodzącym ludziom.

Z pewnym lękiem Tiril przedstawiła sobie dwóch młodych mężczyzn. Tacy obaj przystojni, a tacy różni! Jak noc i dzień.

To porównanie wydało jej się nadzwyczaj trafne: noc i dzień.

— Co się stało? — zapytał Móri. — Nero potłuczony, Tiril kuleje, spod bandaży na szyi cieknie krew. I wygląda to na całkiem świeże zranienie.

Zaczęli mu tłumaczyć, przekrzykując się nawzajem, ale zaraz oboje umilkli, dało o sobie znać dobre wychowanie, ustępowali jedno drugiemu.

Móri czekał i spoglądał to na jedno, to na drugie wzrokiem pozbawionym wyrazu. Tiril przedstawiła Erlinga jako byłego narzeczonego Carli, nie powiedziała nic więcej. Zdawało się jednak, że Islandczykowi to wystarczyło.

Dziwne, ale Tiril odetchnęła z ulgą.

— Chyba powinniśmy rozmawiać we troje — oświadczył w końcu Erling. — Myślę, że Tiril musi nam to i owo wyjaśnić. Mam wrażenie, że wy, mój panie, wiecie znacznie więcej niż ja.

— Być może — przyznał Móri. — Ale zdaje się, że i tak bardzo wiele pozostaje do wyjaśnienia.

Młody potomek hanzeatyckiego rodu zatrzymał się przed drzwiami.

— Ty tutaj mieszkasz, Tiril? — zapytał sucho.

— Tak. I Nero także — odparła uśmiechnięta. — Prawda, jaki stąd piękny widok?

— Widok nie ma tu nic do rzeczy.

— A co ma?

Erling westchnął. Nie rozumiał dosłownie niczego.

— Wejdz, to zobaczysz, jak jest w środku! Posprzątaaliśmy I urządziliśmy wszystko pięknie!

— My?

— Nero i ja, oczywiście. On pomaga mi przez cały czas. Przynosi drewno na podpałkę, łapie myszy i w ogóle.

Erling Müller spojrzał na futrynę drzwi.

— A to co za znaki?

— O, jakieś stare ryty, ktoś pewnie zapisywał coś dla pamięci, tak przypuszczam.

— One nie są stare. Wprost przeciwnie, wyryto je całkiem niedawno.

Móri podszedł bliżej.

— To jest tak zwana Tarcza Arona wyjaśnił. — Mając ten znak nad drzwiami, Tiril może się czuć bezpieczna.

Erling posłał mu niezwykle wymowne spojrzenie. Zaciskał wargi, skrzydełka nosa mu drgały, a w oczach zapalały się podejrzone błyski.

Móri spojrzał na niego przelotnie i wszedł za dziewczyną do środka.

— Usiądź, Tiril, żebyśmy mogli obejrzeć tę ranę na szyi!

Zrobiła, jak kazał. Móri ostrożnie zdjął apaszkę, która służyła jako bandaż, Erling natomiast usiadł na stołku na przeciwko nich i z surową miną śledził, co się dzieje. Było jasne, że czuje się nieswojo.

— Jeszcze trochę krwawi — powiedział Móri. — Rana jest za bardzo otwarta, trzeba ją zamknąć.

— Czy nie jest już na to za późno? — spytał Erling.

— Może i tak — potwierdził Móri. Obmył ostrożnie niezbyt wielkie, ale wciąż krwawiące rozcięcie, po czym jedną ręką zacisnął brzegi rany, a opuszkami palców drugiej przesuwiał delikatnie wzdłuż skaleczenia. I Tiril, i Erling widzieli, że porusza wargami.

Trwało to dłuższą chwilę, a kiedy skończył, po ranie został tylko ślad w postaci cienkiej kreski.

Dwoje obserwatorów znowu zaczęło oddychać.

— No, no, nieźle — powiedział Erling, ale w jego głosie pobrzmiwał ton ostrzeżenia. — Może teraz będziemy się mogli dowiedzieć, kim jesteście, panie?

Móri podniósł na niego swoje ciemne oczy.

— Czy nie wystarczy, że pragnę dobra Tiril? W każdej sytuacji i pod każdym względem.

Erling otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zaraz znowu je zamknął.

— Ze mną ona będzie bezpieczna — oświadczył Móri. — Jestem w stanie obronić ją zawsze. A jak widzimy, może się to okazać potrzebne. Ale czy teraz mógłbym się dowiedzieć, co się dzisiaj wydarzyło? Jak to się stało, że oboje z Nerem zostaliście ranni, Tiril?

— Poszłam na cmentarz, odwiedzić grób Carli. Kilka dni temu ustaliliśmy z Erlingiem, że się tam spotkamy, żeby porozmawiać o mojej kochanej siostrze. Oboje bardzo cierpimy po jej utracie. Kiedy stamtąd wyszłam, zostałam napadnięta przez dwóch zbirów.

— Czyli cmentarz jest niebezpiecznym miejscem — stwierdził Móri. — Od dzisiaj powinnaś go unikać.

— Bardzo mnie to martwi, ale oczywiście, rozumiem, że to konieczne. No, ale na szczęście Erling usłyszał hałas, jaki powstał na drodze, bo ja się broniłam, i postrzelił jednego z napastników.

Móri spojrzął na Erlinga z wdzięcznością i uznaniem.

— Chodzi jednak o to, dlaczego zostałam napadnięta, Tiril? Trzeba wam wiedzieć, panie, że oni chcieli ją zamordować! — denerwował się Erling.

— Proszę mówić mi Móri! — rzekł Islandczyk. — Od razu się domyśliłem, że oni napadli, żeby zabić. Tiril, czy wiesz, kto się za tym kryje?

— Nie wiem i wcale nie chcę tego wiedzieć — jęknęła Tiril — Ja po prostu lubię ludzi i wołałabym myśleć o nich dobrze!

— Chowanie głowy w piasek nic tu nie pomoże — wtrącił Erling ostro. — Zatem państwo wiecie więcej niż ja. No, to proszę mi teraz wszystko opowiedzieć! Tiril westchnęła ciężko.

— W takim razie musiałabym też wyjawić, dlaczego Carla odebrała sobie życie. A tego chyba nie będę w stanie zrobić.

Na moment zaległo milczenie. Erling zniecierpliwiony usiadł na stołku, Tiril i Móri na przytwierdzonej do ściany ławie. Nero ułożył się na podłodze i obserwował ludzi z uwagą i podziwem. Ów nowy człowiek sprawiał wrażenie agresywnego. To Nera niepokoiło.

Pierwszy odezwał się Móri:

— Musisz zrozumieć, że to wszystko sprawia Tiril wielki ból. Ona wie więcej niż ty, ale spróbuj ci to i owo wyjaśnić w jej zastępstwie.

Erling skinął głową, zgnębiony, ale też lekko zirytowany.

— Proszę jednak nie mówić do mnie „ty”!

— Wygląda na to, że ojciec dziewcząt. . .

— Ojczym — przerwała Tiril ostro.

Erling spojrzął na nią zdumiony.

— Będziemy go nazywać „konsul Dahl” — rozstrzygnął Móri. — Przez całe życie one obie były przekonane, że jest to ich rodzony ojciec. Potem się okazało, że on przez wiele lat. . . wykorzystywał małą Carłę.

— Nie — jęknął Erling.

— Niestety, to prawda — potwierdziła Tiril ze łzami w oczach.

— Przez ile lat? — Erling, pobladły, ledwie mógł wypowiedzieć te trzy słowa.

— Myślę, że bardzo długo. Nie potrafię sobie przypomnieć, kiedy Carla zaczęła płakać. Zawsze była taka smutna — wyszeptwała Tiril.

Erling chwycił powietrze chrapliwie, tak jakby się dusił, a po chwili zerwał się z miejsca i wybiegł na dwór.

Tiril spoglądała na Móriego, ale przez łzy nie widziała wyraźnie, wszystko się rozmyślało. Niepewnie wyciągnęła do niego rękę. On też się na chwilę zawahał,

po czym ujął jej dłoń. Palce miał szczupłe, silne i zimne, skórę suchą.

Erling wrócił.

— Jak ty się o tym dowiedziałaś, Tiril? Od jak dawna wiesz?

— Zrozumiałam dopiero przed paroma dniami. Kiedy rzucił się na mnie.

— Co ty mówisz?!

— Zdołałam się obronić, ale potem musiałam uciekać z domu.

— No tak — jęknął Erling z rozpaczą w oczach. — No tak, teraz pojmuje.

— Otóż to — wtrącił Móri. — I teraz też pewnie rozumiecie, panie, że muszę ochraniać Tiril.

— Naturalnie. I dziękuję — bąknął Erling, choć jego myśli zajęte były czymś innym. — Ale w takim razie nie ma wątpliwości, kto stoi za zamachem na życie Tiril, prawda?

— Chyba tak — zgodził się Móri. — On musi się potwornie bać, że Tiril go wyda.

— Idziemy tam! Natychmiast! — zdecydował Erling. — Dysponuję wystarczającymi wpływami, bym mógł postawić go przed sądem, bo tam jest jego właściwe miejsce. Najpierw jednak chciałbym z nim w cztery oczy porozmawiać o mojej nieszczęsnej, załęcznionej Carli.

Tiril i Móri spoglądali po sobie. Nie chcieliby teraz być na miejscu konsula Dahla. Głos Erlinga brzmiał nader nieprzyjemnie.

— Powinniśmy chyba dokładnie zaplanować naszą wyprawę — wtrącił Móri.

— Co tu jest do planowania? Idziemy, zanim on zdąży się dowiedzieć, że napad na Tiril się nie udał!

Poszli zatem. Ruszyli wszyscy troje w stronę Bergen, a Nero podążał krok w krok za nimi.

Po drodze Erling rozpytywał Tiril o jej bieżące życie. Zgadzał się, że w Laksevag jest bezpieczna, ale przecież to w żadnym razie nie jest miejsce dla panny z dobrego domu.

— Czy ty nie możesz sobie darować tego „dobrego domu”? — poprosiła Tiril. — W środowisku, w którym wyrosłam, są ludzie ceniący pozory bardziej niż cokolwiek innego, ale ja do nich nie należę. Mnie jest w Laksevag bardzo dobrze, czy ty tego nie rozumiesz?

— Rozumiem, ale przecież musi ci tu dokuczać samotność?

— Owszem, samotność to rzeczywiście jest problem — westchnęła. — Czasami bywa trudno, a Nero nie zawsze jest w stanie mi pomóc. Mimo to dobrze jest go mieć.

Przerwał im Móri.

— Ja teraz zostanę tu w pobliżu — zapewnił. — Przez jakiś czas nie będę się podejmował żadnych nowych zadań. W każdym razie dopóki nie wyjaśnimy

sprawy tego napadu.

— Zadania? Jakie to zadania? — zapytał Erling.

— Pomagam ludziom — odparł Móri i było oczywiste, że nie chce wdawać się w szczegóły.

Erling przyglądał mu się jakimś nieobecny wzrokiem i jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, mówił głośno:

— Masz rację, przy tobie Tiril będzie bezpieczna. Nie ryzykuje, że z twojej strony spotka ją coś...

Tiril i Móri słuchali zdumieni, a on ciągnął, zwracając się do Móriego:

— Ty nie jesteś szczęśliwym człowiekiem... W tobie jest jakaś niszcząca siła. Ale nie skierowana przeciwko Tiril. Ta siła skierowana jest przeciwko tobie.

Móri skinął głową. Przez cały czas prowadził konia za uzdę. Kopyta stukały o ziemię.

— Ty nie zostałeś stworzony do miłości — dodał Erling sam nie do końca rozumiejąc własne słowa.

— Dobrze znacie się na ludziach, panie — rzekł Móri z nieprzeniknioną twarzą.

Erling jakby się nareszcie ocknął.

— Znam się na ludziach, powiadasz? Ja? Ja, który się nawet nie domyślałem, jak biedna Carla musi cierpieć?

— Nikt, nawet w najgorszych snach, nie mógłby przypuszczać, że coś tak wstrętnego... — zaczęła Tiril. — A poza tym ja i Carla nie byłyśmy siostrami. Ona była córką mojej przybranej matki. Ja jestem niczyja. Dowiedziałam się tego przed paroma dniami od kowalowej.

— Od kowalowej? — wybuchnął Erling. — Tiril, wśród jakich ludzi ty się właściwie obracasz?

— Wśród sympatycznych. Wśród życzliwych, wśród dobrych i miłosiernych. Co jest w nich złego?

— Nie, oczywiście, że nic. — Erling nie wiedział, co odpowiedzieć.

Mimo wszystko chciał poznać dzieje Tiril z ostatnich dni do najdrobniejszych szczegółów.

— W dalszym ciągu uważam, że powinnaś zamieszkać nas — powiedział Erling Müller. Jego głos stał się teraz matowy. — Mogłabyś dzielić pokój z moją siostrą.

Siostra Erlinga? Jak ona wygląda? Tiril wyobrażała sobie bardzo dumną i dosyć ładną pannę, nieco starszą od niej samej...

Ależ tak, przecież ją pamięta, i to dobrze! Siostra Erlinga była niewiarygodnie pewną siebie młodą damą, która знаła wszystkie zasady i nakazy etykiety do tego stopnia, że mogła sobie pozwolić na ich łamanie, co czyniła z wyszukaną nonszalancją.

Tiril podziwiała ją bezkrytycznie. Christine, bo tak miała na imię panna Müller, mogła na przykład wymachiwać torebką na długim pasku, rozmawiając jednocześnie z kimś poważnym. Tiril starała się ją naśladować. Kopnęła na przykład pewnego notariusza w nogę tak, że na jego białej skarpetce pojawiły się plamy błota. Christine wybierała owoce wiśni ze srebrnej patery, zanim się jeszcze przyjęcie zaczęło, a robiła to z wielkim wdziękiem i kokieterią. Tiril też wzięła jeden owoc i natychmiast dostała od matki klapsa na oczach wszystkich. Christine nosiła kapelusz włożony tyłem naprzód, ale kiedy Tiril postąpiła tak samo, to sąsiedzi zaczęli pytać, czy przypadkiem nie zatrudniła się w miejskiej łaźni.

— Może rzeczywiście byłoby najlepiej, gdybyś się tam przeprowadziła — wtrącił Móri niepewnie.

— Tylko będziesz się musiała pozbyć psa — powiedział Erling. — Albo może Móri mógłby się nim zająć, bo moja matka psów nie znosi.

— Nie, to niemożliwe — oświadczyła Tiril bardzo zadowolona, że znalazła wymówkę. — Obiecałam przecież Nerowi, że będziemy tu mieszkać razem. A nie powinno się zdradzać najlepszego przyjaciela!

— Tylko na razie — próbował ją przekonać Erling. — On przecież lubi Móriego niemal tak samo jak ciebie.

Tiril poczuła, że płacz dławi ją w gardle. Móri, który znał ją już bardzo dobrze, dawał do zrozumienia Erlingowi, że nie można jej rozdzielać z przyjacielem, zwłaszcza teraz, kiedy wszystkie straszne przeżycia są jeszcze takie świeże. I Erling, choć niechętnie, musiał się zgodzić na to, że dziewczyna pozostanie w Laksevag jak dotychczas. Być może wpłynęły też na to słowa Móriego, że dom i rodzina Erlinga znajdują się w niebezpieczeństwie, kiedy Tiril u nich zamieszka. To przecież całkiem naturalne i, jak to ludzie powiadają, bliższa koszula ciału. . .

— Ale jak tylko doprowadzę do tego, że konsul Dahl zostanie osądzony i skazany, przeprowadzisz się do nas — zakończył Erling.

No, to jeszcze zobaczymy, pomyślała Tiril. W każdym razie ja nigdy nie opuszczę Nera!

Kiedy zbliżali się do domu Dahłów, tylko Erling utrzymywał tempo marszu, reszta szła coraz wolniej. . .

— Myślę, że wolałabym nie. . . — zaczęła Tiril.

— Ja też najchętniej trzymałbym się z daleka od tego miejsca — powiedział Móri. — Myślę, że zostanę i tutaj na was poczekam. Pan Müller się tobą zajmie.

— Nie, Móri, nie odchodź! Bez ciebie nie dam sobie rady — prosiła spłoszona.

Powiedziała to spontanicznie, bez zastanowienia, i sama bardzo się zdziwiła.

On zaś popatrzył na nią spokojnie.

— Nie myślisz tego naprawdę. Idź ze swoim przyjacielem. Zobaczymy się później.

Wskoczył na konia i po chwili zniknął im z oczu. Nero przez moment nie wiedział, co zrobić, patrzył to w jedną, to w drugą stronę i wtedy Tiril, wiedzona jakimś impulsem, zawołała:

— Idź z Mórim, Nero!

Chyba tego jasno w myślach nie sformułowała, ale głębi duszy wiedziała, dlaczego postąpiła właśnie tak. Dzięki temu Móri na pewno znowu przyjdzie.

Nie bez wahania Nero ruszył za oddalającym się jeźdźcem.

Z jeszcze większym wahaniem Tiril popatrzyła na Erlinga.

— Bardzo dobrze — stwierdził. — W takim razie idziemy.

Tiril nie zdawała sobie sprawy z tego, że wygląda teraz jak mała, przestraszona i drżąca dziewczynka.

— Ale ja nie mogę tam pójść!

— Oczywiście, że możesz! Twoja matka bardzo się o ciebie niepokoi. Powinnaś się jej przynajmniej pokazać, wytłumaczyć.

— Wytłumaczyć, że jej własny mąż wykorzystywał Carlę, a teraz chciałby wykorzystywać również mnie? Uważam, że to by było bezlitosne.

Erling zastanawiał się przez chwilę.

— Rzeczywiście. To bezlitosne. Ale, poczekaj no, mama mi mówiła... Tak, twoja matka jest u nas! Miały obie pójść do wójta.

— Do wójta?

— Właśnie. Żeby zgłosić twoje zniknięcie. I żeby wójt, zaczął cię szukać.

Tiril westchnęła.

— No dobrze. Ale odprowadzę cię tylko do drzwi.

— To jeszcze zobaczymy — powiedział przez zęby. Kiedy ociągając się szła za nim, myślała o tym, jaki jest przystojny. Bardzo, bardzo pociągający młody człowiek. Ale przecież w dalszym ciągu należał do Carli, co do tego Tiril nie miała najmniejszych wątpliwości.

Jakie dziwne uczucie, znaleźć się znowu w tym domu. Dobrze znana elewacja i schody. Ciemnozielone drzwi wejściowe, z których Tiril korzystała raczej rzadko, często bowiem wybierała drogę przez okno.

Definitywnie postanowiła zostać na zewnątrz, lecz Erling złapał ją za ramię i wciągnął na schody.

— Nie, ale...

— Żadnego ale!

Erling chwycił klamkę, drzwi jednak były zamknięte na klucz. Tiril zaś klucza nie miała.

— Nikogo nie ma w domu, wracamy — próbowała się wycofać.

Akurat w tym momencie na progu ukazała się pokojówka. Na widok Tiril krzyknęła zdumiona:

— O Jezus, panienska Tiril wróciła! Gdzie to się panienska podziewała? Wszyscy myśleli, że panienska nie żyje! I pan Erling, proszę wejść!

Wpuszczając ich do środka, dygnęła uprzejmie.

— Oj, ale się wszyscy ucieszą! Pani jest w mieście, żeby panienki szukać, a konsul to jeszcze nie wstał.

— Co? — zawołał Erling. — Pół dnia już minęło. Budź go natychmiast! Mam z nim do pomówienia!

Głos Erlinga brzmiał groźnie.

Weszli za pokojówką do salonu. Tiril zupełnie innymi oczyma patrzyła na to, co zawsze było jej domem. Jakieś dziwne uczucie. Obcość. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak niewiele miała wspólnego i z tym domem, i z rodzicami. Po śmierci Carli w ogóle nie czuła się tu jak w rodzinie.

Nieprzyjemna, ciężka atmosfera, dzień za dniem. To zabijało w niej radość życia i tę miłość do ludzi, którą przyniosła ze sobą na świat.

Pokojówka przeprosiła i zniknęła w głębi domu. Słyszeli, że puka do jakichś drzwi, a potem woła cicho:

— Panie konsulu!

W chwilę później wróciła z wiadomością, że konsul nie odpowiada.

— Musiał wyjść. Tylko że nikt go nie widział.

— Otwórz drzwi i zobacz! — polecił Erling.

Dziewczyna wahała się, Erling jednak był stanowczy, więc ruszyła niechętnie z powrotem. Miała widocznie złe doświadczenia związane z sypialnią konsula. Słyszeli, jak otwiera, przez moment panowała zupełna cisza, po czym rozległ się straszny krzyk.

Spotkali dziewczynę na schodach. Ponieważ nie można było wydobyć z niej ani jednego rozsądnego słowa, Erling pobiegł do sypialni. Tiril tuż, tuż za nim. Konsul Dahl leżał na swoim łóżku, w pościeli zalanej krwią. Miał poderżnięte gardło.

Rozdział 18

Wszystko, co nastąpiło potem, było jednym wielkim chaosem. Przybył wójt, a wraz z nim matka Tiril i matka Erlinga, pani Dahl rozhisteryzowana do tego stopnia, że nawet nie zauważyła, iż Tiril się odnalazła; służące szlochały i przysięgały, że są niewinne, tylko Erling stanowił jakieś oparcie i on też zajął się wszystkim.

Tiril nie mogła się pobyć natrętnej myśli: Dlaczego Móri nie chciał tu z nimi przyjść?

To samo pytanie zadał Erling, kiedy zostali na moment sami. Wtedy też przybrana matka dostrzegła nareszcie, że Tiril wróciła, i zwymyślała biedną dziewczynę w obecności służby i obcych, a potem znowu zaczęła histerycznie szlochać. Musiał się nią zająć lekarz.

Erling Müller i kompletnie oszołomiona Tiril siedzieli hallu na jakiejś skrzyni, a reszta domu wciąż pogrążona była w chaosie.

Na zadane przez Erlinga pytanie Tiril odparła gorączkowo:

— Nie! To nie Móri, nie!

— Mnie się też nie chce w to wierzyć, ale on przecież kiedyś powiedział, że „zabierze się za twój ojczyma”, czyż nie?

— Owszem, ale nie w tym sensie, żeby zabić! Wyraźnie to podkreślał. Nie zabić, zresztą on by wcale nie potrzebował tego robić.

Erling siedział zadumany. Rysy miał rzeczywiście bardzo ładne.

— Słyszałem, że twoja macocha skarżyła się do mojej matki, iż ostatnio konsul zrobił się jakiś dziwny, że jakoby prześladowała go siła nieczysta czy coś takiego. Miał nieprawdopodobne pomysły, bał się czarów.

— Czarów? — wyjąkała Tiril.

— Właśnie — rzeki Erling, wpatrując się w nią przenikliwym wzrokiem. — Oboje przecież wiemy, że Móri zna się na tym.

— Tak — przyznała. — Zna się na pewno. Ale on nie jest mordercą, Erlingu! — zakończyła stanowczo i nieoczekiwanie w jej oczach pojawiły się łzy.

— Ja wcale tak nie myślę.

Tiril zaczęła niepewnie:

— Jeśli więc wykluczmy jego, a także służbę, bo jestem przekonana, że oni są niewinni. . .

— Ja też tak uważam. Chcesz powiedzieć, że w takim razie pozostaje tylko jedna możliwość, prawda?

— Tak — potwierdziła. — Ci dwaj ludzie, którzy chcieli zabić mnie.

— Otóż to. Tylko dlaczego oni chcieli ciebie zabić? Byliśmy przecież tacy pewni, że pracują dla konsula Dahla. . .

— Masz rację. Nic się tu nie zgadza.

Milczeli przez jakiś czas.

Potem Erling powiedział powoli, jakby się właśnie budził:

— A może jednak się zgadza. Wójt powiada, że konsula zamordowano wczesnym rankiem. . .

— Tak? — zapytała Tiril, kiedy umilkł.

Erling wstał.

— Musimy porozmawiać o tym z Móriem.

Pomysł ucieszył dziewczynę.

— Ale czy możemy opuścić dom?

— Zawiadomię wójta, a twoja macocha i tak śpi, dostała od lekarza proszki i nie obudzi się do jutra. Resztą nie musimy się przejmować. Pytanie tylko, gdzie znajdziemy Móriego?

— To już najmniejszy problem. On znajdzie nas. On albo Nero.

— Znakomicie! A pani Dahl to chyba nie jest twoją macochą, powinniśmy nazywać ją raczej przybraną matką, prawda?

W chwilę później schodzili w dół do portu. Okazało się, że postąpili słusznie, bo wkrótce rozległo się za nimi radosne szczekanie, ukazał się Nero, a zaraz za nim przyszedł Móri. Zwinnie niczym piskorz dosłownie wyslizgnął się z cienia.

— Musimy porozmawiać — przywitał go Erling. — Powiedziałem wójtowi, że w razie czego może nas szukać w moim biurze. To niedaleko stąd.

Po drodze opowiedzieli Móriemu, co się stało. Tiril przyglądała mu się ukradkiem, ale zdawał się tak samo wstrząśnięty jak każdy człowiek, słyszący tego rodzaju nowiny. Delikatnie objął ramiona Tiril, ale tylko na chwilę. Ona jednak długo jeszcze czuła osobliwe ciepło tam, gdzie spoczęły jego dłonie.

I raz jeszcze ogarnęła ją szczerą wdzięczność, że ktoś taki został jej przyjacielem. Jako przeciwnik musiał być bardzo groźny. No i teraz. . .

Nie wolno się nad tym zastanawiać, trzeba myśleć o czymkolwiek, byle nie o tym. Zająć się tym, że niebo jest szare i zaraz zacznie padać, że Erling jest taki przystojny, że. . .

Próbowała nie ulec panice, ale nie było to łatwe.

Gabinet Erlinga okazał się imponujący. Młody człowiek odziedziczył przedsiębiorstwo swego ojca, w tym również to pomieszczenie. Wysokie, wąskie okna wychodziły na port, solidne, ciężkie i ciemne meble świadczyły o dostatku.

Wszystko to niegdyś miało należeć do Carli.

Tiril siedziała w jednym z foteli przeznaczonych dla wykwintnych klientów i nagle przeniknął ją dreszcz grozy. Przecież Erling także miał swoje powody, by życzyć Dahlowi śmierci. Mógł na przykład wiedzieć o zachowaniu konsula wobec Carli, chociaż Móriemu i Tiril nic nie powiedział.

Nero obwąchał dokładnie pokój, stwierdził jednak, że jest w nim po prostu nudno, nigdzie ani śladu myszy, wyciągnął się więc jak długi na dywanie.

— Mam pewną teorię — zaczął Erling. — Ale musiałbym wiedzieć więcej o pochodzeniu Tiril. Kim ty właściwie jesteś?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

— Dowiedzieliśmy się niedawno od kowalowej, że matka Tiril płaciła konsulowi za jej wychowanie — wyjaśnił Móri.

— Tak — potwierdziła Tiril. — Konsulowi czy też mojej macosze, nie wiem. To znaczy, chciałam powiedzieć, przybranej matce.

— Jak znam Dahla, to on inkasował wszystko — rzekł Erling cierpko. — Żądał przecież ode mnie wysokiej sumy za zgodę na małżeństwo z Carłą!

— Naprawdę? — zawołała Tiril. — A ja myślałam, że to panna musi mieć posag, kiedy wychodzi za mąż.

— Bo tak właśnie jest, ale konsul uważał, że Carla jest warta bardzo wiele. Teraz wiemy, dlaczego.

Móri siedział nieco z boku. To człowiek z krainy cieni, pomyślała Tiril. Teraz z ożywieniem zareagował na słowa Erlinga:

— Zatem uważacie, panie, że konsul był zbyt zachłanny, jeśli chodzi o Tiril? Że dlatego jej prawdziwa matka chciała nareszcie zrobić porządek z tym... powiedzmy, wymuszaniem?

— Właśnie.

— I że chciała za jednym razem pozbyć się obojga?

— Tak.

Tiril poczuła się okropnie, porzucona i niechciana.

— Ale to się nie zgadza — zwrócił się Móri do Erlinga.

— Bo po pierwsze, przybrana matka Tiril wie to samo, co konsul. A po drugie, rodzona matka płaciła za Tiril przez te wszystkie lata. Dlaczego miałoby się to zmienić akurat teraz?

— No właśnie, masz rację! — zawołała Tiril. — Bo ja pamiętam, co powiedział ten człowiek, któremu konsul był winien pieniądze: „Niech pan nie zapomina o warunkach, konsulowi Dahl!” A Dahl odpowiedział ponuro: „Nigdy o tym nie zapomnę”. Tak to mniej więcej brzmiało.

— Aha. No to rozumiem — mówił Erling jakby sam do siebie. — To musi oznaczać, że matka Tiril postawiła warunek: „Będę płacić dopóty, dopóki Tiril żyje. W razie jej śmierci ani grosza więcej!” Powinniśmy byli o tym pomyśleć, kiedy podejrzewaliśmy Dahla o próbę zamordowania Tiril. Nikt by przecież nie zarzynał kury znoszącej złote jajka.

— Uff, nie musisz nazywać mnie kurą — mruknęła Tiril. — Obrażasz kurczęta.

— Ale Móri też ma rację — stwierdził Erling. — Człowiek, zwłaszcza matka, nie płaci słono za wychowanie swego dziecka przez wiele lat, żeby w końcu wynająć płatnych zabójców i zgładzić to dziecko. Tiril, czy konsul w ostatnich czasach się w widoczny sposób nie wzbogacił?

Zastanawiała się przez chwilę.

— Tak, rzeczywiście! Nieoczekiwanie stać go było na spłacenie długu.

— Naprawdę? A co to za dług? Skąd się wziął?

— Myślę, że to rezultat życia ponad stan — odparła Tiril. — Nie mam co do tego wątpliwości. Ten gruby, który do nas przychodził, miał wygląd lichwiarza. Pożyczał konsulowi pieniądze i potem wysysał z niego krew, żądając niewiarygodnych procentów. Więc to takie proste?

— Tak jest. — Móri skinał głową. — Założmy jednak, że był on zbyt zachłanny i ktoś, może matka Tiril, chciał się go pozbyć. Ale ten ktoś nie miałby powodu mordować Tiril!

— Rzeczywiście — przyznał Erling. — Masz rację.

Tiril ogarnęło uczucie wdzięczności.

— Dlatego — ciągnął dalej Erling — właśnie dlatego musimy się dowiedzieć, kim jest prawdziwa matka Tiril. Myślę, że w ten sposób dojdziemy do rozwiązania zagadki.

— A może... — zastanawiała się głośno Tiril.

— Tak?

— Nie, nic.

— Owszem, powiedz, co masz na myśli!

Dziewczyna skrzywiła się.

— Nie, to głupie z mojej strony. A zresztą, dobrze. Myślałam, że być może rozwiązanie jest znacznie prostsze. Że moja przybrana matka dowiedziała się o tym, iż on nas atakował, Carlę i mnie, i w gniewie straciła panowanie.

Mężczyźni popatrzyli po sobie. Potem odezwał się Móri, i starszy, i bardziej doświadczony z nich:

— Pomyśl sam w sobie jest słuszny. Tylko że to morderstwo nie zostało popełnione w gniewie. Kobieta w takiej sytuacji rzuciłaby się na niego z pięściami, drapałaby po twarzy, rzucała w niego jakimiś przypadkowymi przedmiotami, tłukła po głowie pogrzebaczem albo coś w tym rodzaju. Albo, gdyby miała pod ręką nóż, dźgałaby gdzie popadnie. Nie podrzynałaby gardła w taki sposób, jak pan

Erling opisał. Tylko jedno precyzyjne cięcie, dokonane z pewnością na zimno, a poza tym żadnych śladów walki, niczego.

— Rozumiem — mruknęła Tiril. Wciąż nie mogła się otrząsnąć z okropnego wrażenia, nieustannie widziała konsula z poderżniętym gardłem. Mimo obrzydzenia, jakie do niego żywiła, ze współczuciem myślała o jego tragicznym końcu.

Erling znowu coś powiedział i Tiril podskoczyła na swoim miejscu.

— Co? Co ty mówisz?

— Powiedziałem, że musimy odwiedzić kowalową. Tylko przy jej pomocy możemy dowiedzieć się czegoś o twoim pochodzeniu, ona jedna cokolwiek o tym wie. I o tej znajomej przyjaciela czy też przyjaciółce znajomego wujka babki, która była szwagierką jej siostry albo odwrotnie.

Nawet Móri musiał się uśmiechnąć.

W tym momencie, kiedy zobaczyła jego delikatny uśmiech na ukrytej w cieniu twarzy, Tiril poczuła, że przenika ją jakiś nie znany dotychczas prąd. Jakby Móri stał się nagle kimś innym, niezwykle pociągającą, a zarazem bardzo niebezpieczną istotą. Głęboko odetchnęła i spojrzała na Erlinga.

On jednak niczego niezwykłego nie zauważył, pochłonięty dociekaniem prawdy.

Tiril potrzebowała czasu, by dojść do siebie. Odczuwała jakieś dziwne mrowienie w całym ciele, ogarnęło ją nagłe pragnienie, by podejść i przytulić się do Móriego. Kręciło jej się w głowie, nie była w stanie zebrać myśli.

W końcu zdołała się jakoś opanować. Obaj mężczyźni rozmawiali z ożywieniem, a ona starała się zorientować, o czym mówią.

I nieoczekiwanie dla samej siebie zadała bardzo ważne dla całej sprawy pytanie:

— A czy moja przybrana matka niczego nie wie? Przecież powinna.

Obaj patrzyli na Tiril z uwagą. Widocznie okazałam się inteligentna, pomyślała i z dumą wykrzyknęła:

— Tak, bo przecież to ona pierwsza wzięła mnie od tej nieznajomej kobiety, więc powinna wiedzieć. . .

Erling zerwał się z miejsca.

— Dobry Boże, siedzimy tu i tracimy czas, a tymczasem. . .

— Co takiego?

— No właśnie, twoja przybrana matka. Jest tak samo zamieszana w tę historię, jak ty i konsul!

Móri pojął więcej niż Tiril.

— To znaczy, że jej też może grozić niebezpieczeństwo?

— Oczywiście! Na pewno zawsze wiedziała, skąd pochodziły pieniądze na

wychowanie Tiril. W takim razie ten ktoś będzie chciał uczyć również ją.

Przybyli za późno. Pani Dahl leżała tak, jakby spała.
Była jednak martwa.

Rozdział 19

— Kto wchodził do jej pokoju? — zapytał wójt, kiedy doniesiono mu o kolejnym śmiertelnym przypadku. Był to napuszony mężczyzna w czarnym ubraniu, do którego nosił śnieżnobiały kołnierzyk i równie białe mankiety.

Pokojówka pochlipywała i przysięgała, że jest niewinna.

— Ja pomagałam się pani położyć, ale...

— Nie trzeba oskarżać tej dziewczyny — rzekła Tiril pospiesznie. — Tu musiał przyjść ktoś z zewnątrz.

— Nigdy w to nie uwierzę — odparł wójt ostro.

— Powinien pan wierzyć — wtrącił Erling, co wójt przyjął z wyraźnym szacunkiem. — A może lekarz podał za silny środek nasenny?

— Lekarz jest z pewnością poza wszelkim podejrzeniem.

— Cóż, no to będzie pan musiał ustalić, kto niepowołany wchodził do domu, i tym sposobem znajdzie pan winowajcę!

— Ale jak ona zmarła? Co było przyczyną śmierci? — pytała Tiril z płaczem.

Zdawało się, że jakieś przekleństwo zawisło nad tym domem i rodziną. Móri wyszedł i Tiril odczuwała jego brak, na szczęście Erling był przy niej.

— Uważamy, że matka panienki została uduszona poduszką — wyjaśnił wójt.

— Istnieją ślady świadczące o dramatycznej walce z napastnikiem.

— Och, nie! — jęknęła Tiril. — Taka powolna śmierć! I w jakim przerażeniu!

— Tak.

— Nie zasłużyła sobie na to — szlochała Tiril zrozpaczona. — Nie była to osoba najmądrzejsza na świecie. Ani najbardziej wyrozumiała. Ale była niczym motyl rozprostowujący skrzydełka w blasku słońca. Tylko to ją cieszyło. Nie rozumiała nic a nic. Nie patrzyła dalej niż koniec własnego nosa i nigdy nie była dla nas, córek, oparciem, ale nie miała w sobie zła. A to małżeństwo musiało być dla niej piekłem. Jeśli kogoś należałoby oskarżać, to jej męża.

— Ojca panienki?

— Jej męża, konsula Dahla.

Wójt spojrział na nią surowo.

— To chyba na jedno wychodzi?

Tiril nie miała ochoty odpowiadać, na szczęście Erling uczynił to za nią:

— Nie, nie na jedno. I naszym zdaniem to jest właśnie dla sprawy najważniejszej.

— Panie Müller, żywię wielki szacunek dla pana i dla pańskiego ojca. (Pewnie za te pieniądze, które od nich dostajesz, pomyślała Tiril). Ale mówi pan zagadkami...

Erling był już gotów wprowadzić wójta we wszystko, co z Tiril i Mórím zdołali ustalić na temat śmierci konsula, gdy do pokoju wszedł pastor.

— Ach, drodzy przyjaciele! — biadolił. — Taka tragedia! I to konsul Dahl, który tak niedawno mnie odwiedził, uzał się i szukał pociechy, bo, jak mówił, prześladowała go jakaś siła nieczysta! Trudno mi było uwierzyć w czary, ale okazuje się, że złe moce ruszyły do ataku nie na żarty. Czyżby to oznaczało, że znowu mamy czarownice w naszym starym Bergen?

— Złe moce? Czary? — pytał wójt.

Erling i Tiril spoglądali po sobie, po czym Erling ujął dziewczynę za ramię i wyprowadził ją z pokoju. Nikt nie zauważył, że opuścili dom.

— A zatem możemy uważać, że polowanie na Móriego się zaczęło — szepnęła Tiril. — Musimy go ostrzec niezależnie od tego, że oni mówią o czarownicach, a nie o czarnoksiężnikach.

Oczy Erlinga pociemniały.

— Otóż i to słowo, Tiril! Właśnie się zastanawiałem, jak należałoby nazywać mężczyznę, zajmującego się czarami. Oczywiście, czarnoksiężnik! A nasz znajomy jest mistrzem w swoim fachu, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Ani ja — mruknęła Tiril ponuro. — Ale teraz musimy go odszukać.

— Miał razem z Nerem czekać niedaleko mojego biura. Wszyscy troje wrócimy do mnie.

— Czworko.

— No tak! — Erling pozwolił sobie na przelotny uśmiech. — Nera liczysz także jako osobę, powinienem był pamiętać.

— Raczej jako osobowość.

— Rzeczywiście, Nero to osobowość. Znikajmy, ktoś wychodzi od was z domu, nie powinni zauważyć naszej ucieczki.

Wkrótce skryli się w krętych zaułkach, a po chwili cała czwórka znalazła się znowu w gabinecie Erlinga. Dzień pracy dobiegł końca już jakiś czas temu, urzędnicy wyszli, mogli więc porozmawiać przez nikogo nie niepokojeni.

To był bardzo długi dzień.

Móri słuchał uważnie informacji o pastarze, gadającym o czarach.

— Władze już dawno zwróciły na mnie uwagę. Właśnie dlatego przyjechałem do Bergen, dawniej mieszkałem na południowym wybrzeżu.

— To te twoje zadania? — powiedział Erling.

— Tak. Stosuję „czarodziejską sztukę”, żeby pomagać ludziom w potrzebie. Władze jednak uważają, że robi to kobieta, i mówią o czarownicach, dokładnie jak ten pastor. A zatem nadszedł chyba czas, bym znowu wyruszył w drogę.

— Och, nie! — wykrzyknęła Tiril spontanicznie.

— Tiril też powinna pozostać w ukryciu — oświadczył Erling. — Nie przed władzami, ale przed tymi, którzy chcieli ją zamordować. Z pewnością ponowią próbę.

— Tak jest — potwierdził Móri. — Czy pan mógłby się nią zaopiekować?

— Jak najchętniej.

Tiril nie słyszała, o czym mówią. Jak zauroczona wpatrywała się w Móriego.

— Ty naprawdę umiesz czarować?

Uśmiechnął się krzywo.

— Wolałbym nie nazywać tego czarami — rzekł z wolna.

— Czy mógłbyś teraz coś nam pokazać?

— Tiril, coś ty! — upomniał Erling.

Móri jednak patrzył jej głęboko w oczy. Uśmiechał się rozbawiony.

— Dostaniesz ode mnie coś związanego z białą magią. . . jeśli chcesz. Czarodziejską runę, która spełnia pragnienia.

— Oczywiście, że chcę! — zawołała przejęta. — Ale co to znaczy biała magia?

— Biała magia posługuje się między innymi czarodziejskimi runami, pochodzącymi z bardzo dawnych czasów, kiedy ludzie nie znali jeszcze liter, tylko właśnie runy. Ryli je przeważnie w drewnie albo w kamieniu. Pierwsze, co musi poznać uczeń czarnoksiężnika, to runy. Większość z nich nie jest niebezpieczna. Nie wszystkie, tego nie chciałbym twierdzić, przeważnie jednak są niegroźne. Runy związane z czarną magią są zarezerwowane dla czarnoksiężników. I one. . . nie są przyjemne.

— A ty masz taką runę?

— Wolałbym na to nie odpowiadać.

Erling wtrącił sucho:

— Czy mam rację sądząc, że runy czarnej magii służą do wyrządzania ludziom zła, w przeciwieństwie do run białej magii?

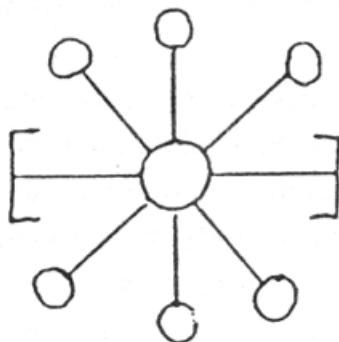
Móri odwrócił się ku niemu, ale uczynił to tak wolno, że Tiril zadrżała. Odniosła wrażenie, że kryje się w tym jakaś groźba. Móri wydał jej się taki nienaturalnie wysoki, taki ponury i. . . nierzeczywisty, jakby nie należał do świata ludzi. Krew odpłynęła jej z twarzy.

— Po części masz rację, Erlingu — przyznał. — Ale w obu grupach znajdują się różne runy. Biała magia może również szkodzić, a czarna magia czynić dobro. Trzeba bardzo gruntownie i do głębi znać swój fach, by wiedzieć, co się robi.

— I ty wiesz?

Móri wahał się przez chwilę.

— Nie do końca. Czegoś mi jeszcze brakuje.
— Ale czarnoksiężnikiem jesteś?
— Prawdopodobnie najlepszym, jakiego w naszych czasach ziemia nosi.
Tiril i Erling milczeli zakłopotani.
W końcu Tiril powiedziała:
— Tak czy inaczej chcę mieć runę spełniającą życzenia.
Nastrój się wyraźnie poprawił.
— Może i ja mógłbym taką dostać? — zapytał Erling z uśmiechem. — W każdym razie wiem, czego pragnę.
Móri posłał mu dziwne spojrzenie. Tiril nie mogła zrozumieć, co ono znaczy.
— Chętnie — odpowiedział Móri i mimo wszystko się uśmiechnął. — W takim razie zaczniemy od ciebie, Erlingu.
Podszedł do biurka, wziął leżące tam gęsie pióro i zanurzył je w kałamarzu.
— Podaj mi rękę, Erlingu. Wnętrzem dłoni do góry.
Tiril przyglądała się z zapartym tchem, gdy Móri powolutku rysował znak na dłoni Erlinga.



— Właściwie powinno się rysować krwią — mruknął Móri. — Ale tak też będzie dobrze. Nie chciałbym naciąć wam skóry. No! Masz już życzenie?
— Tak, ale to tajemnica. Na razie.
Móri skinął głową i odwrócił się do Tiril. Dziewczyna bez wahania wyciągnęła rękę, a on ponownie zanurzył pióro w kałamarzu i zaczął rysować.
Gdy był już prawie gotów, zapytał:
— No to jakie masz życzenie, Tiril?
— Oj, byłabym zapomniała! No tak... ja. Wiesz, tak naprawdę to ja mam tylko jedno życzenie, ale ono nie może się spełnić.
Dokończył rysunek i wyprostował się.

— Nie ma rzeczy niemożliwych. Powiedz, jakie to pragnienie, a ja i ta runa wspólnymi siłami je spełnimy.

Z oczu Tiril znowu popłynęły łzy i nie była w stanie ich powstrzymać.

— Pragnę tylko jednej jedynej rzeczy — wyszeptła. — Chciałabym, żeby moja biedna siostra Carla mogła powrócić do życia.

Obaj mężczyźni patrzyli na nią zszokowani.

— Tiril, na Boga — szepnął Erling.

Ona zaś zwróciła się do Móriego:

— To jedyna rzecz, której pragnę. Powiedziałeś przecież, że. . .

Móri zaciskał szczęki. Po chwili bąknął prawie niedosłyszalnie:

— Akurat tego nie powinnaś sobie życzyć.

Odwróciła głowę; łzy płynęły teraz nieprzerwanym strumieniem.

— Więc to by mimo wszystko było możliwe?

Móri wyglądał na zmęczonego.

— To jest możliwe.

— No to wspañiale! I Erling też by pragnął powrotu Carli. Kochał ją przecież ponad wszystko na ziemi!

Erling powiedział spokojnie, tak jak się przemawia do dziecka:

— To prawda, że bardzo kochałem Carle. Ale ona umarła, a ty żyjesz.

Do Tiril jego słowa nie dotarły, cała jej uwaga koncentrowała się na Mórim.

— Ty to potrafisz! Mówiłeś przecież, że potrafisz.

— Jeszcze nie teraz — rzekł zmęczonym głosem. — Jak przed chwilą wspomniałem, muszę jeszcze uzupełnić moje wykształcenie jako czarnoksiężnika. A ty nie powinnaś pragnąć wskrzeszenia Carli, bo byś musiała tego gorzko żałować.

— Ale ja chciałabym jej tak wiele powiedzieć, tyle rzeczy powinniśmy dla niej zrobić, my wszyscy, tak by w końcu mogła poślubić swego Erlinga. Należy jej się to, ona tyle wycierpiała. Czegóż to brakuje w twoim wykształceniu, Móri, powiedz mi, bo może mogłabym ci pomóc.

— Brakuje mi pewnej księgi — odparł — Księgi zwanej „Rödskinna”. Muszę zdobyć tę księgę i poznać zawartą w niej wiedzę.

— Uff! Oczy ci płoną — powiedział Erling z niepokojem. — Nie przepadam za takimi tematami. Czy moglibyśmy rozmawiać o czym innym?

— Zdobądź tę księgę, Móri — poprosiła Tiril.

— Zdobędę.

— Tiril, natychmiast przestań! — rozkazał Erling. — Jesteś podniecona ponad wszelką miarę i nie wiesz, co mówisz! Móri, powiedz jej, żeby przestała!

Móri długo patrzył jej w oczy.

— Zdobędę „Rödskinnę”, ale nie dlatego, by wskrzesić twoją siostrę. Chcę ją mieć mimo wszystko i dla niej samej. Erling ma rację, nie powinnaś myśleć o wskrzeszaniu zmarłych, to do niczego dobrego nie prowadzi.

Zaciskała rękę na jego ramieniu tak mocno, że musiały po tym zostać siniaki. Powoli rozluźniła uścisk.

— Jakim sposobem możesz dostać tę księgę?

Móri uśmiechnął się ironicznie:

— Muszę zmarłego człowieka przywrócić do życia!

— Nie, ja wychodzę! — jęknął Erling. — Nie nabijaj jej głowy takimi głupstwami, Móri!

— Już nie będę. Ale czy my jesteśmy tutaj bezpieczni?

— Właściwie nie. Bo jeśli wójt zacznie mnie szukać, to prędzej czy później tu przyjdzie. Najlepiej przenieśmy się do Laksevåg. Tam nikt nie będzie szukał ani Tiril, ani żadnego z nas. Ja mogę wziąć konia, natomiast wy będziecie chyba musieli...

— Mój koń czeka niedaleko stąd — przerwał mu Móri. — Jeden z nas może zabrać Tiril.

— A Nero pobiegnie za końmi — dodała Tiril z uśmiechem. W jednej chwili koszmar ostatnich godzin się rozwiął. Nic jej nie grozi, skoro ma trzech takich przyjaciół!

Kiedy jednak wyszli na ulicę, pojawiły się nowe problemy. Bezdomne psy zwietrzyły Nera i otaczały go teraz kołem, pełne napięcia. Nowy przewodnik stada szczyrzył kły i warczał raz po raz głucho. Tiril jednak uspokoiła całą zgraję kilkoma krótkimi słowami.

— Nieźle sobie z nimi poradziłaś — powiedział Erling, któremu to naprawdę zaimponowało.

— Tak, ale mam wyrzuty sumienia — bąknęła, po kolei głaszcząc zwierzęta po łbach i grzbietach. Kudłate ogony poruszały się radośnie. Tiril zwracała się do każdego psa po imieniu i obaj młodzi mężczyźni byli wzruszeni, patrząc na tę przedziwną scenę powitania. — Mam wyrzuty sumienia, że je tak pozostawiłam własnemu losowi. To przecież zdrada. Wprawdzie pewien mały chłopczyk donosi im trochę jedzenia, ale kiedy go ostatnio widziałam, był chory. Złapał wietrzną ospę. Powinnam była teraz coś im przynieść!

Erling poprosił, by zaczekali chwilę. Zdecydowanym krokiem ruszył do sklepu rzeźnika na nabrzeżu, wołając po drodze do Tiril:

— Ile ich jest?

Szybciotko przeliczyła.

— Z Nerem będzie osiem.

Kiwnął głową i zniknął za drzwiami. Po chwili wrócił z ośmioma sporymi kawałkami mięsa. To musiało kosztować majątek, pomyślała Tiril przestraszona. Sprawiedliwie obdzielili wszystkie psy, najpierw Nero i nowy przewodnik stada, a później reszta. Przez dłuższy czas na ulicy panował spokój. Ludzie mogli bez przeszkód odjechać, ale bardzo szybko zwierzęta odnalazły trop. Kiedy więc trójka przyjaciół zmierzała do bram miasta, odprowadzała ich procesja złożona

z ośmiu psów. Na szczęście siedem z nich wolało zostać w obrębie miejskich murów.

Postanowiono, że Móri nie opuści tej nocy Tiril, będzie spał w dużej izbie. Nie odważyliby się zostawić jej samej, natomiast Erling musiał być na bankiecie u klienta. Nie obawiał się jednak powierzyć dziewczyny opiece czarnoksiężnika. Jak sam wcześniej zauważył, Móri nie był stworzony do miłości i nigdy by nawet nie tknął Tiril.

— Tylko pamiętajcie, żadnych czarów — ostrzegł Erling na odchodnym.

Ton był żartobliwy, ale sens jak najbardziej poważny. Wyjazd się trochę opóźnił, bowiem Nero porwał wytworny kapelusz młodego przedsiębiorcy i ukrył go w krzakach porzeczek. Erling zniósł to dzielnie.

Nastał wieczór. Tiril i Móri przygotowali trochę jedzenia ze starych zapasów, bo nagle uświadomili sobie, że przez cały dzień nie mieli czasu nic zjeść. Kiedy człowiek jest zbyt wstrząśnięty, traci apetyt.

Siedzieli przy stole, gdy Tiril poprosiła, by opowiedział jej o swoim życiu. Czowała się bardzo zmęczona, ale nareszcie miała Móriego tylko dla siebie i bardzo chciała dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

On przyglądał się jej w zamyśleniu z jakimś dziwnym wyrazem tych swoich ciemnych oczu.

— Znamy się już na tyle dobrze, że chyba mogę to zrobić — powiedział w końcu. — Ale moje życie nie zawsze było takie piękne jak twoje.

— A czy moje było piękne?

— Rzeczywiście — stropił się. — Chyba też nie za bardzo. Ale, dziewczyno, przecież tobie oczy same się zamykają! I twarz płonie. Więcej już chyba dzisiajszego wieczora nie byłabyś w stanie znieść. Porozmawiamy jutro.

— Obiecujesz, że jutro mi opowiesz? — zapytała sennie, bo uznała, że Móri ma rację. Trzeba iść spać. Jedyne, o czym teraz naprawdę marzyła, to przytulić głowę do poduszki.

— Obiecuję.

Móri zaniósł ją do łóżka i zdjął jej buty. Pozwolił, by zasnęła w ubraniu, okrył ją tylko i wyszedł z alkierzyka.

Tiril miała dziwny sen. Czowała, że jest jej gorąco, okropnie gorąco. I coś ją strasznie drapało w piersi. Jęczała. Ktoś przy niej był. Ktoś, kto gładził jej rozpalone ramiona i kładł ręce na piersiach, dotykał jej skóry, a ją od tego przenikały dreszcze. Móri?

Jakie ma delikatne, chłodne dłonie. Tiril uśmiechała się przez sen.

Nagle te ręce się odmieniły, a twarz nad nią nie należała już do Móriego. To była twarz jej przybranego ojca, który po nią sięgał. Tiril wrzasnęła i zaczęła się rozpaczliwie bronić.

— Nie, nie! — krzyczała. — To ty zamordowałeś Carłę, to twoja ponura żądza, ale ja nie dam ci się zniszczyć!

Dwie silne, szczupłe dłonie ujęły jej nadgarstki i skłoniły, by leżała spokojnie.

— No, no, Tiril, przywidziało ci się. To ja, Móri. Jego osobliwa wymowa nie pozwalała się pomylić. Tiril przestała krzyżeć i powoli odzyskiwała spokój, ale jej ciałem raz po raz jeszcze wstrząsał dreszcz.

— Ja myślałam. . .

— Tak, wiem. To moja wina.

Dwa rozżarzone ogniki rozbłysły w izbie. Nero stanął obok Móriego, węszył i przyglądał się Tiril.

— Ty. . . Ty mnie dotknąłeś.

— Tak. Spałeś niespokojnie, musiałem do ciebie zajrzeć. Jesteś taka spocona.

— Właśnie. Jakby mnie zamknięto w piecu chlebowym.

— Masz jakieś czerwone plamy na szyi. Obejrzałem też twoje piersi, masz czerwoną wysypkę. To wietrzna ospa.

Tiril musiała się roześmiać, chociaż nie było jej wesoło.

Móri uśmiechnął się również.

— Będę cię pielęgnował. To nie jest ciężka choroba, szybko damy sobie z nią radę.

— Na takich sprawach też się znasz?

Nie odpowiedział, przyniósł natomiast mokrą szmatkę, którą otarł jej twarz, szyję, piersi i plecy.

— Zrób to jeszcze raz, Móri — mruknęła.

— Obmyć ci twarz?

— Nie, nie, masz takie chłodne ręce, dotykaj mojej skóry. To cudowna ulga!

Wahał się przez moment, po czym jeszcze raz przetarł szmatką piersi dziewczyny.

Tym razem jęknęła:

— Nie, nie, to zbyt zimne!

Móri siedział, nie spuszczać wzroku z jej twarzy, jakby starał się ocenić sytuację, Tiril zaś zdawało się, że w jego oczach kryje się świat jakichś nieznanych jej powykrzywianych istot w ciemnych grotach, ukrywających się w cieniu, bladych, zawodzących żałośnie, wizje z czasu, który minął, i czasu, który dopiero nadejdzie. Przerazało ją to bardzo. Ale wszystko było też niezwykle, jak odbite w pękniętym lustrze, jak ciemna woda albo pusta przestrzeń pomiędzy niebem i ziemią. Półmrok — szarobłękitny, makabryczny.

Zadrzała, głęboko wciągała powietrze jak po długim, beznadziejnym płaczu. Móri uśmiechał się smutno, jakby wiedział, czego Tiril zaczyna się domyślać, jakby wiedział, że zajrzała za drzwi, które powinny pozostać dla niej zamknięte. Później wsunął dłonie pod jej bluzkę i zaczął je wolno przesuwając po rozpalonej skórze.

Tiril odprężyla się, cienie zniknęły.

— O, tak — westchnęła. — Właśnie tak, to przynosi ulgę.

— Ach! — roześmiał się. — Cała jesteś w kropki.

— Możesz się zarazić — powiedziała sennie.

Delikatnie, bardzo delikatnie gładził jej plecy.

Tiril oddychała ciężko i gwałtownie, jakby się starała stłumić szloch. Nagle Móri cofnął dłonie i wstał. Odwrócił się i powiedział spokojnie:

— Powinnaś dużo pić. To pomaga przy gorączce.

Czuła się tak, jakby ogniste igły przenikały jej ciało. Stawały się jeszcze bardziej gorące i przenikały ją jeszcze głębiej za każdym razem, kiedy Móri jej dotykał.

Uspokój się, moje ciało! Tak... Właśnie tak...

Przyniósł jej jakiś aromatyczny napój, który ugotował na kuchni, i podtrzymał jej plecy, kiedy piła. Jego ramię paliło skórę niczym ogień, ale napój okazał się bardzo smaczny.

Opadła na poduszkę.

— Móri, już nie jestem śpiąca. Czy nie mógłbyś mi teraz o sobie powiedzieć?

Zastanawiał się. Jeśli sam był zmęczony, to nie dał tego po sobie poznać.

— No dobrze — zgodził się. — Będę ci opowiadał, dopóki nie zaśniesz. Leżysz wygodnie?

— Może byś mi poprawił poduszkę, żebym miała trochę wyżej. Pomógł jej się ułożyć. Nero spał spokojnie przy drzwiach, ogień dogasał na palenisku, a Móri opowiadał Tiril o swoim życiu.

Rozdział 20

— Pierwsze, co zapamiętałem, to ubóstwo — zaczął cicho swoim łamanym norweskim, który Tiril rozumiała już teraz bez najmniejszych trudności. — Mam na myśli prawdziwe ubóstwo, nędzę, brak wszystkiego. Bywały dni, kiedy z głodu żuliśmy jakieś korzonki i zlizywaliśmy wodę z kamieni. Ale odczuwałem też wtedy wielką, bezgraniczną miłość mojej matki. Miała tylko mnie. Ojciec... był podobno jednym z największych czarnoksiężników... swojego czasu...

Zdawało się, że słowa z trudem przechodzą mu przez gardło. Nigdy o tych sprawach z nikim nie rozmawiał.

— Jak się nazywał twój ojciec? — zapytała cicho.

Móri westchnął, jakby zirytowany, ale odpowiedział spokojnie:

— Mówiono, że nazywał się Hraundrangi-Móri i że nosił swoje imię z wielką godnością.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tiril, to nie są sprawy dla ciebie!

— Wszystko, co się w jakiś sposób wiąże z tobą, jest dla mnie. Co oznacza jego imię?

— „Hraundrangi” oznacza wysoki szczyt utworzony z wulkanicznej lawy. A Móri... sama wiesz, co to znaczy.

— Nie. Nigdy mi nie mówiłeś.

— Naprawdę? No, to oznacza „brunatny jak ziemia”. Jest to też imię wielu duchów czarnoksiężników.

Tiril zadrżała.

— I ty jesteś kimś takim?

— Nie, nie, ja nie, ale ludzie gadali, że mój ojciec był. I że on pomógł mi przyjść na świat, ukoił bóle mojej matki za pomocą cmentarnej ziemi. To wszystko razem jest okropnie głupie — zakończył, kryjąc twarz w dłoniach.

Nie takie znowu głupie, pomyślała Tiril, starając się stłumić w sobie chęć pogłaskania go po włosach. Kiedy się na ciebie patrzy, Móri, nietrudno uwierzyć, że twój ojciec pochodził ze świata umarłych, mówiła w duchu.

A kiedy Móri wciąż trwał nieporuszony, wyciągnęła rękę i musnęła jego głowę. Natychmiast się wyprostował, ale na jego twarzy dostrzegła udrapkę. Tiril cofnęła dłoń, choć wydało jej się, że on chciał ją przytrzymać. Nic jednak nie zrobił i Tiril czekała.

Jakoś się chyba uporał z myślami o swoim mało znanym ojcu i zaczął opowiadać o matce:

— Ona też wychowywała się bez rodziców. Zaopiekowała się nią pewna starsza krewna.

Tiril nie mówiła nic, ale nie spuszczała wzroku z jego tajemniczej twarzy. Kiedy nieoczekiwanie pojawił się na niej uśmiech, stwierdziła, że Móri patrzy na jej prawą dłoń, gdzie po południu narysował magiczną runę. Zachichotała.

— Wieczorem umyłam tylko jedną rękę. Żał mi było pozbywać się runy. Ale mów dalej o swojej matce, bardzo mnie to interesuje.

— Teraz muszę się cofnąć w czasie — powiedział powoli, jakby się bał, że ją przestraszy.

— Ojciec matki i jego ojciec byli czarnoksiężnikami. I obaj w roku tysiąc sześćset pięćdziesiątym szóstym zostali spaleni na stosie.

— Oj! — jęknęła Tiril.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się ze smutkiem.

— Myślę, że powinienem ci najpierw opowiedzieć co nieco o czarach, sztuce magicznej, o runach i podobnych sprawach. Jeśli masz ochotę mnie słuchać.

— Zamieniam się w słuch!

Siedziała teraz, wsparta na poduszce. Nero przeciągał się rozkosznie, coś mu się widocznie śniło, bo poruszał łapami i wzdychał.

— Powinnaś wiedzieć, Tiril, że magia to podejmowana przez człowieka próba poznania Stwórcy i Jego dzieła. Dawniej ludzie Kościoła bardzo tego nie lubili, traktowali magię jako bluźnierstwo przeciwko Bogu. Słyszałem o pewnym czarnoksiężniku, który wykrzyknął: "Ziemia jest pełna bogactw Pana" w momencie, kiedy wykluto mu oczy i za chwilę miał być spalony na stosie. Sędziowie potraktowali to jako straszne bluźnierstwo, więc zanim podpalili stos, odcięli mu język. Wszyscy, którzy szukali wiedzy poza Kościołem, musieli to bardzo dobrze ukrywać. Magowie i czarnoksiężnicy wymyślali więc tajemne znaki i runy, by ukryć to, czym się naprawdę zajmują. Kler nigdy jednak nie zapomniał, że przecież w chrześcijaństwie także jest wiele magii, bo zawiera w sobie ofiary krwi, a jego początków znajduje się śmierć człowieka. Krzyż i zwłoki to prastare magiczne symbole, jeszcze z czasów barbarzyństwa.

— Czy to obrona? — zapytała Tiril nieśmiało.

— Nie, to tylko wyjaśnienie, dlaczego wśród czarnoksiężników zawsze było tak wielu duchownych. Bo widzisz, obie te dziedziny nie są przeciwnymi biegunami ludzkiej wiedzy, one się ze sobą łączą, przenikają się.

— W każdym razie jeśli chodzi o białą magię.

— Tak. Rytuwały czarnej magii bywają niekiedy bardzo nieprzyjemne. Ale nawet Biblia nie jest wolna od okrucieństwa. Bóg ze Starego Testamentu, który uśmierca wszystkich wrogów Izraela, łącznie z niewinnymi dziećmi, wcale nie jest mniej okrutny. Głównym celem czarnoksiężników jest poznanie sił natury i próba współdziałania z nimi. Magia nie jest bezbożnością, lecz eksperymentowaniem, doskonaleniem sztuki takiego współdziałania wyobraźni, myśli i rąk, byśmy byli w stanie coś stworzyć. Teraz powinienem ci opowiedzieć o moim dziadku i pradziadku. Znaleźli się obaj w stanie wojny z pewnym proboszczem, sirą Jonem Magnussonem ze Skutilsfjördhur.

I Móri opowiedział Tiril historię o wielebnym Jonie i czarnoksiężnikach. A ona całkiem zapomniała o chorobie, słuchała wytrzeszczając oczy.

— Skąd ty to wszystko wiesz? — zapytała. — Twoja matka nie знаła przecież żadnego z tych czarowników?

Móri uśmiechnął się, słysząc to określenie.

— Pewnego razu, kiedy byłem jeszcze mały, przyjechała do nas w odwiedzinach siostra mojego dziadka. Miała na imię Thuridur. Ona również została oskarżona o czary przez tego samego proboszcza, sirę Jona. I chociaż byłem zupełnie mały, dowiedziałem się wielu szczegółów, które wydawały mi się nad wyraz dziwne. Thuridur była bardzo, bardzo stara, ale pamiętam, że opowiadała, jak to jej ojciec i brat zostali spaleni na stosie, a domostwo trzeba było podzielić. Ona ubłagała lensmana, by dał jej czapkę ojca, jedwabną z otokiem z futra. Jej matka zaś prosiła o aksamitną czapkę z jedwabnymi troczkami, która należała do jej syna. Pastor uznał, że to wstrętne, iż kobiety chcą zatrzymać coś, co należało do Jona Jonssona, starszego i młodszego. Nigdy jeszcze nie spotkał takiej zatwardziałości w grzechu. Ale go to nie zaskoczyło u takiej bezbożnicy jak Thuridur. Twierdził nawet, że w dzieciństwie uczyła się magii razem z bratem Jonem, czyli moim dziadkiem. Ludzie gadali, że w Kirkjuból była nawet szkoła. Szkoła magii.

Pastor oskarżył Thuridur, że po śmierci ojca i brata ona go prześladowa. Dręczyły go ataki jakiejś okropnej choroby, nigdy przedtem niczego takiego nie przeżywał. Wzywał Pana tak szczerze jak tylko umiał, ale czuł, że materac się pod nim kręci i bał się, że zaraz zostanie zrzucony z łóżka. Słyszał, że jakaś zjawa mówi do niego: „Jutro zwyciężymy”, nie wiedział jednak, czy są to słowa dobrego, czy złego ducha. Na trzy dni przed Zielonymi Świątkami diabły były wyjątkowo natrętne wobec siry Jona. Później trochę się uspokoiło, ale kiedy jesienią zło znowu dało o sobie znać, pastor był przekonany, że to zemsta Thuridur. Dobrał sobie jakiegoś chłopca do towarzystwa i pojechał do Kirkjuból, żeby się z nią rozmówić. Opowiadał potem, że widział wokół niej czarny krąg, ona zaś padła w kościele na kolana obok jakiejś skrzyni i modliła się. Jemu się to nie spodobało, twierdził, że ta modlitwa nie zostanie wysłuchana przez Boga. . . Kiedy odjeżdżał stamtąd, rzucił się za nim w pogoń czarny pies. Takie i podobne wydarzenia nie ustawały. Proboszcz widział w osobie Thuridur diabła, doniósł na nią do lensmana, ale nie

otrzymał żadnej odpowiedzi, co również tłumaczył jako dzieło Szatana.

W końcu Thuridur opuściła osadę nad fiordem i przeprowadziła się na drugą stronę gór. Po tym diabeł ukazywał się pod postacią gniadego konia, takiego samego, na jakim Thuridur wyjechała z Kirkjuból. Sira Jon był pewny, że czarownica zmieniła tylko przebranie.

Zimą 1656 roku Thuridur ponownie przybyła do siry Jona w Eyri. Przysięgała, że jest niewinna, i prosiła o udzielenie sakramentów. Pastor odmówił, ale Thuridur nie musiała już długo pozostawać bez sakramentów, bowiem w maju następnego roku pięciu innych kapłanów orzekło, iż ma ona prawo przystępować do komunii świętej. Ci kapłani nigdy nie wątpili, że Thuridur jest dobrą, pobożną chrześcijanką.

Kiedy Thuridur wracała do swojej nowej siedziby, w podróży przez góry towarzyszył jej stary przyjaciel proboszcza, Snäbjörn Pálsson. Ludzie gadali potem, że na ich drodze i przed nimi, i za nimi błyskało się i grzmiało, ukazywały się różne okropne zjawy. Wiadomo było przecież, że czarownikom i wiedźmom zawsze towarzyszy diabeł. Później diabeł ukazywał się pod postacią Snäbjörna Pálssona, a sira Jon podczas nabożeństwa widział nad jego głową ognistą kulę. Wiele innych znaków też prowadziło do Snäbjörna, który w końcu wyprowadził się ze Skutilsfjörður, nie był w stanie dłużej tego znosić.

Raz jeszcze proboszcz oskarżył Thuridur u lensmana i wtedy obaj zdecydowali, że trzeba jej sprawę przedstawić na tingu. Sprawy jednak nie było, bo Thuridur się spóźniła. Winą za to sira Jon oskarżył żonę jednego z lensmanów, która podobno sprzyjała czarownicy.

Na probostwie złe moce poczynały sobie tak jak nigdy dotychczas. Sira Jon nieustannie oskarżał Thuridur, lensman wciąż oddalał sprawy, co duchownego strasznie gniewało. W jego domu było już tak źle, że musiał sypiać w budynkach gospodarskich lub na dworze, mimo to ciągle go coś niepokoiło, a to biegały po nim myszy, a to dostawał okropnych mdłości. Thuridur wyszła za mąż za bardzo godnego człowieka, co pastor uznał za jawny dowód jej czarodziejskich umiejętności. Po wielu wahaniach dwunastu zaprzysiężonych mężów postanowiło w końcu, by Thuridur złożyła przysięgę przed Alltingiem. Uniknęła tego, lecz złożyła przysięgę przed sędzią w Mosfelli, niedaleko miejsca, w którym teraz mieszkała. Sira Jon był wściekły i odwołał się do Alltingu, ale pewien cieszący się zaufaniem mąż przybył tam, by zaświadczyć o jej niewinności, i protesty pastora odrzucono. Tym samym Thuridur została uwolniona od wszelkich oskarżeń.

Ale kiedy się te wszystkie sprawy toczyły, była ona ofiarą wielkich prześladowań. I teraz nadeszła jej kolej, by oskarżyć sirę Jona o zniesławienie. Wiosną tysiąc sześćset sześćdziesiątego roku przedstawiła swoją wersję wydarzeń, ale ja już nie wiem, jak się to wszystko zakończyło. Wiem tylko, że sira Jon osiedlił się w Kirkjuból, w zagrodzie, która kiedyś należała do Thuridur i jej rodziny. On, który nigdy nie mógł pojąć, że ktoś chce mieć jakieś rzeczy należące do czarno-

księżnika lub czarownicy, on sam zagarnął wszystko, co po nich zostało!

Zaczynało świtać. Nero przeciągnął się, wstał i domagał się, żeby go wypuścić.

— Myślę, że na tym powinniśmy dzisiaj poprzestać — powiedział Móri, otwierając psu drzwi. — Byłoby dobrze, gdybyś się mogła przespać godzinę czy dwie.

— Przespać? Po tym, co mi opowiedziałeś? Wiesz, mnie się zdaje, że ten pastor zachowywał się histerycznie.

Oczywiście, że tak! On był znany z tego, że wciąż jest niezadowolony, ponury i drobiazgowy. Z czasem zaczął się domagać zwrotu rzeczy, które w dawnych czasach należały do kościoła. Inni duchowni uważali to za małostkowe.

— No właśnie, a poza tym ja uważam, że on był trochę przewrażliwiony. Wyobrażał sobie, że prześladowają go złe moce.

— I ja tak myślę. W ogóle wiele wydarzeń, o których wówczas mówiono w okolicy, istniało wyłącznie w rozbudzonej wyobraźni ludzi. I to jest na Islandii bardzo powszechne zjawisko. Ludzie odurzają się też jakimiś ziołami, żeby mieć wizje.

— Co ty mówisz! No, a co się ostatecznie stało z tym starym nudziarzem?

— Żył jeszcze w roku tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym drugim. Był bardzo stary i już nie wstawał z łóżka, ale wciąż cieszył się niezłym zdrowiem.

— A Thuridur?

— Nigdy więcej jej już nie widziałem.

— Ale jej czary to nie tylko czysta fantazja?

— Nie, oczywiście, że nie! Moi przodkowie odznaczyli się wielkimi uzdolnieniami w dziedzinie sztuk magicznych. Thuridur również. Ale tacy źli, jak to chciał udowodnić sira Jon, nie byli, w każdym razie ja nie mogę w to uwierzyć.

— Ani ja. Ten pastor to szaleniec! No, a twoja matka?

— Ona też znała się na rzeczy. Wiesz, wtedy, kiedy Thuridur nas odwiedziła, wszystkie runy, księgi i magiczne symbole, które odziedziczyła, podarowała mojej matce a swojej bratanicy, córce Jona młodszego. Matka czytała potem to wszystko i uczyła się. A gdy ja podrosłem na tyle, by wiedzieć, o co chodzi, z kolei ja odziedziczyłem wszystko. Mama chciała, bym poszedł do Szkoły Łacińskiej w Holar, a tam właśnie znajdowała się kiedyś „Rödskinna”. Była tam także jedna z dwu ksiąg, noszących tytuł „Graskinna”. Bardzo dobrze ukryta, tak że nikt nie mógł się do niej dostać. Ale ja się dostałem, bo nauczyłem się już otwierać najtrudniejsze zamki. . .

Uśmiechnął się na wspomnienie tamtych wydarzeń, ale był to uśmiech bolesny, właściwie raczej grymas, bo zamek okazał się tak straszny. . .

I Móri opowiedział słuchającej go z otwartymi ustami Tiril o trzech księgach zła. O tym, że został usunięty ze Szkoły Łacińskiej w Holar nie tylko dlatego, że

odważył się przeczytać i nauczyć na pamięć wszystkiego, co zawierała „Graskinna”, lecz przede wszystkim za to, że miał zamiar wykopać złego biskupa Gottskalka pochowanego razem ze swoją księgą, czyli „Rödskinną”.

— Wiesz, Tiril — uśmiechnął się Móri. — Nikt mi nigdy nie powiedział, że wszyscy biskupi w Holar spoczywają krypcie pod podłogą kościoła. Niektórzy starali mi się wmówić, że jego grób znajduje się na cmentarzu. Pokazywano mi nawet, w którym miejscu.

Tiril nieoczekiwanie nabrała pewności, że tego właśnie Móri nigdy jeszcze nikomu nie powiedział. I że cieszy się, mogąc opowiedzieć o tym właśnie jej.

Mogłaby go uściskać z wdzięczności i szczęścia. Ale czy można obejmować kogoś takiego jak Móri? Absolutnie nie.

A przy tym mówił jednak rzeczy naprawdę straszne i dotychczas całkowicie dla niej obce.

Jak to... o tym, jak jego matka wraz z innymi czarownicami została pojmana przez ludzi lensmana i postawiona przed Alltingiem w Thingvellir. O makabrycznej podróży koło Myrka, gdzie jakoby miał się pokazywać zmarły dawno diakon, a także o wędrowce przez bezlitosne Sprengisandur i w pobliżu biskupiej siedziby w Skalholt, gdzie, jak wiedział, została pochowana druga „Graskinna” i spoczywała tam dotychczas obok znajdującego się na czarach eremity.

O tym, jak zdołał uciec do Kaldidalur, miejsca schronienia wszystkich wyjętych spod prawa, podczas gdy matka i dwaj inni czarownicy zostali straceni...

— Och, Móri — szepnęła Tiril ze łzami w głosie. — Tak mi przykro.

— Kiedy się o tym dowiedziałem — ciągnął — coś w mojej duszy umarło. Stałem się zimny i niewrażliwy, zdecydowany zrobić wszystko, by osiągnąć w życiu jeden cel: stać się najznakomitszym czarnoksiężnikiem na świecie! Do tego jednak potrzebne mi są księgi: „Rödskinna” i „Graskinna” druga.

Następnie opowiedział jej jeszcze o tym, jak trafił do Szkoły Łacińskiej w Skalholt, gdzie dowiedział się, że „Graskinna” została już wywołana z ziemi przez człowieka nazwiskiem Eirikur z Vogsos. Móri poznał całą treść księgi znajdującej się w szkole, a potem pobierał nauki u owego Eirikura.

Był to dość wesoły okres jego życia, więc też i nastrój w małym domku na Laksevag bardzo się poprawił, kiedy o tym opowiadał. Tiril zaśmiewała się serdecznie z rywalizacji między Eirikurem a kobietą imieniem Stokkseyri-Disa i z przygody Móriego z małymi diabełkami.

— A potem znowu musiałem uciekać — powiedział Móri; oczy mu pociemniały na wspomnienie tamtych wydarzeń.

— Chciałbym zdobyć „Rödskinnę”, bo wtedy moje wykształcenie byłoby, pełne. Ale wyznaczono cenę za moją głowę i nie mogłem się pojawić ani w Holar, ani w ogóle na Północy. Pozostało mi tylko opuścić kraj.

— No i pojawiłeś się tutaj — stwierdziła Tiril. — Z czego ja cieszę się bardzo. Ale to się chyba nie stało tak całkiem niedawno, prawda? Moim zdaniem jesteś

w Norwegii od kilku lat.

— Tak, przenosiłem się z miejsca na miejsce. Gdybym potrafił zerwać z uprawianiem magii, mógłbym się gdzieś osiedlić na stałe. Ale nie chcę odrzucać całej wiedzy, jaką posiadam, tylko z powodu głupoty i przesądów ludzi. Tiril, ja nie robię nic złego, chociaż mógłbym, bo czarna magia, na której znam się bardzo dobrze, posiada straszną siłę.

Tiril ujęła jego dłoń.

— Ja wiem, że nie chcesz robić nic złego — powiedziała serdecznie. — Spotkanie z tobą to najlepsze, co mi się w życiu przydarzyło.

Spoglądał na nią w zamyśleniu, a ona miała wrażenie, że w duchu zadaje jej pytanie: „No, a co z Erlingiem?”, ale jakby nie chciał ani nie mógł zadać go głośno. To było dziwne uczucie, coś jakby milcząca wymiana myśli. A przecież Tiril nie miała żadnych tego rodzaju uzdolnień.

Ale Tiril wyczuwała coś bardzo istotnego. Bo w telepatii ważniejsze są zdolności nadawcy niż odbiorcy.

— Dziękuję ci, Tiril. Teraz jednak spróbuj zasnąć.

— No, a ty?

— Masz rację — odparł z uśmiechem. — Mnie się też przyda chwila snu. Dobranoc!

— Dobranoc, Móri, mój najlepszy przyjacielu. A może raczej powinniśmy powiedzieć: Dzień dobry?

— Chyba tak.

Móri opuścił alkierzyk.

Tiril układała się do snu z uśmiechem zadowolenia. Czuła się tutaj całkowicie bezpieczna.

Erling wrócił koło południa i wtedy Móri jeszcze spał. Nie chcieli go budzić, usiedli oboje z Tiril na sękatej ławce pod ścianą domu. Erling żartował z jej kropkowanej cery.

— Wietrzna ospa. Mam nadzieję, że ty też się zaraziłeś — odwzajemniła złośliwość. — Móri dał mi wieczorem lekarstwo przeciw gorączce i dzisiaj czuję się już całkiem nieźle. W każdym razie nie chce mi się leżeć w łóżku. No? A co słychać w mieście?

— Sprawa Móriego nie wygląda najlepiej — oświadczył Erling. — Wójt i pastor postawili na nogi wszystkich swoich ludzi, mają jak najszybciej znaleźć człowieka, który się w naszym mieście zajmuje czarami. Tu i ówdzie ludzie gadają, że robi to mężczyzna. Czarnoksiężnik. Pogłoski dotarły aż do Stavanger, gdzie podobno niedawno wzburzył całe miasto, przywracając zdrowie śmiertelnie choremu człowiekowi.

— Powinni mu być za to wdzięczni!

— Ale nie lekarze. Doktor, który uznał człowieka za nieuleczalnie chorego, nie zniesie takiego zagrożenia dla swojej reputacji. Nieuleczalnie chory pacjent

powinien umrzeć i nikt nie ma prawa zmieniać wyroku.

— Jesteś złośliwy — uśmiechnęła się Tiril. — Ale rozumiem, że Móri jest w niebezpieczeństwie. Tylko że ja bardzo nie chcę, żeby wyjechał, nie chciałabym go utracić.

— Masz przecież mnie — powiedział Erling żartobliwie, lecz wrażliwe ucho wyłowiłoby napięcie w jego głosie.

Ale Tiril nie miała wrażliwego ucha.

— Wiem, że mam ciebie — uśmiechnęła się serdecznie. — I bardzo ci za to dziękuję.

— I wiesz, oczywiście, że pomogę ci z pogrzebem twoich przybranych rodziców — rzekł znowu, a Tiril ogarnęły okropne wyrzuty sumienia. W ogóle o tym nie pomyślała. — Później, kiedy już się uspokoi, będziesz z pewnością mogła wrócić do domu. Wszystko tam przecież należy do ciebie. I Nero będzie mógł zamieszkać z tobą, dopóki zechcesz.

— Jakoś nie zastanawiałam się nad sprawami praktycznymi — przyznała zgnębiona. Skuliła się, jakby jej było zimno. — Akurat teraz nie mam najmniejszej ochoty wracać do domu.

— Rozumiem cię. Zresztą wcale nie musisz tego robić. W każdym razie jeszcze nie teraz. Wciąż za mało wiemy, kto na ciebie napadł i dlaczego.

— Za mało, powiadasz? My przecież nie wiemy nic.

Z domu wyszedł Móri i powitali go chóralnym: „Dzień dobry, śpiochu!”, a potem Erling zaczął opowiadać, czego dowiedział się w mieście.

— Jakichś dwóch obcych ludzi dostało się wczoraj do domu konsula, jeszcze zanim umarła twoja przybrana matka. Podobno widziano ich wcześniej, i to wychodzących. Być może po śmierci konsula, ale trudno ustalić godzinę.

— W jaki sposób tam weszli? — zapytał Móri, witając się jednocześnie z uszczęśliwionym Nerem. Psy witają człowieka zawsze tak samo radośnie, niezależnie od tego, czy go nie było rok, czy kilka minut.

— Oświadczyli, że są stolarzami i że konsul ich zamówił.

— A jak wyglądali? — zapytała Tiril.

Erling odwrócił się do niej.

— Jeden był w średnim wieku i miał kozią bródkę, a drugiego trudno opisać. Młodszy, bez znaków szczególnych.

Tiril aż podskoczyła.

— To oni! — zawołała. — To oni napadli na mnie koło cmentarza. Jeden ma na imię Georg, teraz sobie przypomniałam.

— Bardzo dobrze, wiemy w każdym razie, że wszystkie napady mają ze sobą jakiś związek — stwierdził Erling. — No, ale też tego się właśnie przez cały czas domyślaliśmy. Tiril, musimy odwiedzić żonę kowala, żeby uzupełnić nasze informacje o twoich prawdziwych rodzicach.

Nagle Tiril spostrzegła, jaki pochmurny jest dzisiejszy dzień.

— Rodzice, powiadasz? Dotychczas mowa była tylko o matce.

— Tak, no i to zresztą logiczne, bo przecież mówiono, że urodziła cię w tajemnicy.

— Masz rację.

— A tymczasem ojciec może odgrywać znacznie ważniejszą rolę, niż przypuszczamy.

Tiril zamyśliła się, zrobiło jej się teraz podwójnie przykro. Po części ze względu na prawdziwych rodziców, którzy nie mieli odwagi się ujawnić, woleli uciekać się do morderstwa, a po części dlatego, że poczuła się bardziej niż kiedykolwiek nie chciana.

Z coraz większą niechęcią do samej siebie stwierdziła, jak mało uwagi poświęca swoim przybranym rodzicom. Była oczywiście wstrząśnięta brutalnością zadanej im śmierci, współczuła przybranej matce, ale żaloby nie potrafiła w sobie wzbudzić.

Spostrzegła, że Erling i Móri ją obserwują. Czy to możliwe; że wiedzą, co czuje? Choć rzeczywiście na jej bezbronnej, szczerej twarzy przeżycia uwidaczniały się jak w otwartej księdze, samotność, bezradność, lęk, i obu młodych mężczyzn ogarnęło pragnienie, by ją ochraniać w tym bezlitosnym świecie. Miała przecież dopiero szesnaście lat, przyniosła ze sobą na świat tyle pogody i tyle miłości bliźniego, a teraz to wszystko zostało jej bez miłosierdzia odebrane. Gwałt, podłość i okrucieństwo skierowano przeciwko tej istocie, która wierzyła, że ludzie są dobrzy. Obaj widzieli to wszystko, ponieważ sympatyczne i samodzielne dziecko, jakim Tiril była do niedawna, wyrosło i przemieniło się w bardzo pociągającą pannę. Nie tak piękną jak Carla, stwierdzał Erling, ale pełną wielkiego wdzięku i dobroci, która wypływała z jej wnętrza i odbijała się w rysach twarzy.

Zebraли potrzebne rzeczy i zamierzali jechać do Bergen.

— Móri — powiedziała Tiril, gdy Erling poszedł po swojego wierzchowca.

Czarnoksiężnik natychmiast do niej podszedł.

— Móri... Ciebie nie tylko „Rödskinna” ciągnie z powrotem na Islandię, prawda? Ty po prostu tęsknisz do rodzinnych stron. Do swojego kraju. Poznałam to po twoich oczach, kiedy mi opowiadałeś o swoim życiu.

— Tak — uśmiechnął się ze smutkiem. — Masz rację. Ja myślę, że Islandczyk będzie zawsze tęsknił do ojczyznej wyspy. Do jej dumnej, chłodnej urody, do martwych, pokrytych lawą wulkaniczną i kamieniami przestrzeni. Do zielonych wzgórz, których monotonię burzy czasem żółć siarczanych oparów, a czasem kobierce barwnych północnych kwiatków. Do kraju, w którym lód i ogień sąsiadują ze sobą niemal na wyciągnięcie ręki. Bo widzisz, Tiril, na Islandii wciąż dokonuje się dzieło stworzenia. Powinnaś kiedyś zobaczyć moją ojczyznę.

Była zafascynowana blaskiem jego oczu, kiedy jej to wszystko mówił, widziała, jaką miłością darzy tę wyspę, która dla niej znajdowała się gdzieś na krańcach świata.

— Nie chcę, żebyś odjeżdżał — powiedziała cicho. — A gdybyś kiedyś musiał, to zabierz i mnie na Islandię.

Na myśl o tym oczy mu rozbłyły, ale zaraz znowu przygasły.

— To niemożliwe, kochanie — westchnął. — Tam także mnie poszukują. Dopóki jednak się nie dowiedzą, że wróciłem po latach spędzonych w Norwegii, będę bezpieczny. Chcę tylko zabrać „Rödskinnę”.

— Chyba nie jest to aż takie proste — roześmiała się.

Na twarz Móriego powróciła smutna powaga.

— Nie, to wcale nie będzie proste. — Nagle znalazł się bardzo daleko od małego domku w Laksevåg. — Ale, ja sobie z tym poradzę — szepnął.

— Hej! — zawołała Tiril. — Ja tu jeszcze jestem! Dlaczego twoje myśli błądzą gdzieś po bezdrożach?

Ocknął się i rozglądał wokół, jakby nie wiedział, gdzie się znajduje.

— Wybacz mi!

— Wyglądałeś bardzo dziwnie — powiedziała z wyrzutem. — Coś mi się zdaje, że nie polubię tej magicznej książki w czerwonej oprawie.

— I wcale nie musisz tego robić — odparł. Podczas gdy Tiril porządkowała izbę przed wyjazdem, obaj mężczyźni dosiedli koni.

— Jaka to śliczna i miła dziewczyna — powiedział Erling. — Potrzebuje kogoś, kto by ją wspierał. Wiele myślałem o...

— O czym? — zapytał Móri bardzo ostrożnie, z rezerwą, ale Erling nie zwrócił na to uwagi. Przepelniała go wola działania.

— Straciłem narzeczoną, ale zastanawiam się, czy los nie postawił na mojej drodze innej, co najmniej równie pięknej i dobrej.

— Co chcesz, panie, przez to powiedzieć? — zapytał Móri głucho.

— Zastanawiałem się... I nie widzę przeszkód... Dlaczego nie miałbym się ożenić z Tiril? To wielka osobowość, sam przecież zauważyłeś. O, już idzie, w takim razie możemy ruszać.

Móri posłał mu ponure spojrzenie, lecz Erling nie zareagował. Uśmiechał się do dziewczyny biegnącej ku nim ze swoim psem.

W Bergen dwaj mężczyźni prowadzili bardzo nieprzyjemną rozmowę, słowa padały niecierpliwe, pełne irytacji.

— Gdzie ona jest? Gdzie się ukrywa? — powtarzał starszy z dość rzadką bródką. — Kiedy już się wydaje, że ją mamy, ona znowu znika bez śladu.

— Magia — mówił młodszy. — Czary.

Kompan posłał mu podejrzliwe spojrzenie.

— Jak tak dalej pójdzie, sam w to uwierzę. W końcu ludzie nie gadają bez przyczyny, a ostatnio płótek coraz więcej. Mówią, że ktoś rzucił urok na konsula. Musimy ją znaleźć, Georg. Żeby nie wiem co.

— Ale tych dwoje udało nam się przecież usunąć z drogi.

— To nie ma znaczenia. Rozkaz był, żeby ją załatwić, ona jest najważniejsza.

— Wkrótce ją złapiemy — powiedział młodszy, chcąc pocieszyć kompana. Ale w skrytości ducha widział sprawy w innym świetle. Zadrżał na myśl, że są otoczeni przez jakieś siły nieczyste, magię, złe moce, czary. Takich spraw bał się śmiertelnie.

Rozdział 21

Kiedy wchodzili do tajemniczej, pełnej grzmotów i rozpalonego żaru kuźni, wybiegł im naprzeciw wzburzony kowal. Oczy płonęły mu z podniecenia i niepokoju.

— Ach, państwo są poszukiwani przez policję. Wszyscy troje — dudniący głos dobywał się z potężnej piersi. Mięśnie napinały się pod spoconą skórą przy każdym ruchu.

Troje przybyszów przystanąło w wejściu.

— Naprawdę nas szukają? — zapytał Erling. — Mnie też?

— Też, panie Müller. Ponieważ wczoraj zniknął pan z domu konsula razem z panią Tiril. Wójt przychodził tu już osobiście pytać, czy państwa nie widziałem. A później przylazły znowuż jakieś dwa podejrzane typy i dopytywały się o panią.

— Jeden starszy, z kozią bródką? A drugi młodszy?

— Otóż to, tak jak pan mówi! I potem jeszcze raz przyszedł wójt z samym biskupem, żeby się zapytać o was, mój panie — zwrócił się kowal do Móriego.

— Wiedzieli, jak mam na imię? — przestraszył się Móri.

— Nie, ale z opisu to był pan.

Tiril chciała usłyszeć ten opis. . .

Móri jednak nie dopuszczał jej do głosu.

— Czy oni łączyli mnie z osobą panią Tiril?

— Nie, nie, to dla nich dwie oddzielne sprawy.

— Bardzo dobrze — odetchnął Móri z ulgą.

— Ale wy, panie, musicie natychmiast opuścić nasze miasto — upierał się kowal. — Wydano rozkaz, żeby was zabić. Każdy posterunkowy, który was zobaczy, ma prawo strzelać bez uprzedzenia. Za. . . — kowal ściszył głos. — Za czary, Wasza Wysokość.

O Boże, co on właściwie sobie wyobraża? Myśli, że Móri to Szatan we własnej osobie czy jak? — zastanawiała się Tiril rozbawiona, ale przestraszona.

— Gdyby wolno mi było wam radzić, mój panie, to pewien statek wychodzi wieczorem w morze.

— Dokąd płynie?
— Będzie zawijał do wielu portów, można wybierać.
— Właśnie takiego statku powinienem unikać, zostanie z pewnością gruntownie przeszukany.
— Cóż, no to może rybacki kuter, który wypływa na nocny połów?
— Czy one pływają daleko?
— Różnie. Niektóre do Szetlandów, do Wysp Owczych, na Islandię albo na Grenlandię. Inne łowią na południu, a jeszcze inne na wodach tuż przy brzegu.
— A te większe kutry? Czy zawijają do portów w obcych krajach?
— Zdarza się, że tak.
— No to wspaniale! — ucieszył się Móri.
— Ależ, Móri, nie możesz przecież... — zaczęła Tiril, on jednak ujął ukradkiem jej rękę i mocno uściskał. Ostrzeżenie, by nie powiedziała za wiele.
Porozmawiali z kowalową i dostali bardzo niedokładny adres w Christianii do kuzynki znajomego męża handlarki i tak dalej. „Mieszkają podobno w nie malowanym domu, trzeba pójść jedną z wąskich uliczek przy jednym z nabrzeży portowych...” Postanowili, że jednak sami pójdą do tej handlarki ryb. To znaczy mieli to załatwić Erling z Mórim, Tiril natomiast musiała się ukryć w biurze Erlinga.
— Móri nie może przecież tak sobie chodzić po ulicach — protestowała Tiril.
— Przecież mogą go zastrzelić!
— Będziemy ostrożni — zapewnił Erling. — Ale musi pokazać drogę, a poza tym trzeba się zająć jego koniem i... Nie, Tiril, nie przeszkadzaj mi, utrudniasz sprawy, które i tak nie są łatwe! Uzgodniliśmy z Mórim, że dzisiaj ja przenocuję u ciebie. Jutro rano poważnie zajmiemy się twoimi problemami, porozmawiam z wójtem na temat tych zbirów, którzy na ciebie napadli.
Tiril bardzo niechętnie poddawała się jego poleceniom. Tyle chciała powiedzieć, serce krajało jej się z bólu, czuła się bezradna, wiedziała jednak, że powinna milczeć. Od dzieciństwa uczono ją przecież, że „kobieta w towarzystwie milczy”. Brutalna zasada, wymyślona przez mężczyzn, ale co mogła na to poradzić?
Gotowość posłuszeństwa i pokory nie trwała jednak zbyt długo. Kiedy wyszli z kuźni, dosłownie eksplodowała, wykrzykiwała oskarżenia i protesty. Erling poszedł pierwszy, została sama z Mórim.
— Nie wolno ci wyjeżdżać z kraju, Móri — zakończyła.
— Ale ja sam tego chcę — uciał. — Mówiłem ci przecież: moje wykształcenie jest niepełne.
— Tak, wiem, i nie będzie pełne, dopóki nie znajdziesz tej przeklętej książki oprawionej w czerwoną skórę, wiem. Nie rozumiem tylko, do czego ci ona potrzebna.
— Do bardzo wielu rzeczy — oświadczył.
— Ale ja sobie nie dam bez ciebie rady — żaliła się.

Móri jakby nie wiedział, co powiedzieć. W jego mrocznych oczach pojawił się dziwny cień.

— Masz przecież Erlinga.

— Erlinga? Erling należy do Carli!

— Carla nie żyje, Tiril. Nie możesz wymagać, by on do końca życia był sam. Na moment przycichła, a potem wyszeptła ledwie dosłyszalnie:

— Biedna Carla.

— Co masz na myśli?

— No, jeśli Erling znajdzie sobie inną narzeczoną. . .

Móri spojrzął na nią spod oka, jakby się zastanawiał, do jakiego stopnia osoba w jej wieku może być naiwna.

Już bez protestów Tiril pozwoliła się zamknąć w małym pokoiku przylegającym do biura Erlinga, potem obaj mężczyźni wyszli, a jej pozostawało czekać i przyglądać się półkom, na których przechowywano stare dokumenty przewozowe.

Udręczona przeżyciami i zmęczona chorobą wkrótce zasnęła.

Erling i Móri nie zastali handlarki ryb, poszła do miasta, nikt, nie wiedział dokąd.

Dzień miał się ku końcowi. Obaj młodzi ludzie stali na nabrzeżu, ukryci za narożnikiem portowego magazynu. Daleko po drugiej stronie zatoki majaczył w mroku przylądek Nord, za nim, w głębi łądu, znajdowało się Laksevag.

— Twój kuter odpływa już lada moment — powiedział Erling.

— Tak. Uzgodniłem wszystko z szyprem. Zabierze mnie na Wyspy Owcze, a stamtąd nietrudno dostać się na Islandię. Zaopiekujesz się moim koniem?

(Erling pozwolił mu nareszcie mówić do siebie „ty”).

— Oczywiście! Dostanie w stajni najlepsze miejsce.

— Wiem. Dziękuję! I. . .

— Tiril też się, rzecz jasna, zaopiekuję. Nie zmieniłem zdania i naprawdę chcę się z nią ożenić.

Móri nie zaraz odpowiedział, jakby szukał właściwych słów.

— Zasłużyła sobie na twoje wsparcie w każdej sytuacji — rzekł w końcu. — To znaczy, oboje zasługujecie na siebie nawzajem.

— Dzięki ci. Ciebie ona też bardzo lubi, Móri.

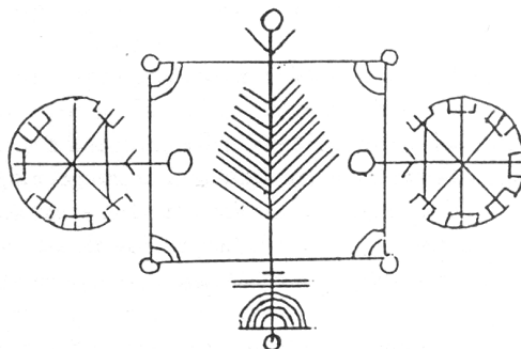
Islandczyk wciąż miał problemy z doborem słów.

— Strzeż jej, Erlingu! Tutaj. . . Daj jej ten znak. . . to zapewni jej bezpieczeństwo! Ten znak ma wielką moc, ochroni ją przed wszelkim złem.

Wolno, jakby z wahaniem czy może wbrew swojej woli, podał przyjacielowi nieduży przedmiot.

— Co to jest? — zapytał Erling. — Rysunek na drewnie?

— To runa życia i tak też się nazywa: Znak Życia. A drewno to szlachetna sosna, bardzo trudne do zdobycia na Islandii, gdzie w ogóle drzewa prawie nie rosną.



— Ja nie mógłbym takiego dostać? — poprosił Erling.

— Znakomicie poradzisz sobie i bez niego. A zdobycie Znak Życia kosztowało mnie wiele wysiłku i cierpień. Linie znaku zostały wypełnione krwią z największych naczyń krwionośnych mojego ciała, a wycinanie znaku musi się odbywać w specjalnych warunkach. Znak został wykonany dla mnie, lecz teraz chciałbym, żeby go miało to biedne dziecko.

— A czy ja nie mógłbym dostać znaku, który przyciąga do siebie bogactwo?

— Nie masz już dość pieniędzy?

— Kupiec nieustannie podejmuje wielkie ryzyko. Żądza posiadania może człowiekowi dać wszystko, ale może mu też wszystko odebrać. Potrzebuję pewności, że powodzenie mnie nie opuści.

— Nie, Erlingu, jesteś moim przyjacielem, więc powiem ci, że znak, jakiego żądasz, należy do najstraszniejszych. Nie, nigdy nie próbowałem go dla siebie zdobyć i nie chcę nawet o nim myśleć.

— Opowiedz, jak się go tworzy. Zniosę najbardziej drastyczne szczegóły.

— Może ty. Mnie jednak bardzo to niepokoi, wszystko się we mnie burzy...

Móri milczał przez chwilę, lecz Erling popędzał go niecierpliwie:

— No, nad czym się zastanawiasz?

— Nie lubię o tym mówić — westchnął Móri. — Ale chciałbym, żebyś zrozumiał, jak trudna do zdobycia jest tego rodzaju magiczna runa, ile to kosztuje... Najpierw trzeba narysować specjalny znak, który wkłada się do woreczka na pieniądze. Potem musisz sobie znaleźć człowieka, który pozwoli ci, byś, kiedy umrze, posłużył się jego skórą. Musiałbyś więc zaraz po jego śmierci pójść nocą na cmentarz i wykopać zwłoki, a następnie ściągnąć z nich skórę od pasa w dół. Trzeba bardzo uważać, by w tych magicznych, czy jak to inaczej nazywają: trupich, spodniach nie porobić dziur. I musisz włożyć gotowe „spodnie”, czyli skórę

zmarłego, która przylgnie mocno do twojego ciała. Przyrosną w końcu do ciebie i pozostaną tak dopóty, dopóki nie znajdzie się ktoś inny, kto będzie chciał je od ciebie przejąć. Żeby jednak zaczęły działać zgodnie z przeznaczeniem, musisz ukraść monetę najbiedniejszej wdowie, i to w kościele, podczas najważniejszego w roku nabożeństwa, zanim zostanie odczytana ewangelia. Najlepiej, żeby się to stało następnego dnia po zdobyciu spodni. Wkładasz wtedy monetę do kieszeni spodni razem ze znakiem, który wykonałeś na początku. Od tej chwili spodnie będą przyciągać do siebie pieniądze, a twoja sakiewka nigdy nie będzie pusta. Musisz tylko zadbać, by wydać ukradzioną monetę. Spodnie są jednak obciążone przekleństwem, które sprawia, że bardzo trudno je zdjąć. I to, czy zdołasz się ich pozbyć przed śmiercią, zależeć będzie od twojej siły psychicznej. Jeśli umrzesz mając spodnie na sobie, twoje ciało zostanie roztoczone przez wszy. By się pozbyć spodni, musisz się umówić z innym człowiekiem, który zgodziłby się je przejąć. Można to zrobić następująco: musisz odciąć prawą nogawkę i postarać się, by ten drugi człowiek ją na siebie włożył, dopiero wtedy ty ściągniesz lewą. Bo kiedy tamten włoży prawą nogawkę, to nie będzie już odwrotu. Nawet jeśli wtedy pożaluje tego, co uczynił, to lewa nogawka również się znajdzie na nim, choć on sam nie będzie wiedział, jak do tego doszło. Spodnie zachowują moc niezależnie od tego, kto je nosi, i nigdy się nie niszczą.

Twarz Erlinga stawała się coraz bardziej zielona. Móri jednak ciągnął swoją opowieść:

— Trupie spodnie traktowane są jako rekwizyt białej magii. Sam więc rozumiesz, czym jest czarna magia. Uwierz mi na słowo: ja się czarną magią nie zajmuję!

— Wiesz jednak o wielu takich sprawach, które nie mogą być wynoszone na światło dnia.

— Nie mogę zaprzeczyć, wiem. To część mojego wykształcenia. Ale wszystko zależy od człowieka, ile z tego, co wie, chce wykorzystywać.

Erling zawołał podniecony:

— A ty, który tyle potrafisz. . . Dlaczego nie sprawisz, byś był niewidzialny? Mógłbyś się z łatwością ukryć przed ludźmi wójta i biskupa.

— Nie — odparł Móri. — Nie chcę, bo to by musiało pociągnąć za sobą śmierć i cierpienie kilku zwierząt.

Erling uśmiechnął się krzywo.

— Nero to czarny pies. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby go wykorzystać do jakiegoś rytuału?

— Nigdy! — uciał Móri. — Dla mnie on jest święty.

Erling rozumiał, co tamten ma na myśli.

— Jesteś bardzo samotny — stwierdził.

— I chcę być — odparł Móri.

Młody potomek hanzeatyckiego rodu pospiesznie zmienił temat:

— Długo się zastanawiałem nad tajemniczym pochodzeniem Tiril. I nad słowami tamtego lichwiarza: „Proszę nie zapominać o warunkach!” A także o tym, co powiedział po śmierci Carli: „Gdyby tamta druga zmarła, to można by podejrzewać, że...”

— Tak — przyznał Móri. — Ja także się nad tym zastanawiałem. Może Tiril posiada jakieś środki, których nie można uruchomić, póki ona żyje?

— Właśnie to samo przyszło mi do głowy! Myślisz, że są to pieniądze niedostępne przed upływem określonego czasu? Jakiś spadek, który zostanie wypłacony, gdy dziewczyna skończy tyle a tyle lat?

— Tak można przypuszczać. No, ale znowu ta historia, że konsul Dahl zjawił się w jej pokoju w nocy z czymś, co przypominało jedwabny szal... Jakby chciał ją udusić! Gdyby to połączyć ze słowami lichwiarza...

— Zdaje się, że obaj myślimy to samo — rzekł Erling sucho. — Mogło być tak, że rodzona matka Tiril dokonała na rzecz córki zapisu na określoną sumę, ale uczyniła klauzulę, iż w razie śmierci dziewczynki suma przechodzi na jej przybranych rodziców. Jako podziękowanie.

— W każdym razie brzmi to prawdopodobnie. Ale skoro tak, to Dahl musiał zmienić pierwotne plany. Widocznie znalazł jakieś inne dojście do pieniędzy.

— Szantaż, tak jest. Ale przez to stracił życie. I on, i jego żona.

— No i w tym miejscu zaczyna się problem. Kto i dlaczego chce zamordować Tiril?

— Otóż to! — Erling zgadzał się z Mórim. — Tylko mi nie mów, że matka Tiril miała dość płacenia i po szesnastu latach chciała z tym skończyć, bo nie uwierzę.

— Ja także nie. W tę sprawę musi być zamieszany ktoś jeszcze. — Móri zamyslił się, a potem powiedział półgłosem:

— Jest ktoś, kogo mógłbyś zapytać.

— Wiem. Lichwiarz. Najwyraźniej był bardzo dobrze wprowadzony we wszystkie układy. Wciąż się nad tym zastanawiam, mam nadzieję, że z moimi stosunkami w mieście odnajdę go bez trudu. Po prostu nie miałem czasu do niego pójść.

— Ale jutro...?

— Jutro to będzie pierwsza sprawa, jaką się zajmę. Może w końcu natrafimy na ślad matki Tiril. Wierz mi, odnajdę też obu drani, tego całego Georga, czy jak mu tam, i jego koleżkę, a także tego, czy tych, którzy za nimi stoją.

— Znakomicie! Bardzo bym chciał ci pomóc, ale cóż. Muszę uciekać.

Erling uśmiechnął się szeroko i serdecznie:

— Życzę ci, byś zdobył tę wymarzoną czerwoną księgę, a potem wracaj do nas jako w pełni wykształcony czarnoksiężnik, bo będę potrzebował twojej pomocy! I już teraz chciałbym cię jak najserdeczniej zaprosić na ślub mój z Tiril, choć

jeszcze nie wiem, kiedy to będzie. Mam nadzieję, że wkrótce. Tiril ma pieniądze, więc moja rodzina z pewnością ją zaakceptuje.

Móri nie odpowiedział nic, jego oczy jarzyły się w mroku. Z bocznej uliczki doszły do nich jakieś rozkazy, a potem kroki maszerującego do miasta oddziału.

Móri zwrócił się do Erlinga:

— Do widzenia! Opiekuj się nią jak najlepiej! I dzięki za życzliwość!

— Do widzenia, mój niezwykły przyjacielu! Niech cię szczęście nie opuszcza!

Móri uśmiechnął się, pochylił głowę w ledwie dostrzegalnym ukłonie i poszedł nabrzeżem w stronę czekającego statku. Erling patrzył, dopóki sylwetka Islandczyka nie rozplynęła się w ciemnościach.

Rozdział 22

Dopiero późnym wieczorem młody Müller wrócił do biura, żeby zabrać Tiril. Pojechali do Laksevåg, ona za nim na końskim grzbiecie, co uważała za bardzo przyjemne i niezwykle. Nero biegł obok konia.

— Rozumiem, że dzisiaj twoja kolej na pełnienie roli niańki — śmiała się Tiril. — Ale to, niestety, nie jest specjalnie zabawne zajęcie.

Erling zauważył ze wzruszeniem, że choć dziewczyna żartuje, to jest śmiertelnie zmęczona, a przy tym smutna i niepewna. Ostatnie dni nie były dla niej łatwe, ale teraz Erling obiecywał sobie, że zrobi wszystko, by ją chronić.

I naprawdę szczerze tego pragnął.

Nie miał odwagi powiedzieć, że Móri odjechał. Jutro rano jej to wyjaśni, tej nocy powinna się wyspać.

On sam nie był przyzwyczajony do sypiania na kamiennej podłodze w kuchni, gdzie słyszało się wszystkie szmery i szelesty z całego domu, ani do tego, by psi pysk pochylał się nad jego twarzą, obwąchiwał i lizał wiele razy w ciągu nocy. Od czasu do czasu Nero układał się obok Erlinga i przyjemnie grzał go w plecy.

W ciągu tej niespokojnej nocy młody człowiek zdołał przemyśleć wiele spraw. Ku swemu wielkiemu zdziwieniu odkrył, że wspomnienie Carli zbladło w ostatnich dniach, rozwiało się jak mgła na wietrze. Carla była pogrążoną w marzeniach księżniczką, istotą, którą ktoś powinien przenieść przez życie na rękach. Taka niewiarygodnie śliczna i zwiewna, zawsze taka delikatna, wymykająca się z rąk, zawsze ze spłoszonym uśmiechem na wargach.

Z wyrazem niepojętego bólu i wstydu w oczach.

I te nieustanne łzy, których nie rozumiał.

Teraz wiedział, dlaczego; wiedział, skąd to wszystko.

Carla, Carla, piękny motylek, któremu opalono skrzydła! Mój maleńki, nieszczęśliwy kwiat, który zmiądzono, pączek róży, któremu nie pozwolono się rozwinąć!

Myśl o Carli sprawiała mu ból, ale jakże daleka zdawała się teraz jej postać. Wspomnienia się zacierały, zanikały...

Tiril reprezentowała zupełnie odmienny typ. Pełna życia, stanowcza, konkret-

na. Z taką samą naturalnością odnosiła się do ludzi z towarzystwa, jak i do biedaków z ulicy. Była taka młodziutka, ale tajemnicza i ekscytująca. Jeszcze nie dojrzała, ale już obiecywała tak wiele. Coś ciągnęło go do tej dziewczyny, choć nie umiał określić swych uczuć. Młodzi ludzie z jego sfery, wychowywani w szacunku dla niewinności i skromności, powinni wybierać istoty takie jak Carla (choć on sam niewinny nie był, o czym myślał niechętnie). W jego świecie nie było miejsca na osoby takie jak Tiril. Bo kim jest Tiril? Czym jest ta dziewczyna?

Wiedział tylko, że fascynuje go ona coraz bardziej. Że pragnie być przy niej, chronić ją, nauczyć się ją rozumieć i oswoić tę bujną naturę.

Nie, to ostatnie to nieprawda. Nie chciał pozbawiać jej naturalności ani radości życia, ani nawet tej prymitywnej zmysłowości.

Chociaż o swojej zmysłowości Tiril akurat nie wiedziała nic. Jeszcze nie.

Coś w głębi duszy Erlinga dziękowało Stwórcy za to, że Móri opuścił ich kraj na zawsze. Była to niegodna myśl, której za nic by nie ujawnił, ale dawała o sobie znać wyraźnie.

Tiril... dziewczyna, o którą warto zabiegać. Ale trzeba działać powoli. Rozkoszować się tym. A potem dać jej wszystko, czego tylko mogłaby na tym świecie zapragnąć.

Tiril uznała, że to bardzo niezwykle uczucie obudzić się rano z myślą, iż na kuchennej podłodze jej małego domku śpi młody człowiek z najlepszej rodziny w mieście. Erling był jednak eleganckim i dobrze wychowanym kawalerem, traktował tę niezwykłą sytuację z wielką naturalnością i z apetytem zajadał skromne śniadanie. Tiril wiedziała, że Erling musi jechać do miasta, gdzie czekają na niego codzienne obowiązki, ale dostrzegała, że dręczy go co innego.

Kiedy nareszcie powiedział, co się stało, poczuła, że cała radość życia ją opuszcza. Jęknęła z rozpaczą i chciała wybiec na dwór, ale Erling ją zatrzymał.

— Kuter odpłynął, Tiril. Nic już nie możesz zrobić.

— Ale ja mu nawet nie powiedziałam „do widzenia”! Jak on mógł!

— Chciał odejść właśnie tak, bez bolesnych pożegnań.

— Żeby uniknąć moich protestów! Boże, jakie to małostkowe! Jakie tchórzliwe!

— Martwił się o ciebie, nie chciał, byś cierpiała, nic więcej!

— Ech, wy mężczyźni! Nigdy niczego nie rozumiecie!

— A może on sam nie był w stanie się z tobą pożegnać?

Ta myśl trochę ją uspokoiła.

— Ale on, oczywiście, wróci?

Erling Müller wymierzył śmiertelny cios.

— Nie, on już nigdy do Norwegii nie wróci. Tiril... Och, Tiril, co ty... — Objął ją mocno za ramiona i spojrzał jej w oczy. — Nie wiedziałem, że jesteś tak

bardzo przywiązana do Móriego. Kochasz go?

— Kocham? Nie gadaj głupstw! Ja go potrzebuję!

Erling patrzył ze smutkiem.

— Masz przecież mnie.

— O, Erling, ty jesteś najwspanialszym mężczyzną, jakiego mogła dostać Carla, ale Móri umie tak wiele! On umie wszystko!

— Nic podobnego, w każdym razie nie potrafił się ukryć przed władzami. Tiril, moja najdroższa mała przyjaciółko, tak strasznie bym chciał się tobą opiekować! Przez całe życie. Czy wysłabyś za mnie?

Spojrzała na niego zapłakanymi oczyma, a potem wykrzyknęła:

— Czyś ty rozum postradał? Ty przecież należysz do Carli! A poza tym ja mam szesnaście lat, nie, tobie coś się głowie pomieszało!

Erling wyglądał na zmęczonego.

— Ja wiem, że na to potrzeba czasu, że ty potrzebujesz czasu. Ale zostałam sama na świecie. I ktoś nastaje na twoje życie. W każdym razie powinnaś się przeprowadzić do moich rodziców.

Tiril położyła dłoń na kudłatym karku Nera.

— Już o tym rozmawialiśmy. Nie zostawię Nera, przecież wiesz. Ale dziękuję ci za życzliwość i dobre chęci.

Erling westchnął:

— Rzeczywiście, jak na siostry, to byłyście bardzo różne. Carla taka płochliwa, a ty stanowcza, niezależna.

— Ta płochliwość ją zgubiła.

— Masz rację. Porozmawiam z mamą na temat psa. To znaczy z rodziną porozmawiam.

Pies nazywa się Nero, chciała zaprotestować Tiril, ale nie powiedziała nic. W jej umyśle pojawiło się pewne podejrzenie: zdaje się, że Erling bardzo się słucho mamusi, że ona nim kieruje. . . Nie знаła tej rodziny zbyt dobrze, ale myślała, że pani Müller zachowuje się jak zarządca wobec męża i dzieci, nie wydała jej się przesadna.

— Muszę wracać do biura — rzekł Erling zatroskany. — Mają dziś do mnie przyjść klienci. Niestety, nie będę mógł zabrać cię ze sobą. Przyjadę po ciebie po południu, do tego czasu musisz zostać sama, dopóki tajemnice wokół twojej rodziny nie zostaną wyjaśnione.

Tiril milczała. Wciąż była jak ogłuszona wiadomością, że Móri wyjechał. Nigdy go już nie zobaczy. . .

Nagle uświadomiła sobie, że Erling mówi do niej:

— Nie wychodź z domu, a drzwi zamknij na skobel. Tutaj jesteś bezpieczna. Wiesz, ja naprawdę wierzę w moc tego znaku, który Móri wyrył nad twoimi drzwiami.

— Ja też jestem przekonana, że znak mnie ochroni.

— A poza tym — Erling wyjął mały przedmiot z kieszeni. — Móri prosił, żebym dał ci to. To jego własny znak, ale uznał, że teraz będzie tobie bardziej potrzebny. Powinnaś zawsze mieć go przy sobie.

Tiril wstrzymała oddech, gdy brała z jego rąk kawałek drewna z dziwnym rysunkiem. Znak należał do Móriego. I on dał go jej!

— Nigdy, nigdy się z nim nie rozstanę — powiedziała drżącym i tak pełnym szacunku głosem, że Erling musiał się uśmiechnąć.

Kiedy młody Müller odjechał, Tiril wciąż siedziała w izbie, przyciskając do piersi magiczny znak Móriego. Trwała tak długo, jakby w małym kawałku drewna szukała pocieszenia i siły. Nero obwąchiwał przedmiot i piszczał żałośnie. Najwidoczniej on również tęsknił do swojego islandzkiego przyjaciela.

Tiril dotrzymywała obietnicy i przez cały czas siedziała w domu. Rozgoryczony Nero musiał zrezygnować z wycieczki do lasu. Pozostawał wprawdzie ogródek koło domu, ale to przecież nie to samo, mimo że Tiril pozwoliła mu biegać wśród krzaków porzeczek. Wracał co chwila do izby i patrzył na nią wielkimi oczyma, jakby chciał zapytać: „No, kiedy wreszcie pójdziemy?”

Jego pani święcie ufała znakowi, który Móri wyrył nad drzwiami. Póki siedzi w domu, jest bezpieczna. A poza tym ma przecież Nera.

Nie działało się nic szczególnego, a mimo to łąpała się raz po raz na tym, że wciąż wygląda niespokojnie przez okno. Zdawała sobie sprawę, że dla dwóch opryszków to jedynie kwestia czasu, znajdą ją prędzej czy później. Chyba że — co przecież nie jest niemożliwe — Erling zdaży zameldować o wszystkim wójtowi, a ten ich unieszkodliwi.

Jesienna mgła unosiła się nad Bergen i okolicą. Tiril widziała ze swego okna nie dalej niż do skraju lasu, gdzie droga ginęła pomiędzy drzewami.

Nagle podskoczyła przy oknie. Czy ktoś chodzi pod lasem?

Pojęcia nie miała, ile to już godzin minęło, odkąd Erling odjechał, ale światło dnia jakby zmatowiało. A może to tylko mgła?

Nie, dzień chylił się ku zachodowi, i to z pewnością Erling wraca. Tiril siedziała w kucki przy ścianie i wyglądała przez dolny narożnik okna.

To nie był Erling. Ale też i nie tamci napastnicy. Z uczuciem nieopisanej ulgi Tiril patrzyła na wędrującego drogą niedużego chłopczyka, który chyba trochę błądził we mgle. Opiekun jej psów, jak go nazywała. Więc pewnie i on już się pozbył czerwonej wysypki i wyzdrowiał.

Tiril nie miała żadnych telepatycznych zdolności ani nie była jasnovidzem, nie przeczuwała więc, że ów mały chłopczyk jest zwiastunem nieszczęścia. On zresztą też nie miał o tym pojęcia.

Wpuściła dziecko do izby i z radością przyglądała się ceremonii powitania, jaką odprawiał Nero.

Chłopiec jednak nie miał czasu na długie rozmowy.

— Mama jest chora — oznajmił. — I prosi, żeby panienka Tiril przysłała.

- A doktor by nie mógł. . .
- Nie mamy pieniędzy, a za darmo nie przyjdzie.
- Tylko, widzisz, ja nie mogę wychodzić z domu. . .

Oczy chłopca zrobiły się duże, pojawił się w nich strach.

- Ja panienkę tak proszę! Mamę boli w piersiach. I kaszle tak strasznie.

Nigdy dotychczas Tiril nie zawiodła swoich przyjaciół, gdy któryś z nich zachorowało. Ufali jej, chociaż nie była pielęgniarką. Działała intuicyjnie i wystarczyło, że przyszła, osoba z wykształconej klasy wyższej, by chorzy odzyskiwali wiarę i chęć do życia.

- Czy w mieście mgła jest gęsta?

- O Jezu, jak jeszcze!

Chciała poczekać do powrotu Erlinga. Tak strasznie pragnęła, by Móri był przy niej. Ale Móri odjechał, a ona nie była w stanie znieść bólu na myśl, że już go więcej nie zobaczy. Nikt też nie wiedział, kiedy Erling może wrócić.

Z ciężkim westchnieniem napisała kartkę do Erlinga Müllera. Wzięła swoją torbę, w której miała potrzebne rzeczy.

— Poza tym mam przecież Znak Życia — mruknęła, dotykając drewnianka, które ukryła pod bluzką.

W jakimś przypiływie rozsądku, czy też może instynktu samozachowawczego, zdjęła wiszącą nad wejściem Tarczę Arona. Przyda się, jeśli nie mnie, to może matce tego biedaka.

- Chodź, Nero! Idziemy!

Pies jednym susem dopadł furtki.

Chora kobieta rozpromieniła się na jej widok. Rzeczywiście wyglądała bardzo źle i Tiril robiła, co mogła. Mogła niewiele, ale już samo to, że ktoś się nią zajmuje, daje pić i poprawia pościel, znaczyło dużo dla tej nieszczęsnej kobieciny z gromadą małych dzieci.

Zaczynało zmierzchać, gdy Tiril i Nero ruszyli w drogę powrotną do domu. Dziewczyna naciągnęła na oczy kaptur swojej peleryny i starała się jak najszybciej opuścić mroczne, brudne zaułki biednej dzielnicy. Nagle usłyszała głos:

- Patrz! To ten pies!

— O, i tu mamy naszą panienkę! A to panienska nie mieszka w Laksevåg, jak niektórzy gadają!

Laksevåg! Ciarki przeszły Tiril po plecach. To oni! Napastnicy! Usłyszała, że przyspieszają kroku.

— Chodź, Nero! Nie, zostaw ich, uciekajmy! Poprzednim razem o mało go nie zabili. To się nie może powtórzyć.

Tamci mieli na nogach drewniaki, które twardo uderzały o bruk. Tiril i Nero biegli bezgłośnie, byli oboje młodszy i sprawniejsi, lepiej też znali drogę.

Znajdowali się wśród ruin spalonej w roku 1702 dzielnicy... Tiril nieźle się orientowała..., tak, to narożnik spalonego domu, nad którego bramą stoi figurka satyra. Wiedziała, gdzie są.

— Chodź, Nero! — nakazała szeptem. — Schodzimy w dół, na nabrzeże.

Mgła im sprzyjała. Była tak gęsta, że nie widziało się nic na wyciągnięcie ręki. Napastnicy zgubili trop, słyszała, jak przeklinają na skrzyżowaniu dwóch uliczek. Ich głosy brzmiały dziwnie głucho w tej mgle.

— Cholera, gdzie ona się podziała?

— Idziemy tu!

— Nie tam! Stój i poświęć mi!

Tiril również przystanąła. Zacisnęła rękę na pysku Nera. Czowała, że pies dygoce z napięcia.

— Nic nie słyszę.

— Ona pobiegła pod górę, jestem tego pewien.

Znowu stukot drewniaków. Tiril i Nero stąpali bezgłośnie. Jak najprędzej do nabrzeża... Tam stoi łódź konsula... w małej przystani, tam gdzie duże statki ani kutry nie wchodzą.

Myśli krążyły gorączkowo. Konsul chciał mnie wepchnąć do łóżka. Nienawidzę go. Nienawidzę go. On nie żyje. Powinam żałować. Nie mogę. Nie mogę.

Carla. Cierpienie, przekraczające granice wyobraźni.

On znał tajemnicę. Nie chciał powiedzieć! Nie chciał powiedzieć! Drań!

Przystań małych łodzi. Ileż ich tu jest! Zabawki bogatych ludzi!

Odnalazła łódź konsula. Teraz to przecież jej własność. Uff, jak najdalej od takich myśli! Łódź chwiała się na wodzie i Tiril z trudem przekonała Nera, żeby do niej wskoczył. Pies chciał być posłuszny, wyciągał jedną łapę, ale kiedy łódź zaczynała się kołysać, odskakiwał. Tiril weszła pierwsza i dopiero wtedy on też się odważył. Musiała go jednak przytrzymać i oboje runęli na dno z wielkim hałasem.

Nasłuchiwała przerażona, ale napastnicy musieli pójść fałszywym tropem, w kierunku miasta.

Tiril po omacku odnalazła wiosła, wyszarpnęła cumę i ruszyli.

Wolniutko i bardzo ostrożnie zanurzała pióra wiosel w wodzie, raz, dwa, raz, dwa... Łódź z dwojgiem uciekinierów zniknęła we mgle.

Tiril była śmiertelnie przerażona i za nic nie wróciłaby do Laksevag. Ta droga była przed nią zamknięta. Na szczęście zabrała oba znaki opiekuńcze, jakie dał jej Móri.

— Nie możemy już wrócić, Nero — powiedziała z płaczem. Odczuwała samotność jako wielką pustą przestrzeń wysysającą ją od środka. — Musimy się gdzieś ukryć. Może na przybrzeżnych wyspach?

Móri, Móri, dlaczegoś mnie opuścił?

I Erling... Ty miły, troskliwy przyjacielu, teraz ja zawiodłam ciebie. Nie znajdziesz mnie w domu i będziesz pewnie podejrzał... Ale musiałam!

Łódź szła dosyć krętym kursem, ale nieuchronnie kierowała się na pełne morze. Gdyby woda pozostała spokojna jak dotychczas, uciekinierzy powinni prędzej czy później dotrzeć do Askoy.

A tam z pewnością nikt nie będzie ich szukał. Czwooro przyjaciół rozpierzchło się na różne strony. Tiril i Nero zmierzali przed siebie pod osłoną gęstej mgły. Erling, który postawił sobie za cel wyjaśnienie pochodzenia Tiril, będzie teraz musiał działać sam. A Móri...

Marzenie o zdobyciu „Rödskinny” pchało go prosto w sam środek ponurych misteriów. Do świata, którego istnienia ludzkość nawet nie podejrzewa.

Ale ten świat istnieje. Jest prawdziwy. Nieubłagany i bezlitosny. „Rödskinna”. Ostatnia i najpotężniejsza z trzech ksiąg. Nie tylko Móri jej pożądał. Ale biada temu, kto się do niej za bardzo zbliży!

Osoby, które żyły naprawdę:

Biskup Gottskalk Nikulasson Zły lub Okrutny, zmarł w 1520.

Sira Jon Magnusson z Eyri (obecnie Aisafjörður w Skutilsfjörður), zmarł około 1595.

Jon Jonsson starszy z Kirkjuból, spalony na stosie w 1656.

Jon Jonsson młodszy z Kirkjuból, spalony na stosie w 1656

Thuridur Jonsdóttir z Kirkjuból, wiek siedemnasty.

Sira Eiríkur Magnusson z Vogsos, zmarł 1716. Diakon z Myrka.

Gudrun z Bagisa.

Samund Uczony, zmarł 1133, Thorkell Guðbjartsson z Laufasi, zmarł około 1400.

Thordis Markusdóttir (Stokkseyri-Disa) i jej wysoko postawieni krewni, eremita z Biskupstungur, Mag-Leifi Thordharsson oraz inni biskupi.

Źródła:

Olafur Davidhsson: GALDUR OD GALDRAMAL A ISLANDI, 1940.

Skuggi: Arsitid Jolagjöfin 4, 1940 GALDRASKRADA (wyd. w 150 egz.) GHOSTS, WHICHCRAFT AND THE OTHER WORLD; stąd pochodzą opowieści o Eiríkurze z Vogsos i diakonie z Myrka, ale można je znaleźć również w innych opracowaniach.

*Podziękowania dla Rut Arthursdottir
za przekłady z jęz. Islandzkiego oraz wyjaśnienie
znaczenia run magicznych!
Dziękuje również Evie Underdal oraz
pracownikom Prentusidh za przybliżenie mi
wszystkich niezwyklej informacji i trudnego
materiału.*

Margit Sandemo